

Karol May

KRÓLOWA PUSTYNI

Tytuł oryginału: Allah ii Allah

Tłumaczenie: Ewa Szybawska

SPIS TREŚCI

Wprowadzenie	2
Krüger-Bej	3
Khanum Beni Sallah	47
Szejk Beni Abbas	79
Pojedynek	116

Wprowadzenie

Zapewne nie umknęło uwagi niejednego z czytelników pierwszych sześciu tomów moich opowiadań z podróży, że w łańcuchu zdarzeń, które rozpoczynają się w Tunezji a kończą wśród mieszkańców „Czarnych Gór” powstała zarówno przestrzenna, jak i czasowa luka.

I to właśnie oni zapytaliby, czy w czasie tej długiej, konnej wędrówki z Tunisu przez Trypolis i oazę Kufarah do Egiptu nie wydarzyło się nic, co byłoby warte opisania. Niniejsze opowiadanie wypełnia tę lukę i przenosi nas w czasy, gdy jeszcze nie znałem zbyt długo swojego Hadzi Halefa Omara. I myślę, że czytelnicy, których przyjaźń i współuczestnictwo w przygodach zyskał Ha-lef, chętnie wrócą ze mną do tego okresu naszej wędrówki i z ochotą pójną po śladach ścieżek, na których było nam sądzone wpleść się w losy tak wielu miłych ludzi, a przy tym służyć im pomocną dłońią.

Krüger-Bej

— Sidi, muszę to w końcu z siebie wyrzucić, jeżeli nie chcesz, abym się tym zadławił. Cały czas nosiłem to w sobie, jak kura, która nosi się z zamiarem zniesienia jajka i nie może znaleźć odpowiedniego miejsca. Ale moja cierpliwość się wyczerpała.

Któż inny mógłby wypowiedzieć te słowa, sądząc tylko po doborze słów, jak nie mój przyjaciel Halef z którym wędrowałem przez Algierię, przez wąwozy gór Aures i przed kilkoma dniami przeżyłem tę mrozącą krew w żyłach przygodę na płaskowyżu el Dzerid, którą na pewno moi czytelnicy zachowali jeszcze w pamięci.

Odszukałem namiestnika tureckiego Wekila w Kbilli, aby dochodzić sprawiedliwości za popełnione przez Hamd el Amasata na płaskowyżu przestępstwo i jednocześnie odbić sobie na nim stratę naszych zwierząt, które zaginęły w podziemnym i podstępym bagnie solnym.

Czytelnik wie zapewne, w jaki sposób Wekil wymierzył sprawiedliwość. Wcale jednak nie zamierzałem dać się w ten sposób odprawić. Moja postawa i skuteczne poparcie ze strony szacownej małżonki Wekila skłoniły władcę Nizalla do zrekompensowania mi straty za utracone zwierzęta i to w wysokości, która nas całkowicie mogła zadowolić. Byliśmy więc doskonale wyposażeni do drogi, gdy opuszczaliśmy Kbilli, aby kontynuować podróż po regencji Tripolis i przez oazę Kufarah do Egiptu.

Na południe od płaskowyżu, na terenie Uelad Merasig wynająłem *khabira*, przewodnika, aby nas zaprowadził do Beduinów Homra, którzy posiadali swoje pastwiska zarówno z jednej, jak i z drugiej strony granicy między regencjami Tunisu i Tripolisu, o ile w tych czasach można mówić o granicy.

Zdarzyło się to właśnie, w pobliżu granicy, czy też już ją przekroczyliśmy. Właśnie w tym miejscu zagadnął mnie Halefpo dłuższym milczeniem, które nigdy nie było w jego naturze. Uczynił to równie nagle jak natrętnie. Małomówny przewodnik, który tylko wtedy wydobywał z siebie słowo, gdy było to konieczne, wyprzedzał nas o kilka stąpień konia.

—A więc wyduś to z siebie — odpowiedziałem na to wylewne wyznanie.

— Sidi, wiesz jak wiernym sługą jestem dla ciebie i chcę nim być też w przyszłości.

— O tym jestem przekonany, drogi Halefie.

— I dlatego tak cierpię, że pod niektórymi względami góruję nad tobą. Tak bardzo chciałbym, aby mój władca, którego kocham, zajmował nie tylko w moim sercu, ale również w mojej hierarchii wartości, należne mu miejsce.

Spojrzałem na niego zdziwiony. Do czego zmierzał? Wiedziałem przecież, że uważa się za lepszego niż ja, ale jeszcze nigdy nie powiedział mi tego tak bez ogródek, prosto w oczy. Czyżby znów chciał mnie nawrócić na swoją wiarę? W tym przypadku korzystniej było milczeć, niż odsłonić swoją słabą stronę w jego oczach. Ale moje milczenie nie było na tyle pomocne, abym mógł zatrzymać wodospad jego słów.

Współczująco potrząsnął głową.

— Sidi, jesteś człowiekiem, jakiego jeszcze nigdy nie spotkałem na swojej drodze. Tak łagodnym i dobrym, a jednocześnie tak pełnym siły i odwagi. A mimo to brakuje ci czegoś, co jest tak ściśle związane z mężczyzną jak pałka i *darabukka*, na której żołnierz wystukuje hałaśliwy rytm.

— A cóż to takiego? — zapytałem i teraz rzeczywiście nasłuchiwałem z zaciekawieniem.

— Nie masz imienia.

— A to dopiero. Myślałem, że mam!

— Nie, sidi, nie masz imienia, a przynajmniej nie takie, jakie ja zwykłem nazywać imieniem.

— A czymże jest imię dla ciebie?

— Spójrz, sidi, dojeżdżamy do terenów, gdzie nie tylko sam mężczyzna ma swoją wartość, tyle samo waży tu jego imię. Cóż odpowiesz, gdy ktoś cię zapyta o twoje?

— Odrzeknę: Kara Ben Nemzi.

— *Allah UAllah*! Cóż znaczy Kara Ben Nemzi. Opowiadałeś mi, że w oazach twojej ojczyzny mieszkają setki tysięcy, co mówię, miliony ludzi. Ben Nemzi mogą nazywać się wszyscy spośród tych niezliczalnych. A czymże jest odmienność? To wicherek, który przemija z wiatrem, ślad ptaka, który zaciera się w piasku.

— Ale przecież to ty sam tak mnie nazwałeś!

— *Uskut*, zamilcz! — przerwał mi rozgniewany. — To było na początku, gdy jeszcze nie znałem cię tak jak teraz. Od tego czasu wiele się zmieniło. Poznałem, co jesteś wart i czuję, że zasługujesz na imię, na jakie zasługują tylko nieliczni.

— Ale przecież tak już jest! Nie spotkałem jeszcze żadnego człowieka, który nosiłby to

imię oprócz mnie.

— Sidi, nie wywołuj we mnie gniewu. Przecież rozumiesz mnie aż za dobrze. Udajesz tylko, że nagle ogarnęła cię ślepotą. Powtarzam swoje pytanie: czymże jest Kara Ben Nemzi? Spójrz tylko na moje imię! Czyż Kara Ben Nemzi może się równać z Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadschi Dawuhd al Gos-sarah?

— Nie — zaśmiałem się, — nie może. Ale nie możesz mnie przypisać za to odpowiedzialności.

— *Allah kerihm!* Czyżbyś nie miał ojca, nie miał ojca ojca ani też ojca dziadka, których świetne imiona mógłbyś dodać do swojego, aby wszyscy, którzy się z tobą spotkają, skłonili się uniżenie?

— Czyżby chodziło tylko o to? W takim razie mogę ci służyć nawet imieniem swojego prapradziada — zacząłem się śmiać.

— *Elhamdulillah*, niech będą dzięki Allachowi! W końcu stajesz się rozsądny. Już straciłem całą nadzieję, że to nastąpi. Ale teraz wspólnymi siłami ułożymy ci wspaniałe, niezapomniane imię, tak, jak łączy się ogniwa drogocennego łańcucha.

Po tych słowach wyprostował się w siodle pełen oczekiwania, uniósł brwi w górę i przedsiębiorczo zaczął skubać niewielkie frędzelki brody, która istniała tylko w jego fantazji.

— Jedno z twoich imion już znam. Dla bedawi jest trudne do wymówienia i zmieniłem go na Kara. Czy się z tym zgadzasz?

— Nie mam nic przeciw temu.

— Każdy prawdziwy mężczyzna ma przynajmniej dwa imiona. Pod jakim więc zostałeś wpisany do ksiąg Kadi na początku swojej ziemskiej wędrówki?

— Moje nazwisko rodowe brzmi May.

— *Allah akbań* Moje uszy więc mnie nie myliły. Rzeczywiście powiedziałeś May. Ależ sidi, tak przecież nie może być nazwany żaden mężczyzna, tak nazywa się u nas wiele kobiet i córek *Beni Arab*

— Nic na to nie poradzę, to nie ja nadałem sobie to nazwisko.

— *Haida ma bisir, ma bisir abadan*, to nie może tak być, absolutnie nie do przyjęcia. Czyżbyś nie wiedział, że kobieta nie jest mężczyzną! I nie wiesz, że wśród prawdziwych synów Proroka unika się, aby nawet wymienić imię którejś z *Bent el Amm*, czyli kobiety. A ty, mężczyzna, który nie ma sobie równych, chcesz być nazywany jak kobieta?

— Dlaczego nie. W mojej ojczyźnie imię nie ma tego znaczenia, o którym wciąż mówisz.

— *Haida ma bichnussi*, to nie moja rzecz, sidi, nie jesteś teraz na wysuszonych dolinach i oazach Dżermanistanu, ale tutaj, na pastwiskach *Beni Arab*. I nikt nie będzie cię traktował podług obyczajów twojej ojczyzny, ale według zwyczajów tego kraju.

— Więc cóż można tu zmienić?

— Zaczekaj, a jak nazywał się twój ojciec?

— Też May.

— O Allach. Znów Majj! A ojciec ojca?

— Również May. Tak jak dziadek ojca i wszyscy jego pradziadowie.

Pełen politowania uniósł lewą rękę i wyrzucił z siebie pełen żalości dźwięk:

— *Ja mussihbe, ia zaal, cóż za nieszczęście, cóż za strapienie!* Moje serce napełniło się żalnością, a moja dusza chyba rozpuści się w goryczy. Sidi, chciałem aby twoje imię uczyniło cię sławnym we wszystkich *duarach* i oazach, jak daleko sięga ziemia i poza nią, ale niedorzeczność twojego imienia zerwała nić mojego niedoścignętego zamiaru i zasypała niewyczerpane głębie mojego serca. *Allah bjarif*, Allach wie o tym!

W głębi duszy bawiło mnie rozczarowanie Halefa. Ale nic nie dałem po sobie poznać i udawałem, że nie pojmuję jego zachowania.

— I cóż z tego? Imię jest przecież imieniem. Teraz rozzłościł się na dobre.

— *Allah jisallim aklak*. Niech Allach strzeże twego rozumu, abyś go zupełnie nie postradał! Pytasz, co to dla ciebie oznacza? Czyżbyś nie pojmował, że twoje imię wystawiłoby cię na śmieszność?

— Nie, nie pojmuję tego. Moim zdaniem nie jego imię a jego wartość czyni mężczyznę.

Odrzucił głowę gwałtownym ruchem karku i zaśmiał się głośno.

— Zamilcz, zamilcz! Cóż wiesz o wartości mężczyzny? Nic, zupełnie nic!

Tego było mi jednak za wiele, na to nie mogłem sobie pozwolić. Nawet wtedy, gdy wiedziałem, dlaczego to powiedział, musiałem udawać, że jestem obrażony.

— Halefie, co ci przyszło do głowy? Nie zapominaj, kto z nas jest panem, a kto sługą.

To pomogło. Skurczył się w sobie i powiedział w umiarkowanym tonie:

— Sidi, wybacz mi! Przyznaję, że posunąłem się za daleko. Weź jednak pod uwagę, że to tylko mój szacunek do ciebie zapędził mnie aż tam, gdzie wywołałem twoje niezadowolenie. Ale wyobraź sobie to tak: przybywasz do *duaru*. Wojownicy plemienia wyjeżdżają ci naprzeciw i świętują twe przybycie *baruhda* - strzelaniem z prochu na powitanie. W świątecznym pochodzie dojeżdżasz do *duaru*. Przed namiotem szejka zsiadasz z konia i

wchodzisz do niego. Niewolnica przychodzi z solą i chlebem, symbolem gościnności. Ale jednak zanim weźmiesz z tego okruszynę szejk zapyta cię o imię. A z twoich ust wypłyną słowa: jestem Kara Ben Majj Ibn Majj el Ibn Majj. Czyż możesz sobie wyobrazić co nastąpi później? Mężczyźni będą spluwali przed tobą, kobiety i dzieci będą pokazywać cię palcami. „Oto mężczyzna - będą mówili - którego ojcowie nie mają imienia i którego drzewo rodowe wywodzi się jedynie od ciotek i nieznanymi starszych kobiet”. A córki *Beni Arab* będą zakrywały swoje twarze i uciekały przed tobą jak przed parszywym psem, przed tobą, który mógłby przecież błyszczeć jak Abd el Kader, bohater Beduinów, lub jak wielki wojownik Franków, który przez *Beni Arab* nazywany jest Sułtan el Kebihr - Bonaparte.

Potem zamilknął zasmucony. Abyś mógł Czytelniku pojąć ból Halefa, jest koniecznym, aby przetłumaczyć imię, które było powodem zmartwienia. Imię to brzmiałoby mniej więcej w ten sposób: Karol, syn Maja, wnuk Maja i prawnuk Maja. Według oby-czjów Beduinów rzeczywiście imię nie do przyjęcia! Pozwoliłem, aby jego ból uspokoił się trochę i już nie drażniłem go imionami moich przodków i praprzodków.

— Przecież to jest twoim zamiarem — powiedziałem po dłuższej chwili z całym ciepłem, na jakie mnie tylko było stać, — abym stał się przedmiotem drwin wszystkich, których napotkamy.

Wtedy wypuścił cugle z rąk i rozcapierzył obronnie palce obu rąk.

— *Rhemallah*, niech Allah zachowa! Jak wpadłeś na to dla mnie niezrozumiałe pomówienie?

— Ponieważ koniecznie i w każdej okoliczności chcesz mi nadać imię.

— Chciałem, aby człowiek, który jest otoczony moją opieką, i który ze mną dokonał tylu niezliczonych, chwalebnych czynów, stał się sławny również dzięki długości swojego imienia.

— Czy nie zechciałbyś mi wymienić kilku z tych „niezliczonych” bohaterskich czynów?

— Czyżbyśmy nie jechali z bezprzykładną odwagą przez Ścianę Nieszczęścia i...

— ...i przy tym runęliśmy w dół — przerwałem mu.

— Pozwól mi skończyć, *sidi*. Chciałem powiedzieć, że uratowaliśmy się dzięki wprost niewiarygodnej przytomności umysłu.

— Tak, wyciągnąłem cię na lufie mojej strzelby z trzęsawiska, tak jak wyciąga się raka z wody.

— Proszę, nie pomniejszaj bezcennych przymiotów naszych charakterów! Później

ujarzmiliśmy krnąbrnego Wekila i wykorzystaliśmy go do spełnienia naszych żądań.

— Zapominasz dodać, że przy tej okazji uciekł nam nasz więzień.

— Za to nie możemy sobie przypisywać winy. Nie może to więc rzucać cienia na naszą chwałę. Później...

— Zaprzestań proszę! — przerwałem mu śmiejąc się, aby zapobiec wymienianiu całej litanii naszych domniemanych, bohaterskich czynów w nieskończoność. — Lepiej porozmawiajmy o czymś innym. Wymieniłeś uprzednio Abd el Kadera, bohatera Algieru. To pewne, że ten człowiek w swoim pełnym imieniu ma dodany cały szereg znamienitych mężów, ale u nas w Dżermani-stanie jest znany i sławny tylko jako Abd el Kader. Jego pełne imię zna zapewne tylko niewielu uczonych.

— Tak sądzisz? — zapytał z wątpliwością w głosie.

— Z pewnością. A zresztą Sultán el Kebihr posiadał tylko dwa imiona, mianowicie Napoleon i Bonaparte. Czyżby ten godny pożałowania brak przeszkadzał w jego ziemskiej wędrówce lub przyniósł mu ujmę?

— Ale czy to aby prawda o tych dwóch imionach?

— Przecież nie okłamywałbym cię. Widzisz więc, że nie sprowadza się to do imienia, które mężczyzna ma przypisane, ale do czynów, które dokona.

— Sądzisz więc, że powinno się skończyć na dotychczasowym Kara Ben Nemzi?

— Właśnie to miałem na myśli.

Halef nie odpowiadał przez chwilę. A potem usłyszałem koło siebie ciężkie westchnienie. Później znowu zapadła cisza. Dopiero po dłuższej przerwie zdecydował się na dalsze snucie wątku rozmów}.

— Masz rację, przyznaję. Porzucam więc zamiar, aby poprzez dar dźwięcznego imienia uczynić cię sławnym. Ale nie myśl, że pójdę za twoim przykładem i też zrezygnuję z moich wszystkich ojców i praojców. Jestem i zostanę Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah.

A gdy nic na to nie odpowiedziałem, dodał:

— Ale jednak nawrócę cię na naukę Proroka, czy chcesz tego, czy nie.

Aha, znowu to samo. To całe nadawanie imion było więc ukierunkowane tylko na to, aby mnie jak to się mówi: wystrychnąć na dudka. Najpierw imię, a reszta sama przyszlaby z czasem.

— Jak sądzisz, sidi, czy Omarowi Ben Sadek udało się złapać i ukarać mordercę swojego

ojca, tego szubrawca Hamd el Amasa-ta? — sprytny, mały jegomość szybko zmienił temat, aby zapobiec odprawie, którą zawsze dostawał przy swoich próbach nawrócenia.

— O tym jest mi wiadomo równie mało jak tobie. Niestety zgubiliśmy jego ślad w piaskach pustyni a pustynia jest nieskończenie szeroka. Znasz ją przecież lepiej niż ja. Może spotkamy znów Omara dziś lub jutro, a może już nigdy. Wie to tylko Allah!

Halef chciał mi odpowiedzieć, ale coś mu w tym przeszkodziło. Khabir zatrzymał swojego konia i wskazał wyciągniętą prawicą na wschód. Początkowo tylko mizernie porośnięty trawą step ożywił się w końcu zieleniejąc coraz bardziej i bardziej. Pojedyncze krzaczki gromadziły się w większych grupach, pewny znak, że jest tu woda. Zatrzymaliśmy się na niewielkim wzniesieniu, z którego mieliśmy szeroki widok na leżącą przed nami równinę. Zupełnie z tyłu, już blisko brzegu nieba pojawiło się wiele punktów, które rażno się powiększały. To właśnie je miał na myśli nasz przewodnik, gdy przez zatrzymanie konia zwrócił na siebie naszą uwagę. Zbliżający się jeźdźcy musieli nas dostrzec równie szybko jak my ich, bo widzieliśmy, jak tworzą długą linię, której końce pozornie dążyły do oddalenia się od nas. Doskonale odgadłem ich zamiar, chcieli otoczyć nas ze wszystkich stron. Ponieważ jednak nie było moim zamiarem uniknąć spotkania z Beduinami, więc spokojnie oczekiwaliśmy na przybyłych z przygotowaną bronią.

Nadciągnęli jak burza; pośrodku silny, postawny Arab. Jego szaty nie wyróżniały się niczym szczególnym. Wokół bioder miał przepasany prosty sznur ze skóry wielbłąda i równie proste sznurki skrecone z włókien daktyli owijały jego olbrzymi turban. Ale jego siwa klacz, na której jechał, była najczystszej rasy. Była tego osobliwego szarego ubarwienia, które znajduje się tylko w potomstwie konia, którego najchętniej siodłał Mahomet. Ludzie opowiadają, że Prorok, gdy jeszcze nie miał wielu zwolenników, przybył do arabskiej osady namiotów, aby kupić sobie konia. Zaprowadzono go na pastwisko, a gdy tam przybył, spłoszyły się zwierzęta, jak gdyby oślepiła je jego wielkość. Tylko jedyny spośród nich, siwy koń podszedł do niego i skłonił się przed Wysłannikiem Allacha, aby oddać mu cześć. Ten jednak od razu go dosiadł i rzekł: „Błogosławionym ten rumak! Niech nosi pierwszego sługę Allacha i przeklętym ten, kto znajdzie wadę u jego potomnych!” Od tego, tak dawno już zgasłego dnia, wszyscy potomkowie tego konia są siwej maści. Uważane są za święte, sprzedawane są bardzo rzadko i po niesamowicie wysokich cenach, a ich hodowla jest otoczona taką troskliwością i staraniem, że ich drzewo rodowe jest zawsze nieskazitelne.

Właśnie na takiej klaczy jechał mąż w środku, z pewnością szejka. Jeździec po jego prawicy był małej, silnej postury. On też był wspaniale wyposażony do jazdy konnej. Siedział na

szarym koniu pełnej krwi. Okrywał go biały płaszcz typowy dla Bedui-nów, ale pod nim, tam gdzie odchylały się poły, błyszczały grube, złote sznury uniformu, które całkiem wyraźnie zauważyłem, gdy jeźdźcy zbliżyli się do nas na mniej więcej sto stąpnień konia.

Gdy zerknąłem na wojskowy uniform moje przypuszczenie przerodziło się w pewność. Szybko naciągnąłem róg mojego *haika* na twarz, aby zakryć jej górną część. Nie chciałem, aby człowiek w wojskowym mundurze rozpoznał mnie od razu. Bo jeżeli się nie myliłem, do tej przysadzistej, korpulentnej postaci należała bardzo zaczerwieniona twarz z olbrzymimi wąsami, twarz, która pomimo całej aż nazbyt widocznej szorstkości, budziła wrażenie rubasznej. A ta twarz była własnością mojego przyjaciela Krüger-Beja, „pana zastępów wojsk” beja Tunisu Mohammeda es Sadok Paszy. Owego Krüger-Beja spotkałem po raz pierwszy przed paroma laty trochę dalej na północ stąd, gdy pościg Krumirów zapędził mnie daleko do wnętrza Tunezji. Dzielny pułkownik był z urodzenia Niemcem. Pochodził z Marchii Brandenburskiej, opuścił swoją ojczyznę jako czeladnik piwowara i zaczął szukać szczęścia w dalekim świecie. I znalazł je. Po wielu podróżach wzdłuż i wszerz świata przybył do Tunisu i tam pozwolił się zwerbować. Mając wrodzone zdolności, a do tego będąc nieustraszonym i dzielnym, wspinał się coraz wyżej po szczeblach kariery aż został komendantem gwardii przybocznej. Oczywiście musiał przyjąć wiarę Islamu, ale w głębi serca został chrześcijaninem, a do tego dobrym, szczerym Niemcem. W kraju - ogólnie znana i wszędzie mile widziana osobowość, odwiedzany był zwłaszcza chętnie przez obcych ze względu na pewną osobliwość, która uczyniła z niego prawdziwego oryginała. Tą szczególną jego cechą był jego sposób wyrażania się po niemiecku. Porozumiewał się swobodnie po turecku jak i po arabsku, opanował obydwie te języki jak tubylec.

Inaczej było z jego mową ojczystą. Nie było tu mowy o wykształceniu wyniesionym ze szkoły, znał swój niemiecki tylko tak jak zna go pomocnik piwowara i do tego prawdziwy Brandenburczyk, a więc tamtejszy dialekt. Później jednak przez długie lata nie miał okazji do rozmów w tym języku i zapomniał go w dwóch trzecich. Tym, co zostało mu w pamięci, posługiwał się według zasad tureckiego i arabskiego, i tak oto powstał sposób wystawiania się, którego prawie nie da się opisać. Dochodził do tego fakt, że mówił niezwykle chętnie. Nic nie sprawiało mu większej przyjemności niż to, że mógł gościć swojego ziomka. Stawał się wtedy samą dobrocią i z najbardziej poważną miną robił takie błędy językowe, że słuchacze musieli zebrać wszystkie siły, aby się opanować i nie pęknąć ze śmiechu. Po arabsku i turecku mówił w tym samym kwiecisto-obrazowym języku jak rodzimi mieszkańcy tych krajów. Ponieważ przenosił te same kwiaty i obrazy do języka niemieckiego, gdzie zupełnie nie pasują i tym

bardziej wzrastała komiczność jego języka im wyszukaniej starał się wyrażać.

Byłem jednakże zdziwiony spotkaniem jego, przywódcy gwardii przybocznej Mohammeda el Sadok Paszy na tym południowym obszarze. Bo na ten teren z pewnością nie rozciągało się panowanie beja Tunisu. Czegóż więc szukał Krüger-Bej, jeżeli był to rzeczywiście on, wśród członków tego plemienia, którzy nie uznawali nad sobą żadnego pana, przed których rabunkowymi napadami Mohammed el Sadok Pasza mógł obronić się tylko dzięki corocznym daninom. On sam jednak wolał nazywać je „darami”.

Nie miałem czasu, aby dalej snuć swoje rozważania, bo oto jeźdźcy byli tuż tuż. Przybyli w pełnym galopie i dopiero w odległości, gdy szpice ich lanc mogły nas przeszyć, skierowali swoje konie w bok jednym zwrotem, który wierzchowce prawie rzucił na kolana i z impetem popędzili konie obok nas.

My, już przyzwyczajeni do tego rodzaju akrobacji jeździeckich, nie mrugnęliśmy powiekami. Jeźdźcy okiełznali swoje zwierzęta i zamknęli wokół nas ciasny krąg. Ten, który jak sądziłem był szejkiem, otaksował nas mrocznymi oczyma i zwrócił się potem do mnie, z pewnością dlatego, że wyglądałem najbardziej dostojnie spośród naszej trójki.

— Kim jesteś?

— Cudzoziemcem.

— To widzę. Gdybyś nie był obcym, znałbym cię. Jak brzmi twoje imię?

Nie miałem ochoty pozwolić się wypytywać przez niego w ten sposób. Już pierwsze spotkanie decyduje o tym, czy znajdzie się uznanie w oczach takiego półdzikiego człowieka czy też nie.

— Nie znam jeszcze twojego — powiedziałem spokojnie.

— Allach odebrał ci rozum! Czyżbyś sądził, że muszę powiedzieć swoje imię aby dowiedzieć się twojego?!

— Tak, tak myślę.

— Kim jesteś, że ważysz się tak mówić? Wiedz, że jestem panem i władcą tej ziemi. Panem śmierci i życia, również twojego!

— Błądzisz. Moje życie jest w rękach Allacha i moich. On mi je dał a ja będę wiedział, jak je zachować do momentu, gdy on go ode mnie zażąda.

Oczywiście widziałem, jak Beduini czekając w napięciu na finał tej słownej szermierki, spoglądali pożądliwie na moją broń. Mieszkaniec pustyni to urodzony rabuś, tylko ten może być w jego obecności bezpiecznym, kto pojął, jak pozyskać jego gościnność.

— Jesteś bardzo dumny — Arab mówił dalej w gniewie. — Nie widzę potrzeby spierać się z tobą. Tu jest ktoś, kogo znam. On mi będzie musiał odpowiedzieć.

Potem zwrócił się do naszego *khabira*.

— Kim jest ten mąż?

— Nie wiem. Opłacił mnie i jestem jego przewodnikiem. Cóż obchodzi mnie jego imię? Zapytaj go sam!

— Dokąd masz go zaprowadzić?

— Do ciebie.

— Co? On zmierzał do mnie? Do szejka wojowników z plemienia El Homra?

— Tak.

A więc ten człowiek był rzeczywiście szejkiem na tym terenie. Nie powinienem więc zbyt długo przeciągać strjmy.

— Jeżeli rzeczywiście jesteś szejkiem El Homra jak słyszę od swojego *khabira* — powiedziałem, — to jestem gotów odpowiedzieć ci.

— Już wprzódy powinieś mi się wytłumaczyć!

— Nie, przybyłem na to miejsce przed tobą, a kto przybędzie tam, gdzie już znajdują się inni, winien jest im pozdrowienie. Ty tego nie uczyniłeś. Jakże mogłem ci więc odpowiedzieć?

— Mówisz tak dumnie, jak gdybyś był szejkiem. Ale teraz zrozumiałeś, że jako władca tego terenu mam prawo zapytać cię o twoje imię.

— Pojmuję to. I dlatego chcę ci odpowiedzieć. Zwę się...

— Stój, sisi! — Halef mi przerwał. — Pozwól, że ja się tym zajmę — i zwróciwszy się do szejka kontynuował, — ten bohater z kraju zachodu słońca, który cię prosi, abyś zezwolił mu położyć w ciszy swoją głowę w twoich namiotach, mógłby nosić imię, które sięgałoby od ziemi do gwiazd. Ale przedkłada nad to swoje proste imię, Kara Ben Nemzi. Naszego *khabira* z plemienia Me-rasig już znasz. A ja, przyjaciel i opiekun tego człowieka, zwę się: Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah!

Jeżeli Halef mniemał, że swoją prezentacją zrobi na szejku zniewalające wrażenie, to bardzo się pomylił. Szejk rzucił na mnie posępne spojrzenie.

— Ten człowiek twierdzi, że pochodzisz z zachodniego kraju. Czy tak jest?

— Tak.

— Więc z pewnością wcale nie jesteś wyznawcą Proroka, tylko przeklętym gjaurem!

— Jeżeli chcesz przez to powiedzieć, że jestem chrześcijaninem, to przyznaję ci rację. Ale

słów „przeklęty gjaur” nie uznają za wypowiedziane.

Szejk zaśmiał się pogardliwie.

— Jak chciałbyś temu zapobiec, abym nie nazywał cię tak i w przyszłości?

Wykonując odpowiedni gest położyłem rękę na swoich pistoletach.

— Dowiedziałbyś się o tym.

— Czy chcesz wzbudzić u mnie wesołość? Czymże jest jeden słaby Frank przeciw dziesięciu dzielnym synom pustyni. Powiem to jednak zwięźle: dla gjaura nie ma miejsca w namiotach El Homra.

Szczególną uwagę w chwili przybycia *bedawiego*, jak już powiedziałem, zwróciłem na człowieka w uniformie wojskowym, który zatrzymał swojego wierzchowca obok szejka. Tak, to był rzeczywiście on. Mój przyjaciel z dawnych lat, były żołnierz Legii Cudzoziemskiej a obecnie pułkownik tunezyjskiej gwardii przybocznej, stary psotnik języka z Brandenburgii. Cieszyłem się już na niespodziankę, którą niósł ze sobą moment, gdy mnie rozpozna i byłem pewny, że on nada tej sytuacji decydujący zwrot. Dlatego też pozwoliłem sobie na bez troski uśmiech, którego nie mogli nie zauważyć.

— A ja ci mówię, że nie odmówisz mi *marhaba*, gościny.

Szejk spojrział na mnie ze zdziwieniem.

— *Maschallah!* Ważysz się, obcy człowieku, sprzeciwiać moim słowom? Przysięgam ci na brodę proroka, że cię ...

— Powstrzymaj się, nie przysięgaj, o szejku, bo mógłbyś nie dotrzymać swojego przyrzeczenia. Czy też pozwoliłbyś, aby oblicze twego gościa, którego dostrzegają moje oczy u twego boku, pokryło się purpurą wstydu?

— Powściągnij swój język, cudzoziemcze. Co ma wspólnego z tobą Krüger-Bej?

— On powie ci, że byłoby dla niego niewybaczalną hańbą, gdybyś mnie, jego przyjaciela, obraził nie udzielając prawa do gościny.

Pułkownik uważnie śledził wymianę słów. Teraz po jego czerwonej twarzy przemknął grymas najwyższego zdziwienia. Badawczo szukał znajomych cech w mojej półzawołowanej twarzy.

— Nazywasz siebie moim przyjacielem? Nie znam cię.

— Czyżbym się tak zmienił, że rzeczywiście mnie nie rozpoznajesz? — zapytałem po niemiecku, a przy tym jednym ruchem głowy odrzuciłem *haik* i wyciągnąłem ku niemu prawą dłoń. — Witaj pułkowniku! Cieszę się, że spotykam cię znów tak zdrowego i rześkiego.

Krüger-Bej rozwarł szeroko oczy, jak gdyby zobaczył przed sobą ducha. Potem pośpiesznie chwycił moją rękę i zmiażdżył ją w swoich tak, że poczułem ból.

— Chulera jasna! Pan, naprawdę pan! Allah jest fjelki! Teraz widzę jednaka podobieństwo! Cóż za niespodziana napad! Któżby domyślał! Daję panu moje ręce i witam panie serdecznie ze wszelkimi honorami. Płogostawione będzie pańskie omlicze między wszystkimi omliczami tutejszej opolicy.

Po tej wspaniałej próbie swojego kunsztu mówienia zwrócił się do szejka i przedstawił mnie jako człowieka, którego zalicza do swych najlepszych przyjaciół. To zmieniło wszystko. Myny Beduinów zrobiły się przyjaźniejsze, a szejk wyciągnął ku mnie rękę.

— Wybacz, nie mogłem o tym wiedzieć. *Habakek*, bądź mym gościem! Gdy przybędziemy do obozu, będziesz ze mną spożywał sól i chleb, i dzielił ze mną puchar. Twoi przyjaciele niech staną się moimi, a twoi wrogowie również moimi!

Na ruch ręki szejka otworzył się okrąg wokół nas i pochód rozpoczął odwrót. Dopiero teraz zauważyłem, że Beduini byli na polowaniu. Jeden z nich trzymał sokoła, któremu założono na głowę skórzany kaptur, a u siodła dwu innych zwisały ustrzelone strusie. Beduini podążali w ostrym galopie ku obozowi. Mój przewodnik dołączył się do nich. Ja i Krüger-Bej jechaliśmy wolno z tyłu. Halef, chociaż nic nie rozumiał z przebiegu rozmowy, jechał obok.

— No tak — rzekł pułkownik. — Teraz jesteśmy sami i możemy nas rozmawiać, wiedząc, że nas się nie uszkodzi. A więc znowu pan tutaj. Czegóż szuka waćpan w tej niedospieczonej kokolicy?

— Tego, czego zawsze. Wie pan przecież, że wędruję, aby poznać kraj i ludzi.

— Tobrze zaryczane! Ty stary lwi synu! A więc wciąż ten tam. Mnie jednakowoż postać trudne zadanie do wykonania. Czy możesz sobie przestawić, co muszę tu zatatwić?

— Och, myślę, że ma pan tu do załatwienia jakąś misję polityczną.

— Politycznie? Cóż za diabła?

— Czyżby pan sądził, że dyplomaci pochodzą od diabła?

— Dyplomata? Ach, to jest trochę insza.

— Ach tak, rozróżnia pan między dyplomatami i tymi, którzy uprawiają politykę?

— To walkiem naturalne.

— Czy mógłbym pana prosić o wyjaśnienie tej różnicy?

— Ależ mętnie! Ta różnica po prostu kosztuje. Kto potrafi uchwycić politykę i szczęście, tego nazywam dyplomata. Kto jednak zaprawia nieudaną politykę, ten jest tylko i pozostanie

politykiem.

— To rzeczywiście proste i dosadne. Wyznam szczerze, że nigdy tak delikatna różnica nie przyszła mi na myśl.

— Tak, ma się olejem — dzielny pułkownik wskazał przy tym na czoło.

— Miał pan szczęście w swojej dyplomatycznej misji?

— Zamaszyście! Tupiliśmy masę koni dla markalka Bej.

— Ależ nie, nie o to mi chodzi, czy tylko dlatego zapędził się pan tak daleko na południe, aby kupować konie? O wiele łatwiejsze byłoby to przecież na terenach zamieszkałych przez plemiona północne.

Krüger-Bej roztopił się w uśmiechu.

— Jeżeli być pan mieć trudną misję do spełnienia, nadto z ludźmi, którzy wydaje się panu zasługują na ostrożne traktowanie, czyżby pan od razu wpadał z drzwi do domu, jak my Niemcy to ulubienie wyrażamy?

— Ma się rozumieć, nie — zaśmiałem się.

— No właśnie! Według pozorów zakupować konie dla stajni, w rzeczywistości jednak spełnienie wszelkich życzeń wytarzanych przez Mohammed el Sadok Pasza.

— W takim razie pana pobyt tutaj nie będzie zbyt długi?

— Rozumie się! Wyjeżdżam jyjfro, nawet gdyby pofutrze. W wypadku zrobiwszy inters. Ja kupuję tu sobie mianowicie kobietę.

Spojrzałem na niego zaskoczony.

— Czy dobrze pana rozumiem? Chce pan sobie kupić żonę?

— Tak i jednakowoż.

— Tu, u tych ludzi?

— Rozumie się samo w sobie!

— Sądzę, że dziewczyna Beduinów nigdy nie może być sprzedana.

— Włamliwie nigdy. Ale jest tu w gościach jeden z plemienia Tauaregów. Tauaregowie sprzedają od czasu do czasu swoje żony i dziewczęta. Ów ma dwie do sprzedania, z których jedna ma po-twarz anioła.

— Ach tak, więc pan zobaczył tu śliczną dziewczynę i od razu wpadł pan na pomysł jej kupna?

— Tak, do swojego haremu.

— Co? Ma pan nawet swój własny harem? Jak wielki?

— Wielki? Hm: Jedna, ta najstarsza jest nawet wielka, o wiele cięższa niż mnie. Waży prawie trzy cetnary. Inne są szczupłe.

— Jest pan więc żonaty i to kilka razy? Nie wiedziałem o tym.

Czy mogę więc panu życzyć szczęścia w tej materii, panie pułkowniku?

Twarz Krüger-Beja zmieniła się w oblicze szelmy.

— Mogę już pomyśleć co pan teraz myśli szary, lwi synu! Nie, wszystko ma swoje złe i dobre strony!

— A mimo to chce pan sobie sprawić jeszcze jedną kobietę. Myślę, że jednak biorąc to wszystko pod uwagę, został pan prawdziwym mahometaninem. Czyż nie mam racji?

— Tak, naturalne. Czy też myśli pan sobie: nienaturalne? Czy nie jest opojętne, czy pan mówi Allah, czy też brzmi to na podobieństwo Boga, czy świętych trzech króli? Niech pan zezwoli zarówno mnie jak i sobie pominąć ten temat milczeniem. Jeżeli religia ma serce, to rzecz}' zewnątrzne są bez wartością i znaczenia. Ale co dotyczy tą nową kobietę, ta prawda nie jest taka, jak pan sobie ją obraża. Wyjaśnię to później, teraz nie ma czasu ku temu. Spójrz! Jesteśmy już prawie w obozie.

Pułkownik miał rację. Stąd, gdzie zatrzymaliśmy się, mogliśmy objąć spojrzeniem cały obóz Beduinów. Tworzyły go dwa rzędy namiotów, a poza tymi rzędami pasły się stada: z jednej strony konie i kilka krów, z drugiej zaś wielbłądy i liczne owce. Konie, a zwłaszcza te spośród nich, które należą do szlachetniejszych ras, wykazują nieprzemącną niechęć do wielbłądów, których zapachu nie mogą znieść. O ile w czasie wędrówki muszą przebywać te dwa gatunki zwierząt tuż obok siebie, o tyle rozdziela sieje na pastwisku, w przeciwnym razie koń nie czułby się dobrze.

Gdy zbliżaliśmy się do namiotów, wytrysnęła z nich jak ze źródła zbita masa jeźdźców. Wyglądało to tak, jak gdyby wszyscy Mężczyźni mieszkający w wiosce wskoczyli na koń i jak rozpry-śnięty granat gnali ku nam strzelając na wiwat, krzycząc na powitanie nowych gości. A gdy później wjechaliśmy w uliczkę przez nich utworzoną, aby dotrzeć do namiotu szejka, przed namioty wyległy kobiety i dziewczęta, aby oglądać nowoprzybyłych.

W *duarze* było jednak kilku mieszkańców, którzy nie brali w tym udziału. I tak przed jednym z namiotów zauważyłem mężczyznę, który mnie bacznie obserwował. Był słusznego wzrostu, chudy i żylasty. Jasna karnacja, czarne oczy i włosy, kaukaski typ rysów twarzy były dla mnie dowodem, że mam przed sobą człowieka z plemienia Tuaregów, chociaż mięsiste usta i wystające kości policzkowe świadczyły niezawodnie o tym, że w jego żyłach płynęła krew rasy czarnej. Tuaregowie lub Imozarowie, jak sami siebie nazywają, to wojownicze plemię

barbarzyńców, które zasiedliło cały środkowy pas Sahary aż do linii Tuat-Timbuku na zachodzie, a odróżniające się znacznie od swoich arabskich sąsiadów. Niektóre plemiona Tuaregów są znane ze swoich hodowli wielbłądów. Już ubiór tego człowieka wskazywał na plemię Tuaregów. I to nawet, gdy nie nosił charakterystycznego *litham* -woala na twarz, to jednak nosił brudny, biały *tikamist* - bawełnianą koszulę z długim rękawem i niebieskie *karteba* - bufiaste bawełniane spodnie podtrzymywane wokół bioder za pomocą długiego, czerwonego pasa. I nawet, gdy nie był ogólnie biorąc uzbrojony, to mógłbym przysiąc, że na wewnętrznej stronie przedramion, ukryte pod rękawami koszuli, miał przymocowane sprzączkami sztylety. Tuaregowie mianowicie w walce, obejmują wroga i wbijają mu obydwoma miecze od tyłu w płuca.

Właśnie, gdy byliśmy już blisko Tuarega, odsłoniło się wejście namiotu i wyszła z niego dziewczyna. Jej zamiarem najwidoczniej było zobaczyć gości. Na szmer, jaki spowodowała, on się szybko odwrócił.

— Co wpadło ci do głowy! — zaryczał wściekle na dziewczynę. — Właź do środka. Na wszystkich diabłów *dzehennahu*! Zrób to, albo mój nóż przesyje twoje ciało!

Gdy tak stał z zaciśniętymi ze złości zębami, wyglądało na to, że to błahe przecież przewinienie zostanie okrutnie ukarane.

Dziewczyna cofnęła się zatrwożona i zniknęła.

Mimo, iż cała scena rozegrała się w ułamku sekundy, zobaczyłem tą jedyną w swoim rodzaju piękność. Była bez zasłony na twarzy.

Podczas gdy kobiety Maurów wciąż zasłaniają swe oblicze, córki wolnych Beduinów nie są w tej kwestii tak przesadne. Wiedzą, że mogą pozwolić się zobaczyć, i są też zbyt dumne, aby poprzez gest woalowania przyznać, że mogłaby im grozić jakaś miłosna przygoda, gdyby pokazały swoją twarz.

Ta młoda mieszkanka pustyni, która musiała tak szybko zniknąć, była wysoka i pełnych kształtów, podczas gdy Beduinki zazwyczaj są szczupłe i filigranowe. Gdyby jej rysy twarzy nie były typowo orientalne, możnaby ją uważać za Europejkę z Północy, widząc oślepiającą biel jej skóry. W każdym razie ta czarująca Arabka nigdy nie była zmuszona, aby narazić się na działanie promieni słońca w czasie jakiegokolwiek pracy. Właśnie kolor jej skóry pozwalał wnioskować, że pochodzi z wyższych kast społecznych. Miała ciemne, jedwabisto-miękkie oczy i miałem wrażenie, jak gdyby przez mgnienie oka spoczęły na mnie w żarliwej prośbie. Ale to było z pewnością złudzenie, bo czegoż mogła pragnąć ode mnie, obcego, czego nie mogli jej zapewnić w równym stopniu współplemieńcy? Długie i silne warkocze jej ciemnych

jak noc włosów zwisały prawie do ziemi i były ozdobione wplecionymi koralami i na gładko oszlifowanymi kłami lwów. Ten rodzaj biżuterii był widocznym znakiem, że mężczyźni z jej rodziny to nieustraszeni, dzielni wojownicy i myśliwi, którzy na dodatek

darzyli swoje córki lub siostry wielkim uczuciem, jeżeli obdarowali ją tymi symbolami zwycięstwa w niebezpiecznych walkach z lwami i to do tak bardzo niezwiązanych z walką celów.

Gdy już przejechaliśmy obok namiotu, Krüger-Bej zahaczył o mnie rączką swojej szpicruty.

— Czy zobaczył pan ją?

— Kogo?

— No, tę dziewczynę. Jak podoba się panu?

— Jest bardzo piękna.

— Nieprawdaż? To ta, o której wcześniej panu powiedziałem.

— Gratuluję panu!

— Niech pan przestanie. Rzecz ma się inaczej, niż pan myśli. Właściwie nie mogę jej kupić, ale jestem pomuszony ożenić się z nią.

— Aby powiększyć swój harem?

— Ależ nie po to.

— Nie pojmuję więc z jakich to powodów chce pan ją kupić, a nawet się z nią żenić.

— To właśnie zamierzać panu wyjaśniać. Chcę ją nie dla siebie, ale dla Mohammeda el Sadok Beja Tunisu. Ponieważ nie być ona czarną, nie móc być też sprzedana, ale kto ją chce mieć musi ożenić się z niej. Dlatego też ja ożenić się z niej, a potem od razu wystawić list rozwodowy.

— Ach tak. Kiedy odbędą się te ceremonie?

— Dziś wieczór albo następnym dniem wcześniej rano. Już wyruszył posłaniec aby sprowadzić *mullaha*, mahometańskiego księdza, jak wy to być może nazywacie. Jeżeli *mullah* przybyć jeszcze dzisiaj, to będzie mi poślubiona jeszcze dzisiaj, a wtedy będzie mnie z nią od razu mógł rozwieźć. Jest wtedy moją własnością ale już nie moją żoną, a ja ofiarowuję ją bejowi jako dowód swojego przywiązania.

Ta dziwaczna rozmowa nie mogła być kontynuowana, bo przybyliśmy przed olbrzymi namiot, gdzie oczekiwał nas szejk. Namiot ten był dostatniej wyposażony niż inne. Przed wejściem wbito do ziemi wiele włóczni, a na nich wisiały łuki, strzały i tarcze jako znak, że to

miejsce wybrał dla siebie na siedzibę, władca obozu.

Szejk podszedł teraz do mojego wierzchowca i chwycił go za cugle.

— Zsiądź z konia, efendi i przekrocz próg mojej biednej chaty! Jest ona twoją własnością, twoją i twojego sługi.

Zeskoczyłem z konia. Wtedy odsłonięto dywan, który tworzył wejście do namiotu i wyszła kobieta z na wpół przysłoniętą twarzą, która niosła na drewnianym, okrągłym talerzu: daktyla, kawałek niezakwaszanego chleba i czarkę z wodą.

— Wypij ze mną!

Po tych słowach shejk wypił łyk wody, a ja wypilem resztę. Potem dostałem pół daktyla i połowę chleba, który zanurzono w soli. Szejk delektował się drugą połową. I tak zostałem gościem Araba, który od tego momentu był zobowiązany według obyczaju swojego kraju, aby uczynić dla mnie wszystko, co tylko leży w jego mocy. Oczywiście Halef raczył się też jego gościnnością. Pułkownik pożegnał się teraz z nami i poszedł do swojego, własnego namiotu.

Weszliśmy do namiotu shejka. Tworzyło go jedno pomieszczenie. Zazwyczaj nie jest to przyjęte, bowiem wyznacza się obszar dla kobiety. Ale shejk był na tyle bogaty, aby dla swojej żony urządzić osobny namiot haremu. Na podłodze rozpostarto dywany, maty i poduszki. Usiedliśmy i ta sama kobieta, która wyniosła chleb, podawała nam do stołu.

Najpierw było tyle jedzenia, aby nasycić głód. Później miała być zabita owca i usmażona na rożnie. A dopiero na samym końcu, gdy ta pieczeń była już gotowa, mogła rozpocząć się właściwa uczta.

Gospodarz wstał wkrótce i poprosił o pozwolenie opuszczenia nas, aby móc dopilnować przygotowań do nocnej biesiady. Zostaliśmy sami. Halef nie rozmawiał ze mną od czasu, gdy mnie rozpoznał Krüger-Bej. Teraz nadrabiał zaległości i rozplływał się w wyszukanych słowach zdziwienia i radości nad tym, że tak dobrą mieliśmy podróż i tak przyjazne powitanie. Później wypytał mnie o Krüger-Beja i musiałem mu opowiedzieć o moim wcześniejszym spotkaniu z nim.

— Powiedziałeś przecież, że ten bej pochodzi z kraju, który też jest twoją ojczyzną.

— Tak, to Niemiec.

— Dziwię się, że *nemzi* - niewierny zajmuje tak wysokie stanowisko w kraju, który należy do prawdziwie wierzących.

— On nie jest już niewiernym w tym sensie.

— Jak to rozumieć?

— Przyjął wiarę twojego Proroka.

— *Maschallah*, cud niebios! Cóż słyszę! Stał się prawowiernym synem Proroka! A ja sądziłem, że to *giaur*, już nawet z powodu jego nosa.

— Z powodu nosa?

— Tak, *sidi*! Jest bowiem tak czerwony, że zaraz przyszło mi do głowy, że uwielbia napoje, których zakazał Prorok. A tego nie czyni żaden wierzący wyznawca Koranu.

No cóż, co dotyczy tego punktu, to sam nie mogłem uwierzyć w „prawowierność” mojego prostodusznego, zacnego ziomka. Ale wzbraniałem się, rzecz jasna, aby potwierdzić wątpliwości Halefa.

— Czy ty, *sidi*, nie chciałbyś pójść w ślady tego człowieka i też nawrócić się na wiarę Proroka? — dorzucił z przestrożą. — Widzisz na przykładzie obecnego beja, a dawnego sługi chmielu i jęczmienia, co jest w stanie uczynić Koran ze swoim wyznawcą.

Aha, Halef więc znowu wszczął swój ulubiony temat i można było przewidzieć, że nie tak szybko zrezygnuje z niego. A na to niebezpieczeństwo ja ze swojej strony nie chciałem się zbyt narażać i wstałem, aby przed kolacją obejść jeszcze *duar*. Ale mimo to, zanim opuściłem namiot Halef zawołał za mną z nutą zwycięstwa w głosie:

— Tak czy inaczej nawrócę cię na naukę Proroka, czy tego chcesz czy nie!

Powoli kroczyłem przez ulicę utworzoną przez namioty w kierunku, z którego przybyliśmy. Musiałem przy tym myśleć o *Tua-regu* i tej pięknej dziewczynie, którą widziałem tak krótko. Bezwiednie skierowałem swoje kroki w stronę namiotu zamieszkałego przez *Tuarega*. Tymczasem zanim doszedłem do niego, zauważyłem postać kobiecą, która wyszła z rzędu namiotów i dawała znaki ręką. Czy były kierowane do mnie, czy do kogoś innego?

Rozejrzałem się wokół. Nie było nikogo innego w pobliżu. A więc jej znaki były przeznaczone dla mnie.

Podążyłem za tą kobietą starając się robić to niezauważalnie. Widziałem jak skierowała się za *duar* a potem zniknęła w zaroślach, które ciasno okalały obóz, wytyczając jego granicę. Ostrożnie rozejrzałem się na prawo i lewo, i też skierowałem swoje kroki w kierunku zarośli.

Tam czekała. Odsłoniła *czador* tak, że mogłem zobaczyć jej twarz, która była stara i przeorana bruzdami zmarszczek. Ale ta twarz nie była odpychająca. W młodych latach była zapewne piękna i godna pożądania. A teraz w jej rysach można było odczytać strach i zatroskanie.

— Czy to ty dawałaś mi znaki? — zapytałem, gdy się do niej zbliżyłem.

— Tak, sisi! Nie wpadaj w gniew!

— Czego sobie życzysz?

— Proszę cię na miłość Allacha i jego proroków, ratuj moją panią i mnie.

Nagle doznałem olśnienia.

— Kim jest twoja pani?

— Jest córką znanego szejka Beni Abbas.

— Więc jak znalazła się tutaj?

— Wędrowaliśmy przez pustynię i napadli na nas Tuaregowie. Zabili naszych współtowarzyszy i pojmali nas. Jeden z nich chce nas uprowadzić nad morze, aby nas tam sprzedać.

— Ale dlaczego odważyliście się na taką podróż?

— Naszym celem był Egipt.

— Na Allacha! Co za podróż dla dwóch kobiet!

— Wezwało nas serce i serce nami kierowało. Czy słyszałeś panie kiedyś o Khanum, Królowej Pustyni?

— Nie.

— Jest siostrą mojej pani i mieszka na granicy z Egiptem. Chciałyśmy ją odwiedzić.

— Jak zwie się twoja pani?

— Hiluja.

W tłumaczeniu oznacza to "Słodka" i z pewnością imię to pasowało lepiej niż każde inne do pięknej córki Beni Abbasa.

— Czy twoja pani jest zaręczona?

— Nie, panie!

— Czy może obiecano jej rękę, któremuś z młodych waszego plemienia?

— Nie, jej serce jeszcze nie wybrało. Och panie, gdybyś tylko zechciał ją uratować!

— Dlaczego zwraca się właśnie do mnie?

— Zobaczyła cię w czasie powitania i nabrała do ciebie zaufania. A dzisiaj w nocy ukazałeś się jej we śnie i ją uratowałeś.

To rzeczywiście mile połechnęło moją ambicję. W każdym razie te sprytnie istoty wymyśliły sobie bardzo dobrze to pochlebstwo, aby zapewnić sobie moją pomoc. W głębi duszy zaśmiałem się, ale na zewnątrz zachowałem powagę.

— Więc byłby to dla mnie rozkaz Allacha.

— Tak, panie! Ratuj nas!

— Powiedz twojej pani, że chcę jej służyć, i że Tuareg opuści obóz sam. On was tu sprzeda.

— Tego mu nie wolno. Nie jesteśmy niewolnicami, ale wolnymi córami plemienia Beni Abbas.

— Więc cię na pewno uspokoi, gdy ci powiem, że to kupno będzie właściwie ożenkiem.

— Ożenkiem! Na miłość Allacha! To przecież jeszcze okropniejsze!

— Dlaczego?

— Hiluja chce należeć tylko do tego, któremu mogłaby oddać również swoje serce. — Stara zawahała się i spojrzała na mnie z zakłopotaniem. — Czy też powinna stać się twoją kobietą?

— Nie.

Od razu zrobiła zdecydowany ruch głową.

— Więc na pewno się nie zgodzi. Ciebie mogłaby pokochać, panie!

To stawało się coraz bardziej interesujące. Otrzymałem przecież ni mniej ni więcej jak zawołowane oświadczyzny!

— Może też ofiaruje swoje serce temu, któremu ją przeznaczono. Ma zostać wybranką beja Mohameda Sadok Paszy, władcy Tunisu.

— On jest stary i ma już wiele żon. Nie będzie mogła go kochać.

— No cóż, być może da się to jeszcze zmienić. Jest tutaj Krüger-Bej, dowódca gwardii przybocznej. Właśnie on chce odkupić Hi-luję, to znaczy, chce ją pojąć za żonę, ale też od razu rozwieść się z nią. Wtedy Hiluja nie będzie już z nim związana, a ja porozmawiam z nim. Być może pozwoli jej odejść tam, gdzie kieruje ją jej serce.

— Gdybyś zechciał tak uczynić, sidi!

— Tak uczynię, to najlepsze rozwiązanie. W ten sposób będzie mogła bez walki odejść od Tuarega. Pułkownik posłał już po *mul-laha*. Radzę wam uczynić tak, jak powie wam wasz pan. Jeżeli o wypełnicie pozornie jego wolę, wkrótce będziecie wolne.

— Pójdziemy więc za twoją radą. Dziękuję ci. A teraz muszę już odejść, bo Tuareg nie może się dowiedzieć, że rozmawiałam z tobą. Niech Allah zostanie z tobą, ratuj nas!

I zniknęła. A ja nadłożyłem drogi, aby zmylić ewentualnych świadków rozmowy. Przy wejściu do rzędu namiotów wyszedł mi naprzeciw szejk.

— Szukałem cię, panie. Czy chciałbyś mi towarzyszyć? Pułkownik pojechał już przodem

na pastwisko. Chce kupić kilka koni dla jazdy beja i ma zamiar je teraz oglądać.

Zgodziłem się i wziąłem ze sobą Halefa. Udaliśmy się w tę stronę obozu, gdzie pasły się konie pod czujnym okiem kilku mężczyzn.

Uczestniczyć przy handlu końmi, tego nie daruje sobie tak łatwo żaden Arab, a zwłaszcza gdy należy do otoczenia męża, do którego należy sprzedawany koń; dlatego też zebrali się wszyscy mężczyźni, gdy sprawdzano i objeżdżano konie.

Pułkownik zakupił dużą ilość zwierząt. Nie miał jednakże przy sobie pieniędzy, bo w tej niebezpiecznej okolicy ludzie wystrzegają się noszenia przy sobie większej ilości gotówki. Zdecydował, że kilku członków plemienia pojedzie z końmi do Tunisu i tam otrzymają pieniądze.

W międzyczasie zapadł zmrok. Gdy powróciliśmy do obozu, pieczeń była gotowa. Zgodnie ze zwyczajem nie spożywano posiłku w namiocie, ale usiedliśmy przy ognisku, które rozpalono w pobliżu namiotu szejka. Na olbrzymiej misie leżała nierozkrojona pieczeń, na górze gruboziarnistego ryżu, przyprawionego rodzynekami i czerwonym pieprzem. Moje miejsce wyznaczono po prawicy szejka, pułkownik usadowił się na lewo od niego, Halef siedział tuż obok mnie, a trochę z tyłu zajęła miejsca starszyzna plemienia.

Nie było mowy o widelcach i łyżkach. Beduini jedzą rękami, odrywając kawałek mięsiwa. Ryż bierze się też rękoma i formuje się z niego kulki, aby w tej postaci go spożyć. Szejk czasem odrywał spory kawałek pieczeni, który wydawał mu się szczególnie smaczny i wkładał go mnie lub pułkownikowi do ust. To było szczególne wyróżnienie, i ten spośród starszyzny, który miał to szczęście, że szejk wypowiadał jego imię, podchodził i otwierał usta a szejk udzielał mu tego honorowego kęsa. Posiłek właśnie się zaczął, gdy zjawili się jeszcze dwoje ludzi, którzy bez żenady usiedli i od razu sięgnęli po pieczeń, bez uprzedniego pytania o pozwolenie. Był to Tuareg i jeden z członków plemienia, u którego w namiocie ów mieszkał. Nie zwróciło to niczyjej uwagi, ale co więcej, dla Beduinów było to zupełnie oczywiste. Gość jednego ze współplemieńców jest gościem wszystkich. Gdy biedny Arab ma gościa i nie posiada nic, czym mógłby go poczęstować, to po prostu zwraca się do bogatszego sąsiada ze słowami: „Podaruj mi jedną z owiec z twojego stada, abym mógł dać jeść swojemu gościowi!” - a bogacz da mu jagnię. Kto przybywa wraz ze swym gościem jest usprawiedliwiony; może spożywać posiłek nawet u swego śmiertelnego wroga, który, gdyby przybył bez gościa, mógłby go poczęstować sztyletem zamiast jedzenia. Ten zwyczaj był zachowany również tutaj - Tuareg był gościem, dlatego mógł swobodnie zjawić się na uczcie i spożywać pieczeń.

Po posiłku odeszliśmy i szukaliśmy towarzystwa innych Beduinów. Pośrodku *duaru*, przy

olbrzymim ognisku zasiedli oni do swojej wieczerzy. Był to przedziwny obraz. Płomienie malowały w czerni nocy na ekranie namiotów obrazy na kształt zwid; w tył i wprzód huśtały się olbrzymie cienie, ale dla tych, którzy do tego przywykli nie było to nic przerażającego. Ogorzałe, brodate twarze patrzyły poważnie przed siebie i przeżuwały swój posiłek z powagą ludzi zżytych z przyrodą, bez pośpiechu i niepokoju.

Wtedy rozległ się odgłos końskich kopyt. W ulicę namiotów wjechało dwóch jeźdźców. Jeden z nich zwinnie zeskoczył z rumaka i zwrócił się do szejka:

— Znalazłem *mullaha* w Sinaun. Oto on!

Drugi z jeźdźców zsiadł dostojnie ze swojego konia i budząc szacunek podszedł do ogniska, podnosząc przy tym ręce, aby pobłogosławić zgromadzonych:

— *Sallam alei kum*, pokój z wami!

— *Aleik sallam!* — odpowiedzieli zebrani i podnieśli się oddając cześć przybyłemu.

Nie wymówiwszy ani słowa więcej szacowny gość usiadł koło pieczeni, sięgnął po nią wszystkimi dziesięcioma palcami i wetknął tyle mięsiwa do ust, że zdawać by się mogło, iż nie jadł nic od wielu dni. Dopiero, gdy chyba zaboląła go zuchwa, wezwał nas łaskawie: „Usiądźcie ponownie i jedzcie dalej!”.

Później wytarł ociekające tłuszczem palce w swój kaftan, zwrócił głowę w kierunku szejka, zmusztrował go wnikliwie od głowy do stóp a później rozwarł swoje olbrzymie usta i rzekł:

— Słyszę, że jeden z twoich gości chce pojąć tu kobietę. Gdzież on jest?

— Tutaj — szejk wskazał na pułkownika.

Mullah był starym człowiekiem, biała broda sięgała mu do pasa, a turban, którego przekrój był prawie na długość łokcia podnosił godność jego postaci.

Ponieważ turban był koloru zielonego, wywnioskowałem, że przybyły *mullah* jest *szeryfem*, a więc bezpośrednim potomkiem Proroka, bo tylko tacy mają prawo do noszenia zielonego turbanu.

Mullah obserwował chwilę pułkownika, coś przemyśliwał, położył potem palec na nosie i zakotłosał się w przód.

— Moje oko już kiedyś cię widziało. Czy nie jesteś Krüger-Bejem, władającym gwardią przyboczną?

— Tak to ja.

— Niech Allah da ci zadowolenie z kobiety, którą pożądasz. Gdzie jest jej ojciec?

— Nie ma tu jej ojca. Jest jej pan.

— Więc sprowadźcie go. Gdzie mają odbyć się zaślubiny?

— Tutaj.

— Więc niech przybędzie narzeczona ze swoim panem. Ale przysłóńcie jej szczelnie twarz. Żadne bowiem oko nie może zobaczyć twarzy tej dziewczyny, która ma stać się kobietą.

Trwało to dość długo, nim Tuareg zjawił się z oblubienicą. Była ubrana w zwyczajowy szeroki płaszcz z kapturem, w którym był tylko jeden otwór na jedno oko.

Mullah pogładził swoją brodę.

— Jak się zwiesz? — zapytał Tuarega.

— Ben Hamalek.

— A jak nazywasz oblubienicę?

— Hiluja.

A może zabrzmiało to Haluja? Tuareg wymówił pierwszą sylabę tego imienia trochę niewyraźnie, tak, że można było równie dobrze zrozumieć Haluja. Ale nikt nie zwrócił na to uwagi.

— Więc rozpoczynajmy!

— Zaślubiny? — zapytał Ben Hamalek szybko. *Mullah* spojrział na niego wielkimi od zdziwienia oczyma.

— Tak, przecież po to przybyłem.

— Zaczekaj. Musimy jeszcze porozmawiać o *kalam*, nie było o tym jeszcze słowa.

Kalam to posag, lub to, co otrzymuje krewny panny młodej, oddający ją za żonę.

— Załatwimy to szybko! — powiedział Krüger-Bej. — Ile chcesz?

Pułkownik mówił teraz potocznym językiem arabskim. Brzmiało to w jego ustach o wiele bardziej władczo, niż jego łamana niemczyzna.

— Jak chcesz płacić? W naturze, czy w pieniądzu?

— A co wolałbyś?

— Pieniądz.

— Nie mam. Czy uważasz mnie za tak nieostrożnego, że objeżdżam tę pustynną okolicę z taką sumą?

— Ale ja mam pieniądze — wtrącił się szejk. — Sądzę, że wystarczy. Pożyczę ci więc, a ty mi oddasz przy zapłacie za konie.

Pułkownik skłonił się z uznaniem w kierunku szejka.

— Dobrze, jesteś bardzo przyjazny i uczynny dla swojego gościa. Gdy odwiedzisz mnie w Tunisie, będę mógł ci się odwdziaczyć. A więc, Ben Hamalek, ile żądasz?

— Pięćset talarów Teresy.

— Jesteś pięćsetkrotnie prze... ! Na Allacha! Prawie wymówiłem coś, co nie jest konieczne. Za pięćset talarów Marii Teresy mogę mieć sześć młodych niewolnic piękniejszych od nałożnic w raju. Daję ci dwieście.

— Daj czterysta pięćdziesiąt. Widziałeś ją. Jest tak piękna jak słońce dnia.

— O wiele za dużo.

— Więc daj chociaż trzysta pięćdziesiąt!

— Dwieście pięćdziesiąt! Przysięgam na swoją brodę, że więcej nie dam.

Tej przysięgi nie złamie żaden muzułmanin, Tuareg wiedział więc na czym stało, ale mimo to dodał:

— Jest warta dziesięć razy więcej!

Pułkownik spojrział na niego unosząc do góry brwi i odrzekł z pogardą:

— Tym mniej jesteś wart ty sam, i to naturalnie sobie odliczę. Oprócz tego musisz wziąć pod uwagę, że płacę w tej transakcji gotówką, i że otrzymujesz pieniądze natychmiast!

Trafił tu rzeczywiście w sedno sprawy, bo w tych okolicach najczęściej płaci się jak w czystym handlu wymiennym - za rzecz rzeczą, a pieniądź traktowany jest niezwykle podejrzliwie. Niewiele jest monet, które w ogóle są przyjmowane, a najchętniej widzianą z nich jest talar Marii Teresy. Moneta ta wyszła już z obiegu w Austrii, ale mennice biją ją jeszcze dla Orientu. Aż trudno uwierzyć, jakie kolosalne sumy tych pieniędzy pochłaniają kraje, w których panuje islam. Pieniądź ten wypływa, ale nigdy nie powraca. Za jedną tylko z tych monet można kupić bardzo dużo. Mieszkańcy pustyni są bardzo szczęśliwi, gdy mogą coś sprzedać za tę walutę. A dwieście talarów z podobizną Marii Teresy to rzeczywiście niebagatelna suma. Tuareg wiedział o tym i nie wzbraniał się dłużej.

— Ponieważ jesteś pułkownikiem władcy Tunisu, którego wielbi moja dusza — wyjaśnił, — zgadzam się na twoje warunki.

Uścisnęli sobie dłonie; umowa była zawarta.

— Czy mogę was więc zaślubić? — zapytał *mullah*.

— Tak — pułkownik skinął głową. Duchowny złożył dłonie do modlitwy i rozpoczął:

— *Bismillah errachmahn errachihm*, w imię Boga najmiło-sienniejszego z miłosiernych! Chwalmy Boga, który udzielił nam, daru mowy, który obdarował nas pięknem mowy i

blaskiem słowa! On, najwyższy, stworzył wszystko dla potrzeb człowieka. On powstrzymał wszystko, co jest zbyteczne, a przygotował, co jest konieczne. Nakazał nam małżeństwo, ale zabronił żyć inaczej. On, Najważniejszy, mówi: „Weźcie sobie na żony te z kobiet, które się wam podobają, jedną, dwie, trzy, również cztery! O, nasz Wieczny Dobroczyńco! Pozwól nam wyrazić swoją wdzięczność w dziękczynieniu za twą miłość o Wszechwładny Przewodniku! Dziękujemy Ci za dar małżeństwa. O Allachu, prowadź nas do wstrzemięźliwości i doskonałości. Do nas należ)' podziękować Ci za dar małżeństwa. O Allachu, uskrzydłaj każdy nasz czyn, również w małżeństwie! Wyznajemy, że nie ma innego Boga oprócz Allacha, jedynie wiecznego, i że Mahomet, jego wysłannik, jest obdarzony łaską przed wszystkimi ludźmi! Tak, niech łaska Boga spoczywa na pierwotnym jego stworzenia, Mahomecie, błogosławionym przez Boga poprzez cuda i na jego rodzinie. Błogosławię tę parę i błagam, aby miłosierdzie Najwyższego spoczęło na niej i dziękuję Allachowi, bo on jest miłosierny i miłościwy, co udowodnił poprzez złączenie waszych serc”.

Po tych słowach zwrócił się *mullah* do Tuarega:

— Ty, który zwiesz się Ben Hamalek, czy chcesz tę kobietę dać za żonę pułkownikowi wojsk?

— Tak — odrzekł Targi.

— A ty, Krüger-Beju, pułkowniku bohaterów władcy Tunisu, czy chcesz ją wziąć za żonę, kochać ją, żywić aż do końca twoich dni, jak długo będzie ci powolna i jak długo będzie ci się podobała?

— Tak — odrzekł pułkownik.

I tak oto święty obrządek został dokonany, pierwsze mahome-tańskie zaślubiny, jakich byłem świadkiem. „Oblubienica” przez cały czas trwała w bezruchu jak posąg i nie wymówiła ani słowa.

Teraz jednak Krüger-Bej podrapał się za turbanem. Właśnie przyszło mu na myśl coś, o czym wcześniej nie pomyślał.

— Powiedz mi, *mullahu*, czy ta kobieta musi teraz mieszkać u mnie?

— Tak, bo oto jesteś jej panem i mężem.

— Ale jestem tu obcy. Ona przecież nie może ... Tu przerwał mu Ben Hamalek:

— Jest córką Beni Abbas. W jej plemienu istnieje nakaz, aby każda z zaślubionych w czasie pierwszej nocy swojego małżeństwa nie rozmawiała z nikim i oddaliwszy się sama oddała się modlitwie. Oczekuję, abyś uszanował zwyczaj jej plemienia.

— Chciałbym tak uczynić. Ale nie mam namiotu.

— Ja mam namiot — powiedział szejka. — Tam oto stoi mój namiot, w którym trzymam swoje zapasy. Będzie w nim mogła się modlić i nikt jej nie przeszkodzi. Zaprowadź ją do niego, *mullahu*, bo to ty jesteś tym, który wprowadziłeś ją do małżeństwa.

Duchowny uczynił jak powiedziano na swój pełen godności sposób. Gdy wrócił i znów zajął swoje miejsce, wyciągnął papier i starą butelkę, w której był atrament.

— Teraz musimy zapisać to, co się wydarzyło — powiedział, — a tych dwóch ma to podpisać.

Ułożenie pisma trwało dość długo, bowiem starzec nie okazał się wytrawnym pisarzem. Gdy wszystko było już gotowe, Targi i pułkownik podpisali się poniżej. Kriiger-Bej, jako właściciel kobiety otrzymał dokument. Schował go za pazuchę.

— Tak, jest teraz moją żoną — powiedział zadowolony i zamrugał do duchownego.

— Ale powiedz mi, *mullahu*, kiedy mogę się z nią rozwieść?

— Powiedziałem ci to już wcześniej.

— Nie usłyszałem tego.

— Wytłumaczę ci więc dokładniej: masz ją kochać i żywić aż do końca twoich dni, tak długo, jak długo będzie ci się podobała i będziesz ją lubił.

— Jeżeli jednak już teraz mi się nie podoba?

Mullah rozwarł szeroko oczy tak, iż jego turban zsunął mu się zupełnie na brwi. Potem podniósł do góry płaskie dłonie i zawołał z zimną krwią:

— Więc się z nią rozwiedź!

— Czy zechcesz to uczynić?

— Jeżeli jest to twoją wolą, tak!

— Proszę cię oto!

— Więc słuchaj słów sześćdziesiątej piątej sury. *Mullah* rozpostarł ręce i modlił się:

—W imieniu najmiłosierniejszego Boga! O Proroku! Gdy rozwodzicie się z żoną, to dobrze zastanówcie się, co czynicie! Nie przepędzajcie jej z waszych domostw, gdy nie mają oprócz tego żadnego schronienia. Może Allah odnowi waszą miłość tak, iż pozostaniecie razem. Ale gdy rzeczywiście powinna odejść, po dojrzałym zastanowieniu, niech uczyni to szybko a wspierajcie się wzajemnie w ugodzie.

Po tych słowach zwrócił się do pułkownika:

— Powiedz mi, Kriiger-Beju, pułkowniku gwardii władcy, czy chcesz być rozwiedziony z

Hilują, zaślubioną ci żoną?

— Chcę!

Mullah jeszcze raz spojrział na niego pełnym wątpliwości wzrokiem jak na coś niemożliwego do pojęcia. Coś takiego jeszcze nigdy mu się nie przydarzyło - w jednym mgnieniu oka żenić się i rozwodzić. Jednak Kruger-Bej zachował powagę, więc *mullah* zdecydowanym już ruchem uniósł ręce.

— Powiedz trzy razy słowa: „możesz odejść!”

— Możesz odejść, -możesz odejść, możesz odejść. Kriiger-Bej wymachiwał na pożegnanie za swoją żoną obu ramionami.

— Więc jesteś rozwiedziony. Jestem tego świadkiem! Najchętniej zawołałbym: *Maschallah!*

Gdy ja podczas całej tej ceremonii musiałem tłumić w sobie śmiech, wszyscy Arabowie byli tak poważni, że w obecnej sytuacji wydawało się to wyjątkowo zabawne.

Zastanówmy się: chodziło o zakazany czyn, o sprzedanie Arab-ki. Każdy z zebranych wiedział o tym, albo przynajmniej się domyślał. Ale ten fakt przykryto pozornym płaszczykiem społecznym i religijnym, i żaden z nich się nie sprzeciwił. Najwspanialsze jednak były: zdziwienie, wątpliwości i śmiertelna powaga, z jaką *mullah* przeprowadził „zaślubiny” i tuż po tym następujący „rozwód”.

A więc poczciwy Kruger-Bej jeszcze nie tak dawno był panem młodym i współmałżonkiem, a teraz już był rozwiedzionym małżonkiem. Przyjął to jednak bez szwanku swojego dobrego humoru i zapytał szejka:

— Czy twój zapas daktyli jest dobry?

— Tak.

— A czy masz *lagmi* ?

— Cztery pełne dzbany.

— Więc daj swoim ludziom daktyle, aby się poczęstowali i niech napiją się *lagmi*, cztery pełne dzbany, dwa na uroczystość zaślubin i dwa na uroczystość rozwodu!

Lagmi to sfermentowany sok z daktyli, smakuje prawie jak wino i pijąc go dostaje się lekkiego rauszu, jeżeli nie chce się tego określić innym słowem, mianowicie upijaniem się.

Wiść, że będą daktyle i *lagmi*, wywołała w obozie radosne poruszenie. Mężczyźni zebrali się i pozwolili sobie na spędzenie przyjemnych chwil.

Targi nie uctował z innymi. Gdy tylko otrzymał od szejka pieniądze, oddalił się.

Jeszcze nigdy nie miałem sposobności, aby mieć w ręce dokument sporządzony przez *mullaha*. Wyprosiłem go więc od pułkownika i przy blasku ogniska oglądałem uważnie. Zauważyłem przy tym jeden szczegół, który wprowadził mnie w osłupienie.

— Napisane jest tu Haluja. Czyż nie miała na imię Hiluja?

— Tak — było odpowiedzią pułkownika.

— Zwróciłem na to uwagę już wcześniej. Ben Hamalek też nie powiedział Hiluja ale Haluja.

— Widocznie się przejęczył, a *mullah* zapisał to dogodnie z tym.

— Nie wierzę temu Ben Hamalekowi.

— Ja również. Ale cóż może to przeinaczenie zmienić? Nic! Po prostu mu się przejęczyło.

— Oby nie przyszło mu na myśl, aby pod osłoną nocy wykraść Hiluję i umknąć wraz z nią i pieniędzmi.

— Jest pan zbyt podejrzliwy — odrzekł beztrosko pułkownik. — Z tej prostej fakta, że jednemu litera została zmieniona wyciąga pan tak dalekojadące wnioski. Targi nie odważy się, aby posądzono go o naruszenie prawa gościnności tego *duaru*.

A wtedy mój mózg przeszła jak błyskawica pewna myśl. Jak, jeżeli... ? Ale było to tak nieprawdopodobne, że zabrakło mi odwagi nie tylko aby to głośno wypowiedzieć, ale nawet aby snuć dalej ten wątek w swoich myślach. Ale pomysł ten był jednocześnie o tak zniewalającej dawce dowcipu, że już w duchu skłaniałbym się, aby ten czyn uszedł Tuaregowi na sucho. Zwłaszcza, jeżeli tym, kogo chciano oszukać nie byłem ja. Dlatego też nie wspominałem już o swoim podejrzeniu i po chwili wstałem, aby udać się na spoczynek.

Halef od razu poszedł w moje ślady.

Właśnie zasypiałem, gdy usłyszałem tuż obok głos Hadżiego:

— Sidi, czy śpisz?

— Nie, czego chcesz?

— Sidi, ona byłaby w sam raz dla ciebie.

— Kto?

— Hiluja. Widziałeś przecież, że władcrfwojsk dał jej list rozwodowy.

— No i co z tego?

— Gdybyś rzekł mu chociaż słowo to podarowałby ci ją.

— Popelniasz tu zasadniczy błąd. Oczywiście, pułkownik chce ją komuś podarować, ale

tym kimś nie jestem ja, tylko Moham-med el Sadok Bej, władca Tunisu.

— *Hazreta*, wielka szkoda!

— A zresztą stokrotne dzięki za tego rodzaju prezent.

— Co masz na myśli?

— Po pierwsze, nie chcę przyszłej wybranki swojego serca otrzymać w darze, po drugie, jeżeli kiedykolwiek zacznę zakładać swój harem, to kobieta ta, musi być przynajmniej młoda.

— *Maschallah!* Hilujajest przecież młoda. Widziałeś ją przecież, gdy przejeżdżaliśmy obok namiotu Tuarega, widziałeś ją tak dokładnie jak ja.

— Kto ci powiedział, że ta kobieta, którą poślubił dzisiaj pułkownik a później odprawił, to Hiluja?

— Ależ, *sidi*, któż inny mógłby to być?

— Jakaś inna, a przynajmniej tak przypuszczam. Ale teraz pozwól mi spać. Jestem zmęczony. *Leiletak saide*, niech noc twoja będzie szczęśliwa!

Po tych słowach odwróciłem się na bok. Halef mamrotał jeszcze do siebie coś niezrozumiałego. Widocznie nie mógł pogodzić się z odrzuceniem przeze mnie propozycji małżeństwa. Widocznie był pewien, że tą propozycją dostarczył mi widocznego dowodu swojej dobrej woli. W końcu uspokoił swoje myśli, a ich wynik osiągnął punkt szczytowy w zapewnieniu, które słyszałem już nie po raz pierwszy.

— Ja cię jeszcze nawrócę. Obojętnie czy tego chcesz czy nie. To były ostatnie słowa, które doszły do mojej świadomości.

Potem zasnąłem. Nie wiem, jak długo spałem. Ale gdy się ocknąłem, odzyskana świadomość nie była wynikiem samoprzebudzenia, tylko ktoś bez pardonu szarpał mnie za ramię. Usiadłem.

— Kto to?

— To ja, Halef Wstań szybko, rozpętało się piekło!

Te słowa przebudziły mnie do reszty. Szybko zeskoczyłem z łóżka i wyszedłem przed namiot. Według położenia gwiazd powinno być gdzieś na dwie godziny przed wschodem słońca.

W *duarze* panowała cisza. Nic nie potwierdzało zaniepokojenia Halefa.

— Pozwól panie, że ci opowiem — powiedział idąc obok mnie. — Źle spałem. Twoje tak tajemnicze słowa o Hiluji, że w rzeczywistości nie jest ona Hilują, ale kimś zupełnie innym, wkradły się do moich snów. Wciąż się budziłem, aż w końcu w ogóle nie mogłem zasnąć.

Dlatego zerwałem się i poszedłem zrobić obchód *duaru*. Przy namiocie Tuarega miałem ochotę sprawdzić, czy jeszcze tam jest, bo przypomniałem sobie twoje słowa, że być może ucieknie z Hilują i z pieniędzmi. Zacząłem podsłuchiwać i wkrótce byłem już pewny, że namiot stoi pusty. To było podejrzane. Dlatego popędziłem na pastwisko. Przy tym musiałem przedzierać się przez zarośla, które tworzą brzeg *duaru*.

Przez moment zaczerpywał oddech, bo jego opowiadanie toczyło się z nieprawdopodobną szybkością. Teraz opowiadał ze zdwojoną prędkością:

— Właśnie chciałem skrócić koło kolczastego krzewu, gdy w poświacie gwiazd zobaczyłem idących mi naprzeciw dwóch mężów. W jednym z nich, jak mi się wydaje, rozpoznałem Targiego. Gdy przechodzili obok krzewu, za którym się ukryłem, jeden z nich powiedział do drugiego: „Twój koń jest dobry, ale mój jest do niczego. Zabiorę więc klacz szejka, a dla Hiluji wierzchowca władcy wojsk”. Apotem zniknęli w zaroślach. Zastanawiałem się, co mam uczynić. Najlepszym pomysłem zdawało mi się wrócić do *duaru* i obudzić ciebie.

— Najlepszym pomysłem byłoby wyprzedzić złodziei i ostrzec strażnika pilnującego zwierząt — przerwałem mu, — ale teraz nie ma czasu na długie rozmowy. Pędź co sił do namiotu szejka i opowiedz mu o tym, co się wydarzyło. Możesz też powiadomić o wszystkim pułkownika. Resztę pozostaw mnie.

Zostawiłem go przed namiotem, a sam szybko wskoczyłem do środka, aby wziąć rewolwery. Później pobiegłem do ogniska i wystrzeliłem dwa razy w powietrze.

— Na pastwiska! — zakrzyknąłem wśród pytających głosów. — Złodzieje!

Wszyscy pobiegli w kierunku zwierząt. W zamiarze uczynienia tego samego zobaczyłem po swojej lewej stronie szejka, po drugiej pułkownika, podążających ku mnie.

— Co się stało? — zawołał szejk — Twój sługa zakrzyczał, że Targi chce uciekać, a potem pobiegł dalej.

— Tak, Targi chce uciec, ale razem z klaczą, która jest w prostej linii od klaczy Proroka, szejku i z twoim rumakiem, o władco zastępów wojsk.

Nagle na zewnątrz, poza obozem, rozległ się prawdziwie pogański wrzask. Rozbrzmiały głosy wołające o pomoc i wystrzały.

— Tak, *musihbe, iafaza!* Co za nieszczęście, o straszny losie. Moja ukochana klacz, mój skarb, moje niebo, moja rozkoszy — zawodził w rozpacz szejk i pobiegł w kierunku odgłosów.

— Niech ten przeklęty złodziej weźmie diabłu! — zaklął w swoim przepięknym niemieckim pułkownik i podążył za nim.

Zostałem sam. Zanim jednak pobiegłem w kierunku stad, podszedłem do namiotu z zapasami, gdzie powinna być Hiluja i otwarłem go.

-r* Hiluja! — zakrzyknąłem do czeluści.

— Nie, to ja panie, Haluja.

— Haluja! Co to ma znaczyć? Twoja służebna powiedziała dzisiaj, że twoje imię jest Hiluja.

— Tą służebną byłem przecież ja. Ja mam na imię Haluja. Co się stało? Skąd te krzyki i odgłosy strzałów?

Mówiąc to kobieta wyszła przed namiot. Już nie nosiła *czar-czafa*. Pochyliłem się i rozpoznałem mimo ciemności starą Bedu-inkę, z którą rozmawiałem wczoraj.

— Niech to wszyscy diabli, a więc jednak! Oszukał nas! Wejdz od razu do środka i zostań tam, aż wrócę!

Tym samym wepchnąłem ją do namiotu i wybiegłem przed obóz. Zapalono tam pochodnie skrócone z włókien palmowych. Płomienie oświetlały bezładny, nieukierunkowany chaos ludzkich postaci.

— Spokój! *Imschi*, nie ma. Nie ma go! — zawołał szejek w swoim zdesperowaniu, gdy mnie dostrzegł.

— Kogo? Tuarega?

— Nie, mojego siwka! Niech Allah przeklnie złodzieja do najgłębszych głębi *džehennahu*!

— Mojego kasztana również ulotniło — zasapał Kriiger-Bej. — Niech diabeł powozi tym obwiesiem.

— *Yallah, Yallah*. Musimy dogonić złodziei. Na koń! Wszyscy na koń! Szybko za nimi!

Szejk chciał dosiąść pierwszego lepszego konia, ale mocno chwyciłem go za ramię.

— *Wakkif*, stój! Zaczekaj jeszcze! Nie pędźmy za złodziejami tylko na wierzchowcach, ale dogońmy ich też naszym rozumem. Kto widział tych ludzi?

— Ja — zgłosił się jeden z mężczyzn. — Byłem najbardziej wysuniętą wartą przed obozem. Właśnie gdy wychodziłem spoza namiotu przejechali obok mnie jak szaleni.

— Ilu ich było?

— Dwóch jeźdźców i trzy konie. Na trzecim, tym którego pędzili w środku, było coś, co wyglądało jak związany tobołek.

— Na pewno Hiluja. W którą stronę się skierowali?

— Prosto na wschód.

— Więc musimy wyruszyć natychmiast, jeżeli chcemy ich dogonić! — zawołał szejk.

— Nigdy już nie zobaczysz swojego siwego rumaka, jeżeli ruszysz teraz w pogoń za złodziejami — wtrąciłem się.

— Chcesz im pozwolić umknąć?

— Nie, ale czy potrafisz dostrzec ich w ciemności? Proszę cię, pójdz za moją radą. Wyruszymy o wschodzie słońca.

— Wtedy będą już daleko.

— Przysięgam ci, że nam nie umkną. Jeżeli jednak ruszysz teraz w tych ciemnościach, to zatrzęsiesz wszelkie ślady, które potrafiłbym znaleźć.

— Ale jak chcesz ich dogonić? Mają przecież nasze najszybsze konie!

— Widziałem dzisiaj na waszym pastwisku kilka najlepszych wielbłądów. Są szybsze niż najszybsze konie. Czy możesz mi powiedzieć, gdzie kierują się uciekinierzy?

— Skąd mam to wiedzieć?

— Ale ja wiem. Rozumie się samo przez się, że chcą możliwie szybko sprzedać Hiluję. Czy wiesz może, gdzie jest to najszybciej możliwe i jednocześnie gdzie złodzieje czują się jak u siebie w domu?

— W mieście Tarabulus-Tripolis, nad morzem.

— W którym z czterech kierunków świata leży to miasto?

— Dokładnie na wschodzie.

— Czyż nie w tym kierunku udali się złoczyńcy? Dokładnie w tym. Widzisz więc, że czasami korzystniejszym jest podążać za wrogiem myślą niż konno. Nie ulega wątpliwości, że podążają na wybrzeże do Tripolisu.

— *Maschallah!* Masz rację. Tylko tam mogą szukać schronienia!

— Czy ktoś spośród was zna dokładnie drogę do tego miasta? Mój przewodnik, którego nie widziałem od swojego spotkania

z El Homra, wystąpi! z szeregu.

— Ja znam drogę. Jest ich kilka, znam je wszystkie. Rabusie wybrali na pewno najkrótszą z nich.

— Też tak sędę. Byłoby najkorzystniej znaleźć jakąś drogę boczną, aby ich wyprzedzić i oczekiwać na ich przybycie.

— Możemy tak uczynić. Wielbłądy są przecież szybsze.

— Kto jedzie z nami?

— Ja — odrzekł szejk.

— Ja — powiedział pułkownik.

— Ja — zawołał Halef

— Ja, ja... — przekrzykiwano się nawzajem.

— Tylu nie może wyruszyć — sprzeciwiłem się. — Możemy wybrać najszybsze wielbłądy. Ile takich mamy tutaj?

— Prawdziwie dobrych wielbłądów mam pięć — odparł szejk.

— Więc może wyruszyć tylko pięciu jeźdźców. A *khafir* i ja to już dwóch.

— I ja — zawołał szejk.

— I ja — zgłosił się Halef

— I oczywiście ja — stwierdził pułkownik.

Pozwoliłem sobie, aby sprzeciwić się osobie Kruger-Beja. Nie dowierzałem jego możliwościom wytrzymania tego uciążliwego wypadu, ale Kruger puścił mój sprzeciw mimo uszu. Kazałem więc zaopatrzyć wielbłądy w siodła i przygotować zapas wody i żywności. Później przypomniałem sobie o służącej.

Wziąłem pułkownika na stronę, nie miał przecież pojęcia jak wygląda sytuacja w rzeczywistości. Jednemu z mężczyzn wyjąłem z dłoni pochodnię i udałem się z Kriiger-Bejem do namiotu Haluji.

- Właściwie jestem zły na pana — zaczął pułkownik. — Nie był pan skłonny zabrać mnie ze sobą.

— Miałem najlepsze zamiary. Jazda będzie wyczerpująca.

— Czyż nie powinienem się wysilić, aby odnaleźć swoją rozwiedzioną małżonkę?

— Nie znajdzie jej pan na zewnątrz obozu.

— No to dopiero, przecież mówiłeś waćpan, że ich dogonimy.

— Ale pana wczorajsza współmałżonka nie podróżuje ze złoczyńcami.

— Hiluja?

— Ta jest z nimi, ale to nie ona została pana oblubienicą. Czy przypomina pan sobie, że Targi wymówił imię Haluja?

— Tak, *mullah* zapisał tak samo.

— No cóż, Haluja to imię służebnej i z nią się pan ożenił. Kruger-Bej splótł dłonie i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Służebna?

— Tak.

—t Boże, wspomóż mnie. Czy jest stara?

— Tak.

— Paskudna?

— Bynajmniej nie piękna.

— Niech ją więc piekło pochłonie! — piorunował pan zastępów wojska. — Czy ona jeszcze tu jest?

— Tak, tkwi w namiocie. Niech pan idzie ze mną!

— Dalej nie pojmuję, jak to może być, jak to jest możliwe być możliwym?

— Wkrótce pan to zrozumie. Ben Hamalek sprzedał panu służącą, a młodą panią zatrzymał dla siebie, aby sprzedać ją w Try-polisie.

— No to dalej, do namiotu! Gdzież jej być?

Teraz odsłoniłem wejście do namiotu i oświetliłem twarz służebnej.

— Na Allacha! To ona?

— Tak, to Haluja.

— Moja rozwiedziona ukochana?

— Tak, wczorajsza oblubienica.

— Na wszystkie dobre duchy i zjawy! I ten chucpiarz miał szczelność zażądać za nią ode mnie taką masę pieniędzy!

— Tak, zapłacił pan za nią dwieście pięćdziesiąt talarów z podobizną Marii Teresy — stwierdziłem to tak poważnym tonem, na jaki mnie tylko było stać.

— Allah jest wielki a ten jegomość zasłużył na stryczek. No! Niech no tylko napadnie w moje ręce! Skruszę mu kark jak holenderską porcelanową fajkę. Ale ta stara baba to przecież oszustka!

— Dlaczego?

— Bo udawała młodą.

— Nie, nie udawała jej. Przecież nie wymówiła ani słowa.

— Mogła przecież powiedzieć, że ma na imię Haluja a nie Hiluja.

— Nikt jej o to nie pytał. Pytano Targiego. A on przecież powiedział Haluja, jak pan sobie przypomina. Ta kobieta nie miała więc pojęcia, że chce się pana oszukać.

Służąca potwierdziła słusność moich przypuszczeń, gdy przestaliśmy mówić po niemiecku i mogła nas zrozumieć. Haluja była posłuszna Targiemu tylko dlatego, że to ja poradziłem jej czynić wszystko, co tylko ten zażąda. Gdy teraz doszło do jej świadomości, że Ben Hamalek uciekł z jej panią, zaczęła głośno lamentować i uspokoiła się dopiero po moim zapewnieniu, że jeszcze będzie mogła ją zobaczyć.

* * *

Gdy nadszedł świt wielbłądy były już przygotowane. Dobrze odżywione zwierzęta, które od dawna nie były narażone na żaden wysiłek, można było więc oczekiwać, że nasz pościg będzie nadspodziewanie szybki.

Od strzałów oddanych na przebudzenie upłynęły być może dwie godziny, gdy pięciu jeźdźców opuściło *duar* i spiesznie udało się na wschód. Wybraliśmy specjalnie trasę trochę bardziej na północ. Chcieliśmy przecież nie tylko dogonić złodziei, ale ich wyprzedzić, a dokonać tego mogliśmy tylko wtedy, gdy ci nie zauważą nas od razu. Wielbłądy przepięknie stapały swoimi długimi nogami. Najszybszy rumak nie mógł się z nimi równać. Po upływie kilku kwadransów z pewnością pokonaliśmy odległość równą pełnej niemieckiej mili.

I tak mijał kwadrans za kwadrans, aż upłynęły pełne cztery godziny. Była to trudna wyczerpująca jazda, ale jej trudy pokonaliśmy. I wreszcie jadący przodem przewodnik uniósł rękę i osłoniwszy nią oczy od blasku słońca zakrzyknął:

— *Wakkif*, stać! Wygląda na to, że w oddali na stepie widać jeźdźców!

Zatrzymaliśmy się. Wyjąłem lornetę i skierowałem ją na wskazane punkty.

Potem podałem ją pułkownikowi.

— To ci, których szukamy.

— *Maschallah!* To oni — *Kriiger-Bej yiTymak* mi rację.

— Więc jednak nie pojechali dokładnie tą trasą, którą my im przypisaliśmy. W ten sposób jeszcze łatwiej wpadną nam w sidła.

— Łatwiej? — zapytałem. — Nie sądzę.

— Dlaczego? Mamy ich tuż przed oczyma!

— Jeżeli tylko któryś z nich odwróci się, zaraz nas zauważą. Jadąc na naszych wysokich wielbłądach jesteśmy o wiele bardziej widoczni, niż oni. Gdy nas dojrzą na pewno postarają się, żeby pomieszać nam szyki.

— Cóż więc zrobią? — zapytał beztrasko szejk. — Są na środku równiny i nie mogą nam uciec.

— Oczekajmy! Przyjmijmy, że ich dogonimy i chcemy ich schwytać. Jak zabierzemy się do tego?

Szejk spojrział na mnie szeroko rozwartymi ze zdziwienia oczyma. Nie mógł zrozumieć o czym mówię.

— Jak się do tego weźmiemy? Gdy tylko do nich podjadę, zastrzelę ich.

—A przy tym być może trafisz swoją drogocenną, niemożliwą do zastąpienia inną kłaczą, kobyłę?

— *Allah UAllahl* Masz rację. Nie możemy strzelać.

— Właśnie to mam na uwadze. Oni jednak nie będą mieli żadnych oporów, aby strzelać do naszych zwierząt. A jeżeli padnie wielbłąd, to jego jeździec nie jest już tak niebezpieczny.

— Co nam radzisz?

— Musimy unikać otwartego starcia i próbować ich podejść. Tam dalej na horyzoncie jest ciemna linia. Czy są tam może góry?

— Tak — odrzekł *khabir*, — to odnogi Dżebel Dahar.

— Wygląda mi na to, że tam podążają zbiedzy.

— Z pewnością.

— Więc zatoczmy łuk, aby być tam przed nimi. Jeżeli dobrze oceniam odległość, to nasi przeciwnicy będą tam około południa i będą chcieli zrobić krótki odpoczynek. Wtedy musimy ich zaskoczyć.

Propozycja ta została uznana za możliwą do przyjęcia. Skierowano inaczej wielbłądy i nie mogliśmy już widzieć ściganych. Nasze zwierzęta zostały zmuszone do maksymalnego wysiłku.

Ciemna linia na widnokręgu była już wyraźniejsza. Przybierała formę i kształty. Później pojawiły się wzniesienia, aż w końcu można było rozpoznać góry pokryte lasami. Tuż przed południem byliśmy u stóp gór. Znów sięgnąłem po lornetę i zbadałem teren. Później wskazałem na równinę.

— Zatoczyliśmy odpowiedni łuk. Myślę, że znajdujemy się w tym miejscu, do którego zdążają Tuaregowie.

— Z pewnością — odpowiedział przewodnik. — Po drugiej stronie na pewno dojadą do strumyka. Wytycza on szlak, który pozwala bez trudu przebyć te góry. Na pewno jadą w jego kierunku.

— Więc spróbujmy być tam przed nimi. Naprzód! Wkrótce osiągnęliśmy rzeczkę i

jechaliśmy powoli w górę jej

biegu, aby odnaleźć miejsce, gdzie przypuszczalnie mogli chcieć się zatrzymać uciekinierzy. Było wiele takich miejsc i było prawie niemożliwym przewidzieć, które wybiorą. Dlatego też poradziłem, aby nadłożyć kawałek drogi, tam zostawić zwierzęta i powrócić pieszo, bowiem w ten sposób będzie nam łatwiej śledzić zbiegów. Propozycja została przyjęta. Pojechaliśmy więc jeszcze kawałek i ukryliśmy zwierzęta w zaroślach pod opieką Halefa. Wróciliśmy pieszo i zajęliśmy pozycje na wzniesieniu, z którego mogliśmy dokładnie penetrować całą okolicę.

Nie myliłem się w swoich przypuszczeniach. Już wkrótce zobaczyłem przez lornetę trzy punkty, które w miarę zbliżania się do nas, stawały się coraz większe, tak że już wkrótce mogliśmy je dostrzec gołym okiem.

— Nadchodzą! — szepnął z napięciem w głosie szejka. — Miejmy nadzieję, że zsiądą z koni przy rzeczce.

Zbiegowie byli już tak blisko, że mogliśmy rozpoznać rysy ich twarzy. Ben Hamalek jechał na klaczy szejka, jego towarzysz po lewej stronie, a Hiluja w środku między nimi na kasztanowym koniu pułkownika. Trzymała się w siodle jak mężczyzna; córki Beduinów są przyzwyczajone do jazdy konnej.

Wybraliśmy właśnie najdogodniejsze miejsce. Zsiadli bowiem z koni prawie pod nami, a ich spragnione zwierzęta zaraz zaczęły pić i posilać się trawą.

Hiluja bezgłośnie upadła na trawę. Jej twarz nie była możliwa do zobaczenia, okalał ją ciasno *czador*.

Targi usiadł koło niej. Jego towarzysz jednak od razu zwrócił uwagę na ślady, które zostawiły nasze wielbłądy. Tych troje ludzi było teraz tak blisko nas, że słyszeliśmy każde słowo. Kompan Targiego wskazał na zdeptaną trawę i powiedział:

— Byli tutaj jacyś ludzie.

— Co nas to obchodzi. Im bliżej jesteśmy wybrzeża, tym mniej musimy być ostrożni. Może być nam to obojętnym, kto tędy przejeżdżał.

— Tak sądzisz? Chyba wiesz, że nas ścigają. Lepiej zachować ostrożność i sprawdzić, dokąd prowadzą te ślady.

Szedł za śladami powoli i ostrożnie, ale uparcie. Jeżeli trzymałby się tego kierunku, musiałby dojść do naszych zwierząt. Wtedy wszcząłby alarm i to zdradziłoby naszą obecność. Musiałem temu w jakiś sposób zapobiec. Rozkazałem swoim towarzyszom spokojnie pozostać w ukryciu i czekać na mój powrót. Sam zsunąłem się bezszelestnie w dół skarpy i przyczałem

za krzakiem. Dobrze wybrałem kryjówkę. Już wkrótce usłyszałem jego ciche, skradające się kroki, pozwoliłem mu przejść obok siebie, a potem wystarczyły dwa skoki i już obie moje ręce zacisnęły się na jego szyi tak, że nie mógł wydobyć żadnego dźwięku. Zwiądnął w moim uścisku tracąc przytomność. Nie był już przeszkodą. Przerzuciłem go przez ramię i zaniósłem do swoich współtowarzyszy. Został przez nich związany i zakneblowano mu usta. Później poprosiłem ich o zachowanie ciszy. Chciałem podejść drugiego bandytę, który był o wiele groźniejszy, chociażby ze względu na swoje noże. Miałem dokonać tego sam. Po raz drugi więc ześlizgnąłem się ze wzniesienia. Zarośla zapewniały mi tak wyśmienitą osłonę, że bez specjalnego trudu znalazłem się tuż za plecami nic nie przeczuwającego Tuarega.

Ten w tym czasie gryzł w milczeniu daktylę i zaczerpnął dłonią z rzeki trochę wody. Teraz wsłuchiwał się uważnie, czy nie usłyszy żadnego dźwięku z tego kierunku, który wybrał jego kompan. Czas oczekiwania na jego powrót wydłużał się. Dlatego zwrócił się właśnie wtedy, gdy przyczałem się za ostatnimi zaroślami, do dziewczyny:

— Masz tu daktylę, jedz!

Hiluja nie odpowiedziała nic i nie poruszyła się.

— Nie słyszałaś? Dlaczego nic nie mówisz?

— Gdzie jest Haruja?

— Ach, dobrze się jej wiedzie. Wyszła za męża. Wkrótce ty też będziesz miała męża. W Trypolisie sprzedam cię bogatemu paszy i będziesz sobie żyła jak w raj.

— Jeszcze nie jesteśmy w Trypolisie.

— Ale dojedziemy tam już za dwa dni. Nikt nie może nam w tym przeszkodzić!

— Ależ tak, znam kogoś, kto stanie ci na przeszkodzie!

— Gorączkujesz? Któż mógłby to być?

— On cię śledzi. Allah zesłał go, aby mi pomóc. Wiem o tym. To zaufanie Hiluji do mnie było wzruszające, gdy się pomyśli,

że widziała mnie tylko przez moment.

— Czy Allah zstąpił z niebios, aby ci to obwieścić? — zaśmiał się szyderczo Targi.

— Wiem to na pewno. On mnie wyzwoli. Obiecał to.

— Komu?

— Haluji.

— Niech Allah unicestwi tę starą czarownicę! Więc z kimś gadała.

— Z tym obcym, który przybył do obozu. I on obiecał nam ratunek. A to jest mężczyzna,

który nie rzuca słów na wiatr.

Targi zachichotał:

— Tak, to mężczyzna — szydził, — to mężczyzna, którego dumnie ukorzyłbym u swych stóp, gdyby przybył ci pomóc. Nawet nie musiałbym podnieść swojej ręki przeciw temu człowiekowi, wystarczyłoby moje spojrzenie, aby go przestraszyć. Nawet chciałbym, żeby się tu zjawił. Przysięgam na Allacha, że nawet bym nie drgnął, a tylko spojrziałbym na niego.

— Nie przysiękaj!

Mówiąc te słowa wyskoczyłem z zarośli. Ben Hamalek zewał się na równe nogi. Dziewczyna również i radośnie złożyła ręce w kierunku niebios.

— O Allachu, zesłałeś mi wybawcę!

Ruchy Tuarega były coraz szybsze. Jego pistolety były przy siodle, ale już chwycił za rękojeście swoich noży.

— *Ja kelb*, ty psie! Ty tutaj?

— Przecież chciałeś mnie widzieć.

— Więc musisz umrzeć!

Zdecydowanym ruchem włożył dwa palce do ust i głośno zagwizdał. Cały czas obserwowałem jego ruchy.

— Czyżbyś wzywał na pomoc swojego kompana? A ja sądziłem, że będziesz dalej leżał i nie wykonasz ani ruchu. Przecież przysiękłeś nawet na Allacha!

— Niech pochłonie cię *dzehennah*!

Podniósł ramię, ale tak szybko jak to uczynił, opuścił je z głośnym okrzykiem bólu. Zraniła go kula z mojego rewolweru, która utkwiała mu w rękę.

W tym samym momencie złapałem go wpół, podniosłem w górę i rzuciłem o ziemię już zemdlonego. Dopiero teraz miałem czas dla pięknej Hiluji. Wyciągnąłem ku niej rękę.

— Nie omyliło cię twoje zaufanie. Jesteś wolna!

Jej *czador* odsunął się. Spojrzała na mnie z podziwem.

— Wolna — powtórzyła, jak gdyby nie potrafiła odszyfrować tłumaczenia tego słowa.

— Tak wolna, całkowicie wolna.

Jej oczy rozpromieniły się, ale niedługo znowu napełniły się łzami.

— Więc mogę iść dokądkolwiek chcę?

— Tak, dokądkolwiek chcesz, do ojca, a również do swojej siostry „władczynie pustyni”.

Teraz uchwyciła moją rękę i zanim zdążyłem ją powstrzymać, wtuliła w nią swoje usta.

— Jesteś aniołem Allacha, którego zesłał na ziemię — zaszep-tała zachwycona, — twoje słowa są niebiańskie.

Zaśmiałem się i pokręciłem przecząco głową.

— Jestem tylko człowiekiem, tak samo jak moi przyjaciele tuż za tobą, a których jeszcze nie zauważyłaś.

Wtedy odwróciła się i zobaczyła moich przyjaciół, - którzy klęczeli obok Tuarega oglądając jego rany. Ucieszyła się bardzo. Ucisnęła dłoń szejkowi i pułkownikowi.

Kriiger-Bej uśmiechnął się filuternie.

— Czy nie mógłbym się z nią jeszcze raz ożenić?

— Z pewnością nie, mój drogi pułkowniku — odrzekłem z uśmiechem.

— Dlaczego nie?

— Ona należy teraz tylko do siebie samej i nie sądzę, aby jeszcze raz miała zamiar się sprzedać.

— Dunderwetter! Więc nie mogę jej też ofiarować Mohammedowi el Sadok Paszy. A teraz szybciotko sprawdzę, czy Targi ma jeszcze przy sobie miszek z talarami.

Pieniądze odnalazły się szybko w sakwach. Pułkownik oddał je naturalnie szejkowi, który schował je skrzętnie.

Ben Hamalek nie był zbyt poturbowany. Gdy odzyskał przytomność, był skrupowany sznurami, a obok niego leżał identycznie związany jego kompan.

Szejk splunął mu zgodnie ze zwyczajem Beduinów w twarz.

— Jesteś psem, synem i wnukiem psa — zlorzeczył przy tym, — złamałeś święte prawo gościnności i okradłeś tych, których chleb i sól jadłeś. Niech osądzą o twej winie najstarsi plemienia, a także Hiluja i Haluja, których to wojowników zabiliście.

— A także ja — dodał Kriiger-Bej, teraz jednak po arabsku, którym tak wspaniale władał. — Oszukałeś mnie. Zamiast *huri*, dziewczyny dałeś mi starą kobietę. Niech twoja dusza smaży się tak długo jak długo płonąć będzie ogień w *dżehennah*. *Allah in-halak, ia kelb*. Niech Allah cię zgładzi, ty psie!

Teraz posłałem przewodnika, aby sprowadził Halefa i wielbłądy. Zrobiliśmy też dłuższą przerwę, aby Hiluja mogła wypocząć, a wieczorem wracaliśmy z uratowaną dziewczyną do *duaru* El Homra, gdzie przybyliśmy o północy. Nie była to spokojna noc. Szejk nie posiadał się z radości z powodu odzyskania swojego najdrogocenniejszego dobytku. Oczywiście radość ta ogarnęła cały obóz, a poczęstunek złożony z daktyli i *lagmi* wprowadził mieszkańców obozu w

odpowiedni, świąteczny nastrój.

Szejk nie mógł poprzestać w swoich zapewnieniach o swojej gościnności i zaprosił mnie, abym został jego gościem tak długo jak tylko zechcę. Z trudem wytłumaczyłem mu, że nie mam więcej czasu i że muszę wyruszyć w dalszą drogę.

Nie tak dobrze jak nam, wiodło się złapanym Tuaregom. Dwie straże pilnowały ich, mimo spętanych nóg i rąk, a nad nimi wisiało widmo surowej kary.

A Hiluja? Z jej powodu wpadłem następnego dnia w niezłe tarapaty. Ta piękna Beduinka dowiedziała się jakimś sposobem, że udaję się przez Kufarah do Egiptu. To był również mniej więcej cel jej podróży, który zamierzała osiągnąć pierwotnie ze swoją siostrą, aby dotrzeć do swojej siostry „Królowej Pustyni”. Jej zamiar udaremnił napad Tuarega, w którym zginęli wszyscy towarzyszący jej wojownicy Beni Abbas. Teraz była bezbronna i właściwie bez środków na dalszą podróż, a ja na dnie serca doskonale rozumiałem, dlaczego chciała dołączyć do nas.

Nie pasowało to jednak w najmniejszym stopniu do moich zamierzeń. Podróż w otoczeniu dwóch kobiet nie mogła być oczywiście tak szybka jak sobie tego życzyłem, a do tego musielibyśmy wciąż mieć na nie wzgląd, co też uznałem za dodatkową przeszkodę. Ale oto kobiety pozyskały sobie takiego obrońcę, o którym wcześniej ani mi się nie śniło, mojego Halefa.

— Sidi,— zarzucił mi Halef—jak możesz zostawić te dwie córki Beni Abbas w nieszczęściu same sobie. Nigdy bym nie podej -rzewał cię o to.

— Musisz zrozumieć, że będą nam w drodze zbyt uciążliwe.

— Przyznaję ci rację, ale z drugiej strony ich obecność może też przynieść nam korzyści.

— Nie widzę ani jednej.

— Sidi, wysił proszę swój umysł tylko odrobinę. Córka szejka nie będzie dla nas ciężarem, bo ma swoją sługę. Będziemy tylko trochę krócej podróżować za dnia. Ale z drugiej strony ich obecność to nieoceniony profit dla nas. Będą pomagać w urządzaniu obozu i gotowaniu stawy.

— To dla mnie coś zupełnie nowego, Halefie, że zaczynasz się robić taki wygodny. Po co więc mam ciebie, swojego opiekuna?

— Nie zrozum mnie źle, sidi — odrzekł pośpiesznie, — wiesz jak chętnie troszczę się o ciebie.

— A o kogo będziesz się więcej troszczył, o córkę szejka czy też o jej służebną. Halefie, wydaje mi się, że *kismet* twojego ojca i dziada dopadł teraz także ciebie, i już się nie wyzwolisz

z jego uścisku.

— Co mówisz? Nie rozumiem cię.

— Pomyśl więc, jak skończyła się ich pielgrzymka do Mekki. Obaj chcieli zostać *hadżim*, ale nigdy tego nie osiągnęli, bo każdy z nich wziął ze sobą swoją kobietę i tak oto ich zamiary nie mogły się urzeczywistnić. A teraz ty jesteś na najlepszej drodze, aby wstąpić w ich ślady.

— O panie, — zaśmiał się Halef — nie musisz się o mnie obawiać. Powinieneś już poznać mądrość swojego Halefa. Wiem aż za dobrze, że taki biedny Beni Arab jak ja nie może nawet podnieść oczu na córkę sławetnego szejka Beni Arabów.

— A więc dlaczego jesteś tak opętany myślą zabrania tych kobiet ze sobą? Nie wierzę, że kieruje tobą tylko współczucie. Co do tego nie mam wątpliwości.

— Ależ sidi, jakżesz wielkie masz uprzedzenia, głęboko ukryte w zakamarkach twych myśli w stosunku do swojego Halefa, że przypisujesz mi aż tyle egoizmu! Ale przyznaję otwarcie, że twoje przeczucia co do tego nie są całkiem bezpodstawne, i... i... — Halef zaczął się jękać. — Sidi, wiem z całą pewnością, że Hiluja jest różą, której woń nie jest przeznaczona dla mnie. Kwitnie w zamkniętym ogrodzie. Ale jednocześnie nikt nie może mi zabronić, abym mógł ją z daleka podziwiać i cieszyć się jej widokiem, nikt nie może być aż tak okrutnym, ty też nie, drogi panie. Więc zabierz ją ze sobą!

A to szczwany lis! Mówiąc te słowa dyskretnie obserwował mnie z boku i wiedziałem dokładnie, co chodzi mu po głowie. Dopiero co wczoraj opowiadał, że Hiluja byłaby odpowiednią kobietą dla mnie. Był jak opętany myślą, aby uczynić mnie sławnym, bogatym i szanowanym, najwięcej jednak żarliwości wkładał w sytuacje, gdy w naszym pobliżu znalazła się ładna, kobieca istota. Ale ten rodzaj jego zachowania już mi nie przeszkadzał. Wręcz odwrotnie. Jeżeli Halef czasem dawał mi się we znaki ze swoimi próbami nawrócenia mnie na swoją wiarę, to jednak jego usiłowania wywoływały u mnie więcej dobrego humoru niż złości, i obiecywałem sobie, że jeżeli spełnią się jego zamiary, to będę miał wiele powodów do ukrytej wesołości, gdy myślałem o jego daremnych usiłowaniach połączenia mnie i Hiluji, a dzięki temu spełnienia jego najskrytszego pragnienia, aby ze mnie zrobić wyznawcę Proroka.

Wszelkie uciążliwości, które związane były z zabraniami kobiet, zostały odsunięte na dalszy plan przez sceny jakby żywcem wyjęte z komedii, które na pewno ożywiłyby tę jednostajną podróż. Nie bez znaczenia były też profity, które wymienił Halef, a które, gdy myślałem o własnej wygodzie, też nie pozostały bez wpływu na moją decyzję. Pomimo to udawałem, że cały czas się waham.

— Ale pomyśl Halefie, zabranie dwu kobiet kosztuje więcej pieniędzy niż posiadam.

Pomyśl o tym, że musielibyśmy im kupić dwa wielbłądy z *tachtirewanami*. Takiego wydatku nie zniesie moja podróżna kiesa.

— Panie, żałuję cię z powodu ułomności twojego rozumu. Czyż szejk El Homry nie jest twoim przyjacielem? Czyż nie zawdzięcza, i to tylko tobie, odzyskania klaczy bez jednego choćby zadrapania? Czyż nie wystarczy tylko jedno słowo do pułkownika, aby otrzymać wszystko czego sobie zażyczysz?

— Nie przesadzaj Halefie.

— To nie przesada. Ale obserwowałem, z jaką czcią traktuje cię szejk i widziałem też uznanie, jakim darzy cię „pan zastępów wojsk”. A czyż cały dobytek obu pojmanyh Tuaregów nie należy do cór Beni Abbas, przez których one straciły wszystko? To co prawda niewiele, ale wystarczy aby kupić dwa *dzemmele* wraz z wyposażeniem. Widzisz więc, że nie będzie cię to kosztowało ani jednego talara Marii Teresy.

— A żywność?

— Tę dostaniesz od mieszkańców El Homra jako prezent, jeżeli tylko zechcesz. Znam cię i wiem, że jesteś zbyt dumny, aby uczynić coś w tym kierunku. Ale pozwól, że ja ich o to poproszę. I zobaczysz, że nasze zwierzęta nie będą w stanie unieść ciężaru zapasów daktyli, które otrzymamy na drogę. A więc, czy się zgadzasz zabrać ze sobą córki plemienia Benat el Abbas?

— Przedstawiłeś wszystko tak korzystnie, że nie mam nic przeciw temu. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli żałować naszej zgody.

Swoją decyzją wywołałem olbrzymią radość nie tylko u Hale-fa, ale zwłaszcza u córki szejka i jej sługi. Hiluja uznała mnie w ogóle za swojego anioła stróża, którego oczywiście obowiązkiem było troszczyć się o nią i wybawiać ją ze wszelkich opresji.

I w ten oto sposób doszło do tego, że w dwa dni później opuściliśmy *duar* El Homra w pięć osób łącznie z przewodnikiem, którego dał nam na drogę szejk.

Wynagrodziliśmy naszego dotychczasowego *khabira*, a nadto otrzymał on sowitą nagrodę od przepelnionego szczęściem szejka.

Wyruszyliśmy tuż po *asr*, popołudniowej modlitwie. Szejk i Kruger-Bej towarzyszyli nam jeszcze jakiś czas. Po dwóch godzinach zatrzymaliśmy się.

Jadący z nami musieli zawrócić, jeżeli chcieli dojechać do *du-aru* przed zapadnięciem zmroku. Szejk pożegnał się krótko ale bardzo serdecznie. On zawdzięczał mi co nieco, ale i ja miałem też za co dziękować. Jak przepowiedział Halef, wyposażył on Hiluję i jej służącą rzeczywiście tak, że najprawdopodobniej nie będą nam zaważać w naszej podróży przez

pustynię. Obie kobiety otrzymały wspaniałe wielbłądy, po których widać było, że pokonają trudności długiej podróży; ich oczy były jasne a garby zaokrąglone od nagromadzonego tłuszczu. Nasze konie z trudem dotrzymywały im kroku. Juczny wielbłąd niósł nasze zapasy i dobytek.

Kruger-Bej potrzebował trochę więcej czasu niż szejk, aby się pożegnać. Chwycił moje obydwie ręce, ścisnął je i miażdżył, jak gdyby miał między palcami ciasto, aż powiedział w końcu:

— Zabierasz pan moją fałszywą małżonkę i moją właściwą ukochaną ze sobą, i po prawdzie powinienem być na pana zły. Ale to nie chodzi mi wcale po myśli. Niech pan je zachowa. A teraz daję panu dobrą radę - jeżeli się pan będzie żenił, niech pan nie bierze za żonę starej baby, ale niech pan spojrzy najpierw dokładnie na oblicze wybranki. A teraz z Bogiem! Cieszę się, gdybyśmy ja i pan mogli jeszcze kiedyś potknąć się o siebie. Niech Allah zachowa pana w zdrowiu teraz i w wieczności!

Khanum Beni Sallah

Gdy więc Sara zobaczyła syna Egipcjanki Hagar bawiącego się z jej synem Izaakiem, powiedziała do Abrahama:

— Wypędź tę dziewczkę wraz z dzieckiem, bo jej syn nie powinien dzielić się dziedzictwem z moim synem.

Następnego dnia wstał Abraham wczesnie rano, wziął chleb i bukłak z wodą, przewiesił jej go przez ramię, dał na ręce chłopca i wypędził precz.

Odeszła więc i błądziła po pustyni Bersabee. A gdy w bukłaku skończyła się woda, położyła chłopca pod jednym z drzew, które rosły w pobliżu, odeszła kawalek i usiadła po przeciwnej stronie w odległości, jaką osiągnęłaby strzala wypuszczona z luku i zawołała: Nie mogę patrzeć jak mój chłopiec umiera. I tak siedziała naprzeciw niego, krzycząc i płacząc.

Wtedy usłyszał Bóg głos chłopca, Anioł Niebiański zstąpił do Hagar z wysokości i powiedział:

— Co ci jest Hagar? Nie obawiaj się/ Bo oto Bóg usłyszał głos twojego dziecka. Wstań, weź swojego chłopca i poprowadź go za rękę, bo chcę uczynić z niego przywódcę wielkiego narodu.

I Bóg otworzył jej oczy, zobaczyła wtedy studnię, napełniła bukłak i dała chłopcu się napić. I Bóg był z nim, i tak oto wzrastał na męża, mieszkając na pustyni i stał się dobrym łucznikiem.

Ta opowieść z pierwszej Księgi Mojżesza towarzyszyła mi często ostatnimi dniami gdy wędrowaliśmy przez pustynię naszą samotną ścieżką.

Nic nie pobudza tak duszy do rozpamiętywania, jak jazda konno przez niezmierną, daleką pustynię. Tu nie ma początku i końca, ani granicy. Twoje oko nie natknie się na ani jeden punkt, na którym mogłoby się zatrzymać, twoja uwaga skierowana na zewnątrz nie jest przez żadną rzecz przyciągana, a twoja dusza, przez nic nie rozpraszana pozostaje sama ze sobą. Jest to odczucie, jak gdyby stała się jeszcze bardziej wolną i niepohamowaną w swym dążeniu niż zazwyczaj. Żyjesz bardziej wewnątrz niż zewnątrz, a w twojej samotności rodzą się przemyślenia, o które nie podejrzewałbyś siebie wcześniej, a one to otwierają ci bramy świata, od których przekroczenia powstrzymywały cię rozliczne sprawy codzienności.

Jakże surowym był los, który zgotowała Ismaelowi, synowi dziewczki służebnej, opętana przez żądzę władzy i zraniona w swym macierzyństwie kobieta. I jak surowym był los jego dwunastu synów i ich potomów - Beduinów. W loterii życia wyciągnęli te z gorszych numerów.

Ojczyzną Beduinów jest pustynia. Surowa i nieubłagana w stosunku do swoich synów, a oni za to bezlitośni i potworni w stosunku do innych ludzi, którzy nie są im bliscy. Nie zapomną nigdy „Synowi Ziemi Obiecanej”, że ich ojciec rodu Ismael został wypędzony z jego powodu na pustynię i ich niechęć do Żydów jest może nawet większa niż nienawiść do chrześcijan.

Nauka Mahometa znalazła wśród nich najzagorzalszych i nieprzejednanych wyznawców. Lekko i bez trudu wpłynęła do ich serc, które na wskutek wyrzeczeń, przez cały czas towarzyszących im życiu, są bardzo podatne na zmysłowe uciechy, radości *dżennetu* - raju, który islam potrafi im odmalować w żywych barwach. *Allah UAllah we Mohammed rassuhl Allah* - to wyznanie wiary. W tej formule powtarzanej niezliczoną ilość razy wyczerpuje się właściwie ich cała religijna wiedza, która znajduje jeszcze skromne pożywienie w męczącej formie mahometańskiego życia modlitewnego. Poza tym świat myśli jest rzadko ożywiany przez religijne wyobrażenia, chociaż nie można odmówić synowi pustyni zdolności do głębszych religijnych przeżyć. Ale walka o byt i surowość warunków życia, z którymi wciąż się zmagają, czynią go surowym, niewrażliwym i tłumią szlachetniejsze odruchy jego serca. Miłość bliźniego, ten wielki wymóg chrześcijaństwa, jest mu obca, tak jak pustynia, która też oferuje mu niewiele miłości lub nawet wcale. Nie daje mu ona nic, wciąż żądając tylko ofiar i dlatego Arab jest skończonym samolubem, zbyt łatwo skłonny do tego, aby wszystko uważać za swoją prawowitą własność, co tylko wejdzie w zasięg jego rąk i zdolnym walczyć na śmierć i życie o posiadanie tego z jego dotychczasowym właścicielem.

„Będzie dzikim mężem. Jego ręka będzie przeciw wszystkim, a wszystkie ręce będą przeciw niemu” - ta przepowiednia dla matki Ismaela spełniła się dosłownie. Synowie pustyni pozostali aż do dnia dzisiejszego, podobni do swoich przodków w swoich dzikich, niepojętych poczynaniach.

* * *

Opuściliśmy okolice oazy Kufarah przed czterema dniami i teraz znajdowaliśmy się w tej części Pustyni Libijskiej, która ze względu na swoje pustkowienie i brak roślinności omijana była przez karawany a nawet przez rdzennych mieszkańców. Przez to był to obszar prawie nieznan. Aby dojechać do Beni Sallah, którzy mieli swoje zielone pastwiska na zachód od oazy Kufarah, musielibyśmy właściwie wybrać najczęściej używaną trasę karawan przez oazy: Dżalo i Siwah.

Oznaczałoby to jednak olbrzymie nadłożenie drogi i stratę czasu. Wybraliśmy więc drogę w kierunku prostym, przecinającym pustynię, chociaż w pełni świadomi wszelkich uciążliwości i niebezpieczeństw, które na nas czyhały. Oczywiście zdecydowałem się na to dopiero wtedy, gdy zapytałem o zdanie obydwie kobiety, za które wziąłem odpowiedzialność. Hilui decyzja przyszła bardzo łatwo.

— Sidi, — zapytała — jak dużo czasu według ciebie potrzebujemy wybierając krótszą drogę, aby dotrzeć do Beni Sallah?

— Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, pięć, co najwyżej sześć dni. —A jak dużo czasu zabierze podróż utartą drogą karawan?

— Czternaście dni.

— Wybierzmy więc krótszą drogę, jeżeli się na to zgodzisz, panie. Tęsknię za swoją siostrą.

— A niebezpieczeństwa i groza pustyni?

Dziewczyna spojrzała na mnie wzrokiem przepełnionym bezgranicznym zaufaniem.

— Nie odczuwam lęku przed niebezpieczeństwami. Nigdy z tobą!

Jej decyzja zapadła. Haluja, jej służąca, nie miała oczywiście innego zdania niż jej pani i tak oto zapadła decyzja podróży przez dziką pustynię. Byliśmy na to przygotowani, że przez pięć lub sześć dni nie będziemy widzieć żywej duszy, i nie mieliśmy zupełnie pojęcia, że dojdzie właśnie tutaj, w tej zapadłej części Pustyni Libijskiej, do spotkania, które jak się później okazało miało dla nas decydujące znaczenie.

Podróż przebiegała jak dotąd bez żadnych godnych zapisania wydarzeń. Moje pierwotne zatroskanie, że dwie kobiety mogą być znaczną przeszkodą w naszej wędrówce, nie potwierdziło się ku mojej radości. Oczywiście, zmuszało nas do krótszych tras za dnia, ale to nie było tak straszne. Mieliśmy przecież czas, nic i nikt nas nie pospieszał, abyśmy musieli być określonego dnia w jakimś konkretnym miejscu.

Z drugiej strony obecność kobiet przyczyniła się znacznie do wielu wygod. Mianowicie pod wieczór, ich zręczne ręce potrafiły w mgnieniu oka przygotować smaczny, choć skromny posiłek. Mieszkańcy El Homra zaopatrzyli nas w wystarczającą ilość pożywienia tak, że nie musieliśmy nie tylko głodować, ale także nawet oszczędzać.

Dla mnie obecność tych istot oznaczała jeszcze jedną korzyść. Hiluja mówiła innym narzeczem niż Halef, który pochodził z zachodniej prowincji.

Wtedy nie byłem jeszcze zbyt długo w Oriencie i moja znajomość języka tubylców

pozostawiała wiele do życzenia. Z ochotą więc przystąpiłem do usuwania tych braków. Gdy Halef z przewodnikiem jechali przodem, ja zazwyczaj podróżowałem obok Hilui i prowadziłem z nią ożywioną rozmowę ku wielkiemu zadowoleniu Halefa.

Oczywiście, nie mogłem nie zauważyć jego spojrzeń pełnych zamaskowanego zadowolenia, które nam rzucał od czasu do czasu. Był oczywiście przekonany, iż moje zainteresowanie Hilują sprowadza się do innych przyczyn, niż nauka języka i był pewien, że jest już blisko spełnienia pierwszego ze swoich życzeń w stosunku do mojej osoby. Nie wyprowadzałem go z błędu, a liczne, ukryte aluzje, których musiałem wysłuchać, były przyczyną mojej skrytej wesołości.

W Morsuk, stolicy prowincji Fezzan, pożegnaliśmy naszego dotychczasowego przewodnika, ponieważ jego znajomość okolicy nie sięgała dalej i musieliśmy rozglądnąć się za nowym *khabi-rem*. Wkrótce znaleźliśmy tego, kogo szukaliśmy, w osobie młodego Tedetu, którego polecono nam jako godnego zaufania. Nie pożałowaliśmy też swojej decyzji, bo po upływie trzech dni zdrowi i zadowoleni dojechaliśmy do pierwszej oazy Kufarah.

Tibbu, lub inaczej Teda, to wschodni sąsiedzi Tuaregów Kolebką tego „skalistego narodu” jest Tybet ze swoimi przepastnymi górami Tarso, ale plemiona te zamieszkują tereny od północnego brzegu jeziora Fessanu i oaz Kufarah na zachodniej pustyni Libii. Tibbu to ludzie o ciemnej skórze, twardzi i wstrzemięźliwi, ale też z ochotą rabujący i prowadzący liczne wojny. Ich ubiór przypomina strój Tuaregów. Czerwony *tarbusz* owijają niebieską chustą tworząc na głowie turban, a końcami chusty otulają podbródek, usta i nos w ten sposób, że z twarzy pozostaje tylko wąska szpara oczu.

W czasie całej podróży Halef obserwował naszego małomównego przewodnika z lekką podejrzliwością i gdy pożegnał się on w końcu z nami w Kufarah, nie był zły z tego powodu.

Już w drodze do Morsuk okazało się, że wielbłądy *hudsuhn* były o wiele bardziej wytrzymałe od naszych koni nawet pomimo krótkich marszów w dzień. Wymieniliśmy je więc w Morsuk za niewielką dopłatą na dwa juczne wielbłądy. Morsuk to ważny węzeł w drodze karawan, tak że nie przyszło nam zbyt trudno znaleźć odpowiednie zwierzęta.

I tak oto już po trzech dniach przejechaliśmy Kebabo - najbardziej na wschód wysuniętą z oaz krajobrazu Kufarah. Gdy piszę „my” oznacza to: obie kobiety, Halefa i mnie. Nasze zwierzęta wytrzymały przez kilka dni, które spędziliśmy w Kufarah, tak że mieliśmy nadzieję, iż wytrzymają aż dojedziemy do Beni Sallah. Nie mieliśmy tym razem przewodnika, ponieważ żaden nie wyraził zgody na tę trasę. Co innego, gdybyśmy jechali zwykłą drogą, którą podróżują karawany. Ale przez tę dziką, pozbawioną wody i pełną wszelkiego rodzaju

niebezpieczeństw pustynię? Żaden człowiek nie chciał się na to narażać.

Musieliśmy więc spróbować szczęścia bez *khabira*. Było to wielkie wyzwanie losu, wiedziałem o tym i wątpię, czy dzisiaj, gdy to piszę, jeszcze raz zdobyłbym się na tyle odwagi, aby je przyjąć. Ale od czego miałem swój kompas. Zastąpił on mi w wystarczającym stopniu *khabira*, który przecież na tych nieznanym i niezbadanych terenach mógł się okazać dla nas zupełnie bezużytecznym. I mieliśmy szczęście!

Odpoczywając w czasie najgorszego upału w południe, a na podróż przeznaczając tylko rano, późne popołudnie i nawet część nocy, szybko posuwaliśmy się naprzód. Oczywiście nie znaleźliśmy wody. Ale opuszczając Kufarah nasze bukłaki napelniliśmy do pełna i ani my, ani nasze zwierzęta nie ucierpiały jak dotąd z powodu pragnienia. Tak, posiadaliśmy nawet jeszcze wystarczającą ilość tego drogiego, życiodajnego płynu na następne dwa dni, a więc więcej niż przypuszczalnie potrzebowalibyśmy.

Mimo to, gdy wieczorem czwartego dnia podróży przygotowaliśmy nasz obóz, byliśmy przekonani, że musimy czynić to po raz ostatni.

Następnego wieczoru mieliśmy nadzieję pozwolić odpocząć naszym zmęczonym po podróży kościom w namiotach Beni Sallah.

Ostatni etap podróży był bardzo wyczerpujący. Przejechaliśmy odcinek kamiennej pustyni z dziko porozrzucanymi skałami. Nie było możliwe utrzymanie dokładnego kursu wytyczonego przez igłę kompasu. Spiętrzone jednana drugiej skały zasłaniały wciąż widoczność i powinniśmy się cieszyć, że w Irrsal, gdzie wciąż musieliśmy zmieniać kierunek, w ogóle posuwaliśmy się naprzód. Mimo to przebyliśmy znaczny odcinek i gdy wieczór udawaliśmy się na spoczynek, obliczenia z kompasem i mapą oznajmiły mi, że powinniśmy następnego dnia pod wieczór osiągnąć nasz cel. Nikt z nas nie przypuszczał, że już wkrótce koło nas przesuną się widma nocy.

* * *

Po północy obudził mnie dziwny, gwizdzący ton unoszący się w powietrzu. Powtarzał się jeszcze wiele razy i jednocześnie czułem paląco-gorący powiew powietrza głaszczący moją twarz. W powietrzu unosił się taki ołowiany żar, że cały skąpany byłem w pocie. Wkrótce to dziwne zjawisko dźwiękowe ustało i osłabła duchota. Płuca mogły znów swobodnie oddychać.

Nie miałem wtedy jeszcze dość doświadczenia, aby należycie odczytać te dziwne sygnały powietrzne. Również Halef i obydwie kobiety, którzy zbudzili się jednocześnie ze mną, nie potrafili mi tego wyjaśnić. Jako mieszkańcy stepów byli słabo obeznani z żywiołem pustyni.

Następnego ranka, po dwugodzinnej wędrówce, przebyliśmy w końcu kamienne morze.

Otoczyła nas pustynia piaszczysta, pofalowana płaskimi wydmami. Co prawda, nie było dla naszych zwierząt drobnostką, brodzić w głębokim piachu, ale wszyscy odetchnęliśmy z ulgą. Halef nie zaniedbał okazji aby wyrazić, jak wielki ciężar spadł mu z serca.

— *Hamdulillah!* Niech będą dzięki Allachowi, że mamy już za sobą ten przedsiónek piekła. Czyż nie wyglądał tak, jak gdyby szatan rozbił w gruzy cały świat a potem bawił się pojedynczymi kawałkami? Niech Allach ma nas w swojej opiece i chroni przed diabłem o dziewięciu ogonach i przegna go do najgłębszych od-chłani *džehennahu*, a nawet na tą opuszczoną przez dobre duchy kamienną pustynię.

Przyznaliśmy rację Halefowi, chociaż nie potrafiliśmy wyrażać tego tak kwieście jak on. My głupcy! Wkrótce mieliśmy się dowiedzieć, że ta przeklęta przez nas okolica stała się naszym błogosławieństwem i ratunkiem.

Jeżeli bowiem nie istniałaby ta „diabelska kamienna pustynia”, to poprzedniego dnia podróżowalibyśmy o wiele szybciej i noc spędzilibyśmy na otwartej pustyni, a nasze szczątki do dziś białaby w piasku pustyni.

Ku naszemu zmartwieniu warstwa piachu stawała się z kroku na krok głębsza i to utrudniało nasz marsz. Najłatwiej posuwaliśmy się w przód na grzebieniach niższych wydm. Jeżeli jednak podróż musiałaby wyglądać dalej w ten sposób, to nasze marzenie, aby już dzisiaj dotrzeć do celu wędrówki, stawało się nierealne.

Zatrzymaliśmy się właśnie na wąskim grzebieniu piaszczystej fali, aby pozwolić odetchnąć naszym zwierzętom, gdy nagle ciszę rozdarł krzyk Halefa:

— *El budsch, sęp!*

Spojrzałem zdziwiony w kierunku jego wskazującego ramienia; rzeczywiście w odległości strzału w kierunku północnym w powietrzu unosił się sęp. A teraz z ziemi wzbijał się jeszcze jeden. Byłem zdziwiony, nawet zaszokowany tym widokiem. Tu, pośrodku tej sennej pustyni, dwa padlinożerne ptaki! Co to oznacza? Padlina szakala czy też innego drapieżnika nie wchodziła w rachubę, bo na co te zwierzęta mogłyby tu polować? Musiało chodzić o człowieka lub nawet o kilku. Ale czegoż szukali tutaj na tym przerażającym pustkowiu? I czy jeszcze żyli? Prawdopodobnie już nie, bo inaczej ptaszyska trzymałyby się w ostrożnej odległości. Ptaki były jednak na ziemi i dopiero nasze pojawienie się spowodowało ich wzbicie się w powietrze.

A więc mogły być to tylko trupy. Ale czy na pewno? Czyż nie mogło się zdarzyć, jeżeli było tam wielu ludzi, że ktoś przeżył i mogliśmy go jeszcze uratować? Nie mówiąc słowa do swoich towarzyszy skierowałem swojego wielbłąda w miejsce, gdzie sępy wzbijały się w

powietrze i wokół którego wciąż kołowały. Halef i obie kobiety podążyli za mną. Przebyliśmy kilka wzniesień i zagłębień piaszczystych wydm. Grzebiecie wydm pokonywaliśmy dość szybko, ale zagłębienia tylko w tempie, które nie można było nazwać jazdą, a co najwyżej wleczeniem się. Wyglądało to tak, jak gdyby mój wielbłąd musiał się przy każdym kroku bardzo wysilać, aby wysupłać nogi z masy piachu.

W końcu, ten krótki odcinek drogi wydawał się wiecznością, zatrzymałem się na grzbiecie ostatniej wydmy. Przedemną... tak, co to było, co spostrzegły moje oczy w dole, w zagłębieniu? Wydmy, przez które przedzieraliśmy się dotąd, miały albo ostry brzeg grzbietu, albo też kształt zaokrąglonego brzegu talerza. Żadnego odstępstwa czy zmian}'. Ale tutaj!

Wyglądało to z góry jak bez ładu i składu rozrzucone mogiły. Mogiły! Tak, to było to! Teraz wiedziałem, co miałem przed sobą i jak wytłumaczyć zjawiska obserwowane przez nas ubiegłej nocy.

Ale zanim potrafiłem wyrazić swoje myśli słowami, usłyszałem za sobą głos Halefa, który właśnie teraz osiągnął wzniesienie wydmy.

— *Allah kerihm!* Duch pustyni zażądał dzisiaj w nocy krwawych ofiar! *Wallah\ Billahl Tillahl* Tam w dole leży zasypana cała karawana! Jak dobrze, że my, że my...

Nie dokończył, ale spojrzał na mnie osobliwie zastygłym wzrokiem. Jego policzki zbladły, a ja też przyznaję, że w tym momencie, pomimo żaru lejącego się z nieba, czułem jak po plecach biegnie mi zimny dreszcz. Twarz młodej córki Beni Abbas podobna była do twarzy zmarłej, a jej szerokootwarte oczy zawieszono były bez ruchu na wzniesieniach piasku w dole wydmy. Służąca zamknęła oczy, jak gdyby nie mogła znieść tego widoku.

Jak dobrze, że ostatniej nocy byliśmy „zmuszeni” pozostać w kamiennej pustyni! Patrzyliśmy przez chwilę bez słowa w twarze bez kropli krwi. Każdy z nas zdawał sobie sprawę ze straszliwego niebezpieczeństwa, które już rozpostarło swoje macki a my umknęliśmy mu o włos. W takich momentach milczy każdy. Każde słowo byłoby zbeszczeszczaniem i obrażą potęgi, która kieruje naszym losem według najdokładniejszych i surowo obowiązujących planów. Każde słowo odebrane byłoby w takiej chwili jako nieodpowiednie - oprócz modlitwy.

Halef odczuł to natychmiast. Nie troszcząc się o nas i nasze zachowanie zsiadł ze swego wielbłąda i klęknął w głębokim piachu z twarzą zwróconą w kierunku Mekki. A potem głośno i uroczyście rozbrzmiały słowa *Fathy* z pierwszych rozdziałów Koranu:

— W imieniu Boga najmiłosierniejszego! Niech będzie Bóg pochwalony, który panuje w dniu sądu! Tobie chcemy służyć i do Ciebie się uciekać, abyś prowadził nas właściwą drogą, drogą tych, którzy obdarzeni są Twoją łaską, a nie drogą tych, na których się rozgniewałeś i nie

drogą błędzących.

Tymi słowami modlił się Halef skłoniwszy się. Teraz wyprostował się, wznosił ręce ku górze i zakończył:

— Wszystko, co istnieje na ziemi i niebie chwali Boga. Jego jest królestwo i jego chwalmy, bowiem On jest władcą wszystkiego!

Był to początek sześćdziesiątego czwartego psalmu.

I gdy modlił się jeszcze nakazanymi skłonami towarzyszyły mu obie kobiety niewyraźnie mówiące słowa modlitwy, również z mojego serca wzniosła się dziękczynna modlitwa do Boga, który w tak krótkim czasie już po raz drugi ochronił mnie przed straszną śmiercią.

Była to niepowtarzalna scena. U naszych stóp, przysypana przez piach karawana, która tak szybko weszła w śmiertelny sen, wokół nas grzbiety i fale wydm, które z oddali budzą złudne wrażenie lekko wzburzonego morza, a nad nami ołowiano-granatowe niebo, które to wszystko zadaszło jak niesamowity całun. Ileż tysięcy rozbitków pochłonęło już to *bahr bela ma*, to morze bez wody! Gdy wersety Koranu przebrzmiały, musieliśmy zatroszczyć się o resztę. Nakazałem Halefowi, aby nie ruszał się z miejsca z naszymi podopiecznymi, a ja zsiadłem ze swojego wielbłąda. Później ześlizgnąłem się ostrożnie po dość stromym zboczu wydmy. Co prawda zapadałem się przy każdym kroku prawie aż do kolan, ale jednak szybko dobrnąłem do pierwszego wzniesienia, które było wyżej położone niż inne i szersze niż długość człowieka. Na jego końcu zobaczyłem czubek nogi obutej w sandały. Byłem co prawda przekonany, że mężczyzna ten już nie żył, ale być może potrafiłbym odnaleźć jakiś punkt zaczepienia mówiący o rodzaju karawany i ludziach, którzy do niej należeli.

Zacząłem więc kopać rękami i ku mojemu zdziwieniu stwierdziłem, że spoczywająca na ciele pokrywa piachu wcale nie była głęboka. Nie wiem dlaczego od razu wytworzyłem sobie pogląd, że zarówno ludzie jak i zwierzęta musieli umrzeć przez uduszenie, że w mgnieniu oka spadła na nich warstwa piachu jak ciężki, gruby mur i ograbiła ich z możliwości zaczerpnięcia powietrza. Przeczyła temu jednak stosunkowo cienka warstwa piasku, którą szybko usunąłem rękami. Prawie nie mogłem sobie wyobrazić, że ta ilość piasku mogła wystarczyć, aby udusić tak silnego mężczyznę. Zmarły był Beduinem. Jego młoda twarz bez brody wyglądała spod białej chusty, która okalała mu głowę. Był ubrany w biały *haik*, długi płaszcz sięgający prawie po ziemię, spod którego wyglądała sukmana ze zwykłego szarego materiału, podtrzymywana wokół bioder tylko mizernym paskiem z sierści wielbłąda. Za nim zatknięty był nóż o długiej, obustronnie tnącej klindze.

Gdy uwolniłem jego ciało od piasku, zauważyłem od razu, że mężczyzna nie umarł na

wskutek uduszenia, ale od uderzenia w tył głowy. Chusta na głowie przesiąknięta była w tym miejscu krwią, która wsiąkła głęboko w piach pod jego głową.

Czy był ofiarą mordu? Czy też jego zwierzę upadło, a przy tym uderzył on w jakiś twardy przedmiot, który roztrzaskał mu czaszkę? To pytanie pozostałoby z pewnością bez odpowiedzi, bo w tym wypadku oczywiście nie mogło być mowy o szukaniu śladów.

Więcej z przyzwyczajenia, do którego nawykłem w czasie pobytu na Dzikim Zachodzie, niż z przezorności, położyłem rękę w okolicy jego serca. Ale już w następnym momencie cofnąłem ją prawie przerażony - odczułem bardzo ciche, ale jednak zauważalne poruszenie jego klatki piersiowej. Ten człowiek nie był martwy, zapadł tylko w głębokie omdlenie. Jeden mój okrzyk przywołał Halefa, wspólnymi siłami wyciągnęliśmy nieprzytomnego w górę na grzbiet wydmy. Oddaliśmy go pod opiekę kobiet, aby spróbowały go ocucić.

Halef w tym czasie zszedł ze mną w dół, aby kontynuować poszukiwania; szybko jednak przekonał się, że dalsza pomoc nieszczęśnikom była niemożliwa. W dole, na dnie doliny wydmy, zapadaliśmy się już nie tylko po kolana, ale od razu do bioder w miałki jak mąka piach. Było jasne, że zarówno zwierzęta jak i ludzie już dawno udusili się, bo piasek, według mojej oceny, przykrył zasypanych na więcej niż na metr. Było tylko jedno miejsce, położone trochę na wzniesieniu, które było wyjątkiem. Wielbłąd, zapewne w walce ze śmiercią, szamotał się w piasku i przebił się przez cieńszą jego warstwę. I to było to miejsce, z którego przepłoszyliśmy sępy swoim pojawieniem się. Zauważyliśmy bowiem, po poszarpanych, krwawych nogach wielbłąda, że padlinożercy rozpoczęli już swoją przerażającą ucztę. To było również to miejsce, gdzie istniała szansa, aby coś znaleźć, o ile nie chcieliśmy wciąż czekać na przebudzenie nieprzytomnego mężczyzny. Ponieważ jednak jego przebudzenie stało pod znakiem zapytania, uważaliśmy za lepsze wyjście kontynuować nasze poszukiwania i uwolnić, na tyle na ile było to możliwe, wielbłąda spod zwałów piasku.

Nadmieniłem już, że w tym miejscu warstwa piasku nie była tak ubita jak na innych piaszczystych mogiłach. Oprócz tego zmagające się ze śmiercią zwierzę ułatwiło nam pracę. Szybko odkryliśmy boki *dżemmela*, a wtedy rozległ się zdziwiony okrzyk Halefa:

— *Maschallah*! Panie, strzelby, cała masa! I to broń z kraju Zachodzącego Słońca, które są u nas niezmierną rzadkością!

Przedarłem się przez gęsty piach do Halefa i mogłem potwierdzić jego słowa. Wielbłąd był obładowany pakunkami obłożonymi plecionymi matami. Jeden z nich pękł, zapewne przy szamotaniu przerażonego zwierzęcia i lufy kilku nowiuteńskich, wyglądało, że angielskiej marki strzelb, wyglądnęły spod piasku.

A więc dostawa broni! Prawdopodobnie nielegalna! Ten niezwykajny szlak karawany potwierdzał to przypuszczenie.

Wyciągnąłem jedną ze strzelb z piasku. Była to wielostrzało-wa broń, którą dopiero co wprowadzono w angielskiej piechocie.

Ale od kogo pochodziła broń i dla kogo była przeznaczona? Odpowiedź na te pytania mogliśmy znaleźć tylko w piasku, zakładając, że nieprzytomny nie potrafiłby na nie odpowiedzieć.

Kopaliśmy więc dalej, tym razem również nie bez efektu. Nie grzebałem długo. Moja ręka natknęła się na rzecz, która już w dotyku przypominała małą skórzaną sakwę. Wielbłąd był więc nie tylko przeznaczony do transportu ciężarów, ale ktoś na nim również podróżował. Pierwszym przedmiotem, który ukazał się po otwarciu torby był turecki *nargileh*, fajka wodna, dla ludzi z Orientu tak nieodzowna jak dla niektórych Europejczyków papierosnica. W drugiej przegródce znajdował się dobrze obwiązany sznurkiem pakunek. Gdy go otworzyłem, znalazłem w środku, ku swojemu zaskoczeniu, cały zbiór przeróżnych ogni sztucznych. Rakiety i fajerwerki u synów pustyni! O tym nawet mi się nie śniło. Orient stawał się nowoczesny!

Wyglądało, że już opróżniłem torbę, ale, na wszelki wypadek sięgnąłem jeszcze raz głębiej. I to był dobry pomysł. Na samym dnie leżał wąski, owinięty w skórę przedmiot. Był to portfel, taki, jakie można wszędzie kupić tuzinami. Nie było w nim nic oprócz dwóch dokumentów, które wywołały jednak moje głębokie zainteresowanie. Jeden z nich to kwit dostawczy, wystawiony przez jedną z angielskich fabryk broni i podpisany przez niejakiego Hulama.

Wynikało z niego, że dla plemienia Beni Suef ma być dostarczone trzysta sztuk broni palnej i po tysiąc naboji dla każdej z nich. Drugi dokument był listem tegoż samego Hulama do Mehemme-da Ibn Ali, szejka Beni Suef. Służył on jako list polecający dla przewodnika karawany. W nim informowano, że karawana składa się z trzech poganiaczy wielbłądów, dziesięciu zwierząt i przewodnika.

To wszystko. Dla mnie jednak aż za dość. Znow miałem szczęście, że odkopaliśmy właśnie zwierzę przewodnika karawany, u którego znaleźliśmy klucz do zagadki.

Halef obserwował mnie, gdy przeglądałem papiery. Teraz zapytał:

— Sidi, czy dowiedziałeś się, co wiozła ta karawana?

— Tak, trzysta sztuk broni palnej i trzysta tysięcy naboji.

— Trzysta tysięcy... *maschallah!*

Halef spojrział na mnie z największym zdumieniem.

— Mój umysł tego nie pojmuje. A do kogo to wszystko należało?

— Do Beni Suef

— To przecież plemię, które zamieszkuje teren na południe od Beni Sallah. Po co potrzebują aż tyle broni?

— Mam swoje podejrzenia. Czy przypominasz sobie, co usłyszeliśmy w Kufarah o Egipcie?

— Czy masz na myśli opowieści, że synowie pustyni na granicy z Masr nie są zadowoleni z kedywa i myślą o rebelii?

— Tak, na pewno dojdzie do zamieszek, które będą popierane przez sułtana, bo wicekról po swoich podbojach w Sudanie stał się dla niego zbyt potężnym i na dodatek chce się zupełnie uniezależnić od Konstantynopola.

— Więc sądzisz, że ta broń ma posłużyć w przygotowaniu powstania Beni Suef przeciwko kedywowi?

— Jestem o tym przekonany.

Byłem też przekonany o czymś innym. Okoliczność, że broń była angielskim produktem, dopuszczała podejrzenie, że również angielskie grupy finansistów i rekinów gospodarczych maczały w tym palce i chciały osiągnąć poprzez polityczny nacisk swoje określone cele -jak zawsze pod szyldem obrony europejskiej cywilizacji.

Na ziemi panuje przecież niepisane prawo, że silniejszy bierze, a słabszy daje, aż do momentu, gdy nie ma już nic do oddania. I prawo to obowiązuje wszędzie wśród ras i narodów, w mieście i na płaskowyżu sięgając aż do najmniejszej wsi. I z pewnością będzie to nadal obowiązywać, aż do momentu, gdy w każdym sercu zapanuje prawdziwa wiara miłości.

To były przemyślenia, z którymi borykałem się wewnątrz duszy, ale świadomie przemilczałem je przed Halefem.

— Sidi, po której ze stron stoisz ty, po stronie pady szacha, niech Allah zachowa go tysiąc lat w zdrowiu, czy też po stronie kedywa?

— Halefie, wiesz, że nie mieszam się do polityki.

— *Hazreta*, szkoda! Ale komu pomagałbyś, gdybyś musiał się do takich spraw włączyć?

— Hm, to trudne pytanie. Sułtan ma oczywiście swoje prawa, gdy zamierza zachować swoją zwierzchność w Masr. Ale z drugiej strony zakedywem Ismaelem Paszą stoi również prawo. Mówi się, że jest on żądny władzy i rozrzutny, ale 'chce dobrze dla swojego kraju, w każdym razie troszczy się o niego o wiele bardziej niż jego poprzednik. I wywoływanie przeciw

niemu zamieszek, zamiast otwartego ataku, jest niesprawiedliwością.

Halef spojrział na mnie z boku.

— Sądzisz więc, że byłoby złem, gdyby Beni Suef otrzymali tę broń w celu wzniesienia rebelii przeciw kedywowi?

— Każde przelewanie krwi jest dla mnie nie do pogodzenia z moją wiarą

— Nie powinienes się więc bronić, gdy ktoś cię atakuje, sisi? —Ależnie, Halefie. Obrona konieczna to coś innego. Również

konieczność pomocy bliźniemu lub zapobieganie przestępstwu to wyjątki. Ale zabijanie z samowoli lub chciwości to przestępstwo.

— A więc nie musisz się martwić, bo Beni Suef nie dostaną tej broni.

— Nie? Dlaczego?

— Bo mamy prawo wziąć ją dla siebie. My ją znaleźliśmy.

— Tak? — zaśmiałem się. — A jak chcesz wyegzekwować to prawo?

— Zabierzemy broń po prostu ze sobą.

— Dziesięć ciężkich ładunków na wielbłądach? Jak chcesz tego dokonać bez pomocy kogoś z zewnątrz? A gdy tylko zaufasz komuś z miejscowych, musisz być przygotowany na to, że nie uzna on twojego prawa do własności. Będzie uważał znalezioną broń za swoją własność i wedle zasad pustyni ma ku temu wszelkie prawo, bo znalezione jest na jego terenie.

Twarz Halefa wyrażała głębokie rozczarowanie.

— *O jazik*, mój bólu! O tym nie pomyślałem. A już tak się cieszyłem. Panie, stalibyśmy się w momencie bogaci!

— Co wpadło ci do głowy! — udawałem oburzonego. — Przecież ta broń nie jest naszą własnością.

— Więc powiedz mi, do kogo należy?

— Właściwie w ogóle nie jest to twoje zmartwienie, skoro jest pewnym, że karabiny nie są naszą własnością. Jednak aby cię uspokoić, obiecuję ci, że chętniej sam zniszczę tę broń, niż pozwolę, aby wpadła w niepowołane ręce. Czy jesteś wreszcie zadowolony?

— Sidi, to ty jesteś panem, ja tylko twoim obrońcą, muszę więc uczynić jak każesz. Pozwól jednak, że pozwolę sobie zauważyć, że czasami twoje słowa i czyny są dla mnie niepojęte! Ale mimo to nawrócę cię na wiarę Proroka, czy tego chcesz, czy nie!

Ponieważ nie wiedziałem, jak zaistniała sytuacja ma się do mojego „nawrócenia”, więc nie dałem mu na to żadnej odpowiedzi.

Z góry rozległ się okrzyk Hilui, który nas skłonił do przedzierania się przez piach w górę wydmy. Tam przekonałem się natychmiast, że nie mógłbym znaleźć dla rannego lepszej opieki. Hiluja otworzyła jeden z bukłaków i umyła tą tak strasznie wyglądającą ranę głowy. Właśnie chciała nałożyć opatrunek, ale wcześniej zdołałem się przekonać, że czaszka nie była zmiażdżona, jak dotychczas przypuszczałem. Przedmiot, którym uderzono - prawdopodobnie ciężka kolba pistoletu - nie trafił na szczęście całą swoją siłą, a jedynie zdarł część skóry. Spowodowało to oczywiście znaczną utratę krwi. Oprócz tego zauważyłem jeszcze miejscową opuchliznę, która jednak mogła wkrótce ustąpić pod działaniem zimnych okładów.

Ranny właśnie się poruszył. Dlatego Hiluja postanowiła nas zawołać. Gdy później, w czasie oględzin ran, dotknąłem szczególnie bolesnego miejsca, nieprzytomny skulił się z bólu. Wtedy też wypowiedział jedyne słowo poprzez prawie zamknięte usta.

— *Ma*, wody!

Hiluja napełniła kubek drogocenną, chociaż już ustaną wilgocią i przyłożyła go do ust rannego. Ten pił długimi haustami spragnionego, nie otwierając oczu jak gdyby nie miał siły nawet na to. Hiluja musiała napełniać kubek czterokrotnie, aż w końcu ruch jego głowy dał znać, że więcej już nie chce. Przy tym ruchu otworzył po raz pierwszy powieki i jego wzrok padł na twarz schylonej nad nim dziewczyny.

To było niesamowite, jaka zmiana nastąpiła na twarzy młodego człowieka właśnie w tym momencie. Jeszcze niedawno zastygła niczym twarz trupa, była teraz rozjaśniona spokojem a nawet szczęściem. A jego usta rozchyliły się po raz drugi w wymowie rozerwanych, ale mimo to wyraźnych słów: — *Badija hamdulillah...*, jestem w domu...! Ale już w następnym momencie jego powieki opadły; zasnął wycieńczony. Spojrzeliśmy na siebie zaskoczeni. Co mogło to znaczyć? Powiedział zupełnie wyraźnie „Badija” i „Jestem w domu”. Badija było to przecież imię i wyglądało na to, że właśnie ją miał na myśli. Hiluja zwierzyła mi się podczas naszej długiej podróży, że jest bardzo podobna do swojej zamężnej siostry, było więc rzeczą naturalną, że wyrwany ze stanu głębokiej zapaści ranny sądził, że ma przed sobą Badiję, swoją panią. W jakim związku był jednak młody Ben Sallah z karawaną? Kto ją prowadził? Jak doszło do jego zranienia? To były pytania, na które odpowiedzi nie można było oczekiwać przed ocknięciem się leżącego w głębokim śnie Beduina. Nie było właściwie mowy o dalszej podróży ze względu na chorego. Nawet, gdyby ranny nie był Ben Sallahem, samo pojęcie - człowiek - żądało od nas, abyśmy mieli na względzie, że nie powinniśmy zapominać o trawiącej go gorączce i jej wszechwładnej potędze. To przeznaczenie pozwoliło nam odnaleźć tego człowieka znajdującego się na granicy życia i śmierci, i ono z pewnością będzie się dalej

troszczyć o to, abyśmy dotarli do celu cali i zdrowi.

Gdy Hiluja ze służącą zajmowały się rannym, zacząłem jak zwykle rozbijać obóz. Urządziliśmy go we wgłębieniu ostatniej wydmy, tuż przed miejscem tragedii. Nasze zwierzęta położyły się w głębokim piasku i wydawały się zgadzać w zupełności z tym zmienionym porządkiem dnia niezgodnym z dotychczasowym zwyczajem.

Później znieśliśmy w zagłębienie rannego i ułożyliśmy go w piasku jak w pościeli, opartego plecami o wielbłąda Hiluji tak, że musiała tylko wyciągnąć rękę z *tachtirewanu*, aby zmienić mu wilgotne okłady. Natomiast Halef i ja szukaliśmy skąpego cienia ofiarowanego nam przez ciała zwierząt, aby schronić się przed żarłocznymi promieniami słońca.

Pustynię zalał przytłaczający żar. Było niczym w biblijnym opisie: *Niebo nad tobą będzie jak ogień a ziemia pod tobą jak rozżarzona skala.*

Palące promienie padały na piasek, ale ten już ich nie wchłaniał, był już nasycony śmiertelnie gorącym, odrzucał je od siebie i promienie układały się na ziemi jak płynna lawa, której powierzchnia rozbłyskuje oślepiającym światłem. O czym myślałem? O niczym!

Ten nie do zniesienia upał wysysał każdą myśl, każdy odruch woli z umysłu. Ledwo potrafiłem się podnieść, aby zaglądnąć do rannego, który jeszcze wciąż leżał w spokojnym uśpieniu pod opieką Hiluji. Córa plemienia Beni Abbas była jedyną, która zdawała się być odporną na ogólne zmęczenie; Jej troska o śpiącego była wciąż jednakowa, a jej oczy spoglądały na niego z tak niespotykanym wyrazem mieszaniny współczucia i marzycielskiego podziwu, że podświadomie oniemiałem. Wyraz jej oczu z pewnością nie był zapisany w obowiązkach służbowych pielęgniarki. I cóż na to Halef? Ale Halef którego uwadze z pewnością nie uszłyby uczucia odmalowane na młodziutkiej twarzy Hilui, miał zamknięte oczy. Spał tak, jak i młody Ben Sallah i prawdopodobnie Haluja - służąca wypoczywająca w *tachtirewanie*. Zaśmiałem się cichutko. Ani mojej, ani uwadze Halefa, nie umknęło, że Hiluja podczas całej podróży spoglądała na mnie rozmarzonymi oczyma. Ponieważ jednak wyglądało na to, iż nie zauważyłem jej oczarowania, zamknęła swoje uczucia w swoim sercu kluczem ostatniego westchnienia, i ostatnimi dniami była do mnie bardziej z dystansem, trochę jak przyjazna mi siostra. Wyglądało jednak, że młody bezbronny Ben Sallah obudził w niej delikatne uczucie. To mogło mi być tylko na rękę. Był to mężczyzna pasujący do niej, a jego miła twarz o szlachetnych rysach wzbudziła sympatię także u mnie. Jeżeli w tym wypadku najpiękniejsze cnoty kobiety: współczucie i litość serca, miały prowadzić do miłości, to był to dar niebios dla pięknej córki pustyni.

Pomimo żaru lejącego się z nieba przełamałem się i wspiąłem się na grzbiet wydmy. Było

oczywiste, że naszymi skromnymi środkami nie jesteśmy w stanie odkopać karawany i wydobyć karabinów. Do tego była potrzebna pomoc innych.

Ale kogo? W tej chwili jeszcze sam nie wiedziałem jaką podjąć decyzję. W każdym razie znałem miejsce, gdzie karawana zamarła w bezruchu. Obliczyłem je według kompasu i według przebytej przez nas drogi. Później obrysowałem w swoim notatniku okoliczne grzbiety wydm, a więc uczyniłem już wszystko, co było konieczne i możliwe, aby w razie potrzeby ponownie odnaleźć położenie tego punktu.

Obydwa brodate sępy już dawno uciekły i w czasie całego naszego pobytu w pobliżu cmentarzyska nie pojawiły się więcej.

Godzina mijała za godziną a ranny spał nadal. Przemineło południe, nastał wieczór, a chory nawet się nie poruszył, tylko jego piersi podnosiły się w powolnym regularnym oddechu.

Nadeszła noc; po skromnym posiłku przygotowaliśmy się do snu.

Zanim to uczyniłem, jeszcze raz udałem się do powierzonego naszej opiece. Gorączka wywołana przez rany ustąpiła. W ogóle jego sen był raczej nie snem wyczerpanego organizmu, ale snem człowieka wracającego do zdrowia, o którym to śnie powszechnie wiadomo, że jest długi i głęboki. A więc tym lepiej dla niego. Można było mieć nadzieję, że jutrzejsza długa i wyczerpująca jazda jest możliwa bez specjalnego uszczerbku dla jego zdrowia. Poleciałem Hilui udać się również na spoczynek i pozwolić służącej czuwać przy chorym. Później powróciłem do miejsca, gdzie odpoczywał mój wielbłąd. Halef już spał i ja zasnąłem wkrótce w ramionach boga marzeń.

Obudziło mnie szarpanie za ramię. Dwoje ludzi stało przede mną; w świetle księżycy rozpoznałem Hiluję i młodego Ben Sallah. Musiało być już po północy.

— Sidi, wybaczone, że przeszkadzamy ci spać — zaczęła Hiluja. — ale ten oto Ben Sallah właśnie się obudził i zażądał ode mnie odpowiedzi, gdzie się teraz znajduje.

— Od ciebie? Sądziłem, że twoja służąca miała przejąć opiekę nad nim w nocy? — zapytałam, podnosząc się z legowiska.

— Tak, rzeczywiście poleciłem mi iść spać, ale myślałam... chciałam... nie byłam nawet odrobinę zmęczona.

— Naprawdę? — spytałam śmiejąc się. — I to ty pozwoliłaś swojemu podopiecznemu wstać, chociaż jest jeszcze taki słaby?

— Panie, on mnie nie słuchał — usprawiedliwiała się — powiedział, że natychmiast musi z tobą rozmawiać. A gdy mu zabraniałam, błagał mnie w imieniu mojej siostry, abym zaprowadziła go do ciebie.

— W imieniu twojej siostry? A więc rozmawiałaś już z nim! Hiluja szybko odparła zarzut.

— Nie, nie udzieliłam mu żadnej informacji. Zapewniłam go tylko, że jest bezpieczny i wyjaśniłam, że jestem siostrą Badii, której imię wymówił, gdy po raz pierwszy się ocknął. To wszystko.

— *Na 'am, jakessa*, tak, tak było — powiedział teraz dźwięcznym głosem obcy — panie, uratowaliście mnie od śmierci i jestem wam winien za to swoje życie. Dokończcie więc to kierowane przez Allacha i Proroka dzieło i spełnijcie mą prośbę!

— Jeżeli tylko potrafimy, chętnie!

— Możecie ją spełnić. Proszę was, abyście wyruszyli natychmiast ku namiotom Beni Sallah.

— Teraz? To niedorzeczne! Nie jesteś jeszcze w stanie wytrzymać tej podróży. Musisz wydobrzeć!

— Wydobrzeć? Nie mam na to czasu. I jest to zbyt ciężkie. Nie chcę się chwalić, ale mówię prawdę: w całym plemienu jest tylko jeden człowiek, któremu ustępuję siłą i wytrzymałością. I właśnie temu człowiekowi jestem teraz potrzebny. Z jego powodu musimy wyruszyć natychmiast. Inaczej nie uchroni się całego mojego plemienia przed straszliwym nieszczęściem.

Czyż nie powinienem przerwać tej rozmowy i posłać tego człowieka po prostu „do łóżka”? Miałem na to naprawdę ochotę. A jednak wierzyłem jego zapewnieniu o jego tężyznie, bo tylko niesamowicie silny mężczyzna jest w stanie przezwyciężyć gorączkę przy takich ranach, a z drugiej strony zaniepokoiła mnie wzmianka, że siostrze Hilui i jej plemieniu groziło coś złego.

W międzyczasie obudził się Halef, wstał i przysiadł się do nas. Zauważyłem, że nie był mniej niż ja zdziwiony tak szybkim ozdrowieniem naszego podopiecznego.

Haluja, służąca nie pokazała się; przypuszczam, że obudziła się, ale pozostała niewidzialna za zasłonkami swojego *tachtirewa-nu*.

— Pozwól, że najpierw cię o coś zapytam — *zacząłem* po dłuższej chwili milczenia, — czy nie zechciałbyś usiąść tu na chwilę z nami?

Młodzieniec przyjął zaproszenie i usiadł. Również Hiluja i Halef usadowili się na piasku, jak gdyby także oni mieli w tych okolicznościach prawo do wypowiedzenia swojego zdania. Ale czyż nie było tak właśnie, przynajmniej w wypadku Hilui? To przecież ona była opiekunką chorego i miała czuwać nad tym, aby „chory” wracał w odpowiednich warunkach do zdrowia.

— Czy wiesz o tym, że cała karawana zginęła? — zwróciłem się z tym pytaniem do Ben

Sallah.

Młody Beduin wzdrygnął się.

— *Maschctllah!* Co mówisz? Nie należałem do żadnej karawany, a już na pewno nie do tej, która doprowadziła mnie do stanu, w jakim mnie znaleźliście.

— Ale przecież leżałeś bez życia obok piaskowych mogił i musieliśmy założyć, że byłeś razem z tymi, którzy nie żyją.

— Z tymi, którzy nie żyją? Nie rozumiem co mówisz. Czyżby ci ludzie, którzy się na mnie rzucili byli trupami? Czyż...?

Było już jasne. Ten człowiek nie miał pojęcia o *samumie*, którego ofiarą padła karawana. A może tylko udawał? Musiałem się upewnić.

— Opowiedz więc, jak spotkałeś tych ludzi?

— Chętnie. Mój brat posłał mnie z misją, o której jeszcze później ci opowiem, do Dżarabub. Na pewno jest ci znana ta oaza.

— Znam ją — skinąłem głową.

— Załatwianie tej sprawy przedłużało się. Gdy w końcu otrzymałem oczekiwaną decyzję, doszedłem do wniosku, że nie powinienem wracać traktem karawan do domu, jeżeli nie chciałem zaprzepaścić tego co osiągnąłem przez podróż. Musiałem wybrać drogę przez pustynię, aby przybyć na czas. Właśnie przyszło mi na myśl: minęła północ, mamy więc dzisiaj *jom el guma*, piątek?

— Mylisz się. Jest już *jom el sabt*, sobota.

- *Allah kerihm!* Więc cały dzień, cały długi dzień...?

— Tak, byłeś cały dzień nieprzytomny.

Młodzieniec zaniemówił po tym stwierdzeniu. Później skoczył na równe nogi.

— *Ja latif*, miłosierny Boże! Więc dzisiaj wieczór jest już *dżem-ma*, zebranie starszyny, które zadecyduje o przyszłości naszego plemienia. Muszę wyruszyć! Muszę natychmiast wyruszyć!

I rzeczywiście zrobił ruch, jak gdyby już się zrywał, ale w porę chwyciłem go za *haik* i ściągnąłem zapaleńca na piach.

— *Wakkif*, stój. Dokąd ci tak spieszno?

Młodzieniec musiał znajdować się w stanie strasznego zdenerwowania, bo trwało to dość długo, aż mógł mi odpowiedzieć.

— Wybacz. Nie pomyślałem o tym, że bez waszej pomocy jestem bezsilny. Ale błagam cię

na wszystko, co dla ciebie jest święte, daj natychmiast sygnał wymarszu. W przeciwnym razie przybędziemy za późno.

— Dlaczego? — zapytałem spokojnie. — Jeżeli wyruszymy rano, to przybędziemy też na czas.

— Ależ nie — sprzeciwił się żywo, — czy wiesz dokładnie, gdzie znajduje się obóz Beni Sallah?

— Nie, tego nie wiem. Jestem pierwszy raz w tej okolicy.

— No widzisz! Aleja znam dokładnie te tereny, bo to jest moja ojczyzna. I ja ci powtarzam, że tylko wtedy dojedziemy na czas, gdy wyruszymy natychmiast, inaczej nie będziemy mogli zapobiec nieszczęściu.

— Zapominasz, że my wcale nawet nie wiemy, o co chodzi. Nie możemy więc podjąć żadnej decyzji.

— *Tamahm*, masz rację. Wybacz, jestem zbyt roztrzęsiony.

— Będzie najlepiej, gdy teraz odpowiesz na moje pytania. Co się stało, gdy opuściłeś już Dżarabub?

— Panie, znam pustynię jak nikt inny. A przynajmniej nikt inny nie miałby odwagi, aby jechać przez nią samotnie. Miałem wyśmienitego wielbłąda i podróżowałem bez przeszkód. Aż natknąłem się - było już prawie ciemno - w środku pustyni na obozującą karawanę.

— Kiedy to było?

— Przedwczoraj w nocy.

— Mów dalej!

— Możesz wyobrazić sobie moje zdziwienie, ale także zdziwienie tych ludzi. Zaczęli mnie pytać skąd jadę i dokąd się udaję. Dałem im odpowiedzi zgodne z prawdą, ale nie uwierzyli mi. Z pewnością sądzili, że jestem członkiem karawany złodziei pustynnych, który przybył, aby zasięgnąć języka, albo też sami byli rabusiami. Gdy zsiadłem z wielbłąda dostałem w głowę kolbą karabinu.

— Nie wiesz więc, co przewoziła karawana?

— Nie, nawet nie miałem czasu o to zapytać. Ale wy z pewnością już wiecie.

Nie uważałem za rozsądne wyjawiać mu od razu wszystkiego i powiedziałem wymijająco:

— Czy wiesz, że całą karawanę przysypała burza piaskowa?

— *Maschallah!* Naprawdę? Przysypała? Czy mówisz prawdę?

— Nie kłamię. Allah ukarał tych ludzi za zło jakie ci wyrządzili. W nocy nadszedł *samum*

i wszyscy przeprawili się przez most śmierci.

Ben Sallah siedział chwilę milcząc. To co usłyszał było zbyt mocne. Dopiero po dłuższej chwili zapytał jękając się:

— Ale... jeżeli wszyscy nie żyją..., jak... jak to się stało... że ja..., że tylko ja...?

— Miejsce, gdzie zostawili cię nieprzytomnego leżało wyżej niż to, gdzie ci ludzie rozłożyli się obozem. Warstwa piasku, która przykryła ciebie była właśnie dlatego niezbyt ubita i tak uratowałeś się przed uduszeniem.

Młodzieniec oddychał głęboko.

— *Allah UAllahl* Azrael, anioł śmierci posłał strzałę śmierci skierowaną w moje serce, ale chybił. Niech będą dzięki Allachowi i tobie obcy mężu za pomoc! Hilal będzie ci za to dziękował tak długo, jak długo będzie oddychał.

A więc Hilal, to było imię tego człowieka, który siedział obok mnie w pozycji, jak gdyby utrata krwi w ogóle mu nie zaszkodziła. Również teraz, gdy odzyskał już całkowicie przytomność, sprawiał na mnie miłe wrażenie. Chociaż wprzód dał się unieść zdenerwowaniu, to wyglądał mi na mężczyznę, który potrafi się opanować i rzadko czyny jego są nieprzemyślane.

Blask samych gwiazd wystarczał, aby zobaczyć, że podoba się też komuś innemu - Hilui. Siedziała bez ruchu obok mnie i nie spuszczała oka z Hilala.

— Powiedziałeś, że twojemu plemieniu grozi wielkie nieszczęście. Czy mógłbyś to wyjaśnić?

— Muszę jeszcze dzisiaj przed zmrokiem dotrzeć do namiotów swojego plemienia, ponieważ właśnie dziś *dżemma* ma zadecydować, czy między Beni Sallah i paszą Egiptu ma panować przyjaźń czy nieprzyjaźń.

— Tak? I co?

— Mędrcy naszego plemienia są przekonani, że tylko utrzymujące się dobre stosunki są dla nas korzystne.

— Nie widzę tu żadnego niebezpieczeństwa.

— Ale za walką jest najbardziej wpływowy człowiek w naszym plemieniu.

— Kim jest?

— Fałehd, brat zmarłego szejka.

To nie było dla mnie nic nowego. Hiluja opowiadała mi, że jej siostra poślubiła szejka Beni Sallah. Nie pytano jej o zgodę, bo w tych okolicach decyduje wola ojca. Nie widziała nawet

szejka, nie wiedziała, czy będzie mogła go pokochać, ale był sławny i małżeństwo to miało umocnić przyjaźń plemion, gdy szejka Beni Sallah wziął za żonę córkę Beni Abbas. Hiluja rzadko otrzymywała potem wieści od swojej siostry, ale nigdy nie dowiedziała się, czy Badija była szczęśliwa u boku szejka. Potem szejka zmarł, a młoda wdowa stała się władczynią plemienia, które się miało za jej rządów bardzo dobrze.

Mnożyły się jego stada w czasie jej pokojowego wladania, ale rosła też ilość wojowników. Badija doskonale opanowała sztukę zdobywania pozycji u innych plemion. Przydomek, jaki jej nadano: „Królowa Pustyni”, świadczył najlepiej o szacunku, jakim ją otaczano.

— *A Khanum, Królowa Pustyni? Czy ona też jest za walką?* — chciałem dowiedzieć się czegoś więcej.

— Nie, ona jest za pokojem. Ale Falehd i jego zwolennicy mają przewagę. Mówią: „Kobieta nie może być wiecznie szejkiem”. Naciski, aby znów wyszła za mąż stały się bardzo natarczywe. Nie może się im dłużej sprzeciwić.

—Więc chodzi tylko o to, aby Badija wyszła za kogoś, kto jest pokojowo nastawiony do kedywa?

— Z pewnością chciałaby tak zrobić, ale mężczyzna, którego wybrała jest niestety biedny.

— A któż to taki?

— To... to jest... mój brat Tarik.

Te ostatnie słowa wymówił ociągając się. Gdyby było jasno na polu, to być może dostrzegliśmy rumieniec na jego twarzy.

Hiluja, siedząca obok mnie, wydała cichy okrzyk zdziwienia.

— Czy to jest tak straszne? Khanum jest przecież wystarczająco bogata.

— Gdyby chodziło tylko o to! O rękę Badii zaczął ubiegać się brat jej zmarłego męża.

— *Ojazik*, to straszne! A więc Falehd! Czy wasze prawo mówi, że ona musi go poślubić?

— Tak, tylko śmierć może temu przeszkodzić. Istnieje prawo, że musi należeć do swojego szwagra. Jeżeli kocha innego, to ten wybrany przez nią musi walczyć z Falehdem i prawo żąda, aby walka ta nie zakończyła się inaczej, jak tylko śmiercią jednego z nich.

— Niech więc twój brat walczy ze szwagrem Królowej Pustyni.

Halal milczał i dopiero po chwili powiedział:

— Są dwa słowa, które mu tego zabraniają. Słowo: Falehd i słowo: *thar*, zemsta krwi.

— Falehd? Dlaczego?

— Mówiłem już, że w naszym plemieniu jest tylko jeden człowiek, który jest silniejszy niż

ja i jest nim Falehd. Jego postać przypomina olbrzymia. Nie widziałem jeszcze człowieka, który byłby takiej postury jak on. Mówi się o jego sile, że mógłby walczyć bez broni z lwem. Żaden człowiek nie odważy się wypowiedzieć mu walki.

— Więc również twój brat obawia się wstąpić z nim w szranki o rękę Khanum?

— Tarik nie wie co to strach, ale wie, że oznaczałoby to jego pewną śmierć. W walce na noże lub inną broń zwyciężyłby mój brat. Falehd na pewno wybrałby walkę na pięści, a w tym jest niedoścignionym mistrzem. A nawet gdyby Tarik pokonał go, jeszcze nagroda nie byłaby jego. Przeszkodą jest *thar*, słowo, które słyszałeś już ode mnie.

— Co ono oznacza?

Zrozumiałem go dobrze, ale chciałem usłyszeć dokładne wytłumaczenie z jego ust.

— Jeżeli mój brat zwycięży Falehda, to jak nakazuje prawo, musi go zabić. Śmierć ta musi być jednak pomszczona przez krewnych Falehda.

— A kto jest jego krewnym?

— Badija. Tak, ona jest jego szwagierką i jednocześnie władczą plemienia. To ona musiałaby wziąć zemstę na sobie i nie spocząć, aż mój brat nie umarłby z jej ręki. Czyż mogłaby zostać więc jego żoną?

To rzeczywiście nie wyglądało dobrze. Pomimo to próbowałem go pocieszyć.

— Allach jest wielki. Może pomóc, jeżeli taka będzie jego wola.

— Jeżeli taka będzie jego wola! Obawiam się jednak, że jego wyrok już zapadł.

— Czyżby twoje obawy były na czymś oparte?

— Tak, panie, od paru tygodni przebywają u nas dwaj wysłannicy. Jeden turecki, drugi od Rosjan, i próbują nas przekonać do walki przeciw kedywowi.

— Niepodobna! Przybył do was rosyjski wysłannik? Razem z tureckim? To dziwne.

— My też tak pomyśleliśmy. Wiem, że Turcy i Rosjanie są do siebie wrogo nastawieni odkąd te dwie narodowości zetknęły się ze sobą. Jeżeli więc Turek i Rosjanin występują razem, to nie może to być czysta sprawa.

— Masz rację.

— Obaj chcą, aby Falehd został szejkiem. Przypuszczam, że planuje się atak plemion pustynnych na Masr. Może to wywołać zamieszki i wzburzenie. Sułtan musiałby posłać tam swoje wojska i flotę, a to osłabiłoby go do tego stopnia, że Rosjanie z łatwością osiągnęliby swój cel.

To było dla mnie zaskakujące. Ten niewykształcony syn pustyni wykazał się taką

znajomością polityki, że nigdy nie posądzałbym go o to. Oczywiście, nie przewidywał jednak ostatecznych skutków. To nie Turcy sprawowałyby władzę, gdyby udało im się pokonać kedywa, ale Anglia.

— Czy posłańcy odnieśli sukces swojej misji? — pytałem dalej.

— Tak, udało im się wpłynąć poprzez obietnice na większą część wojowników. I to było powodem, że mój brat posłał mnie do Dżarabub.

— Dlaczego do Dżarabub?

— Aby przeciwstawić wpływ wysłanników zdaniu osoby o wielkim poważaniu. Z pewnością wiesz, że w Dżarabub ma siedzibę Zakon Senussi, tak jak jeszcze w wielu innych miejscowościach. Zakon ten głosi religię czystego islamu i cieszy się największym poważaniem wśród wyznawców Proroka. Opinia Sidi Mahdi -zwierzchnika zakonu, byłaby na pewno decydująca dla obrad *dżem-my*. Dlatego wyruszyłem przed dwoma tygodniami, aby błagać Sihdi Madi o pomoc.

— Czy Falehd wiedział o twoich zamiarach?

— Nie, w przeciwnym razie potrafiłby przeszkodzić temu przedsięwzięciu. Ale Khanun jest wtajemniczona i zgadza się z naszym planem.

— A jak brzmi orzeczenie Sidi Mahdi?

— Nadzwyczaj korzystnie. Sidi Mahdi wzywa nas w imieniu zakonu i islamu, abyśmy nie ulegali podszeptom obcych posłów i pozostali wierni kedywowi. Pisemną odpowiedź szacownego męża mam ze sobą.

- To dobrze. Czy sądzisz, że *dżemma* weźmie ją pod uwagę?

— Mam nadzieję. Ale stanie się tak tylko wtedy, gdy przybędę na czas. Dlatego powtarzam swoją prośbę, efendi, pozwól nam natychmiast wyruszyć. Nie możemy stracić ani godziny więcej — jednocześnie wznosił ręce w proszącym geście.

Spojrzałem ku gwiazdom. Było gdzieś koło drugiej nad ranem. I tak musielibyśmy wyruszyć za godzinę, jeżeli chcieliśmy uniknąć skwaru za dnia.

Dlatego też ta godzina nie odgrywała aż tak wielkiej roli. Zobaczyłem też oczy Hilui skierowane na mnie. Nie powiedziała ani słowa, ale widziałem po wyrazie jej oczu, jak bardzo zależało jej na spełnieniu prośby młodzieńca.

Chodziło przecież o dolę i niedolę plemienia, którego władczynią była jej siostra. Ten młody Beduin pozyskał również mnie przez swoje wyznania. Co prawda, nie było moim zwyczajem mieszać się do miejscowych układów, dzięki czemu mogłem jasno oceniać sytuację

kraju, w którym przebywałem.

Egipt należał ongiś do tak potężnego Państwa Osmańskiego, które już dawno rozpadło się. Władza sułtana, przed którym kiedyś drżał kraj Zachodzącego Słońca, dawno przeminęła, a teraz mówiono tylko o „chorym człowieku nad Bosforem”. Podbite ogniem i mieczem państwa w Europie, Azji i Afryce domagały się niepodległości, ale tylko rywalizacja Anglii i Rosji zapobiegała podziałowi krain należących do państwa tureckiego. Rosjanie nacierali na Persję, Morze Śródziemne, Indie i Azję Wschodnią, chociaż sami posiadali aż za dużo terenu dla swojej ludności. Anglikom chodziło o to, aby trzymać Rosję w dystansie od Indii, do których najkrótsza droga wiodła przez kanał Sueski. Dlatego też, nie było dla nich bez znaczenia, kto rządził w Egipcie.

Kędy w rządził samodzielnie w kraju; płacił tylko coroczną daninę Wielkiemu Władcy w Konstantynopolu. Ismail Pasza przeprowadził kilka reform, ale potem doprowadził kraj poprzez swoje wojny w Sudanie i rażącą niegospodarność na skraj ruiny. Długi zagraniczne wzrosły do niewyobrażalnych kwot a biedni fella-howie uginali się pod ciężarem podatków.

Wiedziałem, że Anglia nie mogła się doczekać chwili, gdy będzie mogła położyć swoją rękę na tym tak bogatym w zasoby, chociaż zrujnowanym gospodarczo państwie. I ten cel kiedyś miał nadejść, co do tego nie miałem wątpliwości, i nie byłem na pewno w stanie zmienić kolei rzeczy. Ale byłem w stanie uczynić coś innego; ludziom, którzy na to zasługiwali pomagać na ile pozwalała na to moja siła.

Myślałem tutaj nie tylko o Hilalu, ale także o Hilui. Byliśmy teraz już tak długo razem, że bezwiednie czułem się rzecznikiem jej marzeń. Również Khanum, siostra Hilui, nie mogła mi być obojętną, tak jak i Tarik, brat Hilala, którego wyobrażałem sobie jako podobnego do niego młodzieńca. Poza tym nic nie stało na przeszkodzie, aby spełnić prośbę Hilala. Dlatego, po krótkiej przerwie na zastanowienie, skierowałem pytanie do Ben Sallah:

— Ilu zdatnych do walki wojowników liczy twoje plemię?

— Sześć tysięcy.

— Jeżeli udałoby się nam powstrzymać twoje plemię od udziału w zamieszkach przeciw kedywowi, czy sądzisz, że powstanie pozostałych plemion pustyni nie doszłoby dzięki temu do skutku?

— Jestem o tym przekonany. Nie dojdzie wtedy do powstania, bo nie będą mogli nawet myśleć o próbie zdobycia Masr bez naszej pomocy.

— *Tajjib*, dobrze! Mając to na względzie jestem gotów spełnić twoją prośbę i poprzeć wasz plan. *Yallah! Neruh!* Wyruszajmy!

Zanim wyruszyliśmy, Hilal musiał się posilić. Nie miał przecież nic w ustach od ponad dwudziestu czterech godzin. To polecenie wydałem również po to, aby nie mógł zauważyć, że na chwilę się oddalam. Najpierw nakazałem Halefowi i obu kobietom, aby ani Hilalowi, ani żadnemu innemu człowiekowi, nie powiedzieli o tym, że zasypana karawana przewoziła broń i naboje.

Potem zacząłem brnąć w blasku gwiazd ku miejscu, gdzie odnaleźliśmy torbę i broń; chciałem te przedmioty znów ukryć w piasku. Gdy oburącz szuflowałem piach na wystające kolby karabinów, zastanawiałem się, że wychodzimy naprzeciw zupełnie nieznanym sytuacjom. O ile prawdopodobnie u Beni Sallah nie musieliśmy się troszczyć o nasze bezpieczeństwo, to chyba nie zaszkodziłoby, gdybyśmy zyskali trochę ich poważania, już ze względu na nasze zamierzenia, dzięki pokazowi jeszcze wśród nich nie znanych ogni sztucznych. Mogłoby to być dla nas bardzo korzystne. Przykryłem więc kopcem z piasku skórzaną torbę dopiero po wyjęciu z niej pakunku z raketami. Potem opuściłem to naznaczone nieszczęściem miejsce, które w nocnej ciszy i poświacie gwiazd wyglądało na jeszcze bardziej upiorne.

Wróciłem do mych towarzyszy. Halef i kobiety nie byli w czasie mojej nieobecności bezczynni. Juczny wielbłąd był już przygotowany do jazdy dla Hilala. Nasza podróż trwała już dość długo i ilość naszych zapasów znacznie zmalała, dlatego bez trudu przeładowano rzeczy na pięć wielbłądów.

Wkrótce nasza mała karawana z Hilalem na czele ruszyła. Pod błahym pozorem zatrzymałem się jeszcze raz, zostając w tyle. Gdy pozostali zniknęli już za następną wydumą, zsiadłem po raz ostatni na wybrzuszeniu wydmy, która oddzielała nasz obóz od miejsca tragedii i umocowałem w piasku bambusową trzcinę, którą wyciągnąłem ze stelarza *tachtirewanu*. Miał mi służyć jako wskazówka, gdybym chciał kiedyś odszukać to miejsce w przepastnej pustyni.

Nie musiałem się obawiać, że mnie zdradzi przed kimś obcym i niepowołanym, bo po pierwsze nie było moim zamiarem zbyt długo pozwolić broni tkwić w tym piachu, a zresztą było prawie nieprawdopodobieństwem, aby w następnych dniach właśnie tędy podróżował ktoś przez pustynię. Spokojnie wsiadłem więc na swojego *dżemmela* i dogoniłem pozostałych.

Dzisiejszy dzień wydawał się być najbardziej wyczerpującym ze wszystkich, przynajmniej tak dał się nam we znaki. Wielbłądy brodziły godziną za godziną w głębokim piasku - był to teren burz piaskowych. Dopiero późnym rankiem warunki poprawiły się nieco. Piach stracił na głębokości, a nawet zmienił się jego wygląd. Jego okruchy były teraz większe. Dotychczas jego ziarna, mialkie jak mąka, wzbijały się w powietrze przy każdym ruchu, wdzierały się do oczu i

utrudniały oddech.

W te pierwsze godziny posuwaliśmy się naprzód tak wolno, że Hilal był pewien, że nie dotrzemy do *duaru* przed zapadnięciem zmroku. Nie było to pocieszające, ale nie mogłem tego zmienić. Nie byliśmy jednak źli na Hilalą, gdy niespokojnie wzywał nas do coraz większego pośpiechu.

W głębi duszy z przyjemnością przyglądałem się, jak Hiluja prawie zawsze trzymała się w pobliżu naszego nowego przewodnika. Była córą pustyni i nie musiała udawać nieśmiałej, do czego były zobowiązane jej siostry w miastach.

Również Hilal robił wrażenie zadowolonego z towarzystwa pięknej podróżniczki. Nie uszło to także uwadze Halefa.

Zachowanie Hilui rozczarowało go; obok niej widziałby o wiele chętniej mnie, zamiast Hilalą.

Hilal i Hiluja tworzyli wspaniałą parę. On jak posąg pradawnego syna pustyni, ona z całym wdziękiem, który dojrzał w żarze południa - przyglądałem się im z przyjemnością.

Przez pewien czas podróżowałem i ja u boku przewodnika; chciałem dowiedzieć się czegoś o miejscowych stosunkach panujących w *duarze*, zanim tam dotrzemy.

Pośrodku oazy zamieszkałej przez Beni Sallah, tuż obok *duaru*, wznosiła się zbudowana z masywnych bloków skalnych olbrzymia warownia. Była pozostałością budowli, powstałej w tym czasie, gdy Rzymianie zdobyli Egipt i odważyli się nawet na pustyni udowodnić swój kunszt sztuki budowania. Nawet w głębi Sahary można odnaleźć szczątki olbrzymich akweduktów i rozległych pałaców, które oczywiście obecnie są na pół zasypane przez lotne piaski, ale jednak dają wspaniałe świadectwo ducha narodu, który takim wysiłkiem chciał, aby życie zakręlowało na pustyni nad śmiercią.

W tej właśnie warowni, leżącej na stromym wzniesieniu wyłaniającej się z równiny, mieszkała Khanum. Wejść do tej budowli można było tylko po masywnych schodach, przypominających baśniowe, wiodące do domów olbrzymów. Były one strzeżone dzień i noc przez straż przyboczną Królowej Pustyni - straż, której przywódcą był Tarik, brat naszego Hilalą, a który otaczał swą panią opieką i czcią jak koronowaną europejską władczynię.

Hilal opisał mi stosunki panujące wśród Beni Sallah dokładnie. Wyglądało na to, że doszedł już w pełni do sił. Co prawda, nosił jeszcze na głowie opatrunek, ale dobrze jak prawdziwy władca trzymał się na wielbłądzie w siodle, które zmajstrował mu Halef ze wszystkich możliwie dostępnych i niedostępnych przedmiotów.

Na szczęście po głowie krążyło mu tyle różnych myśli, że w ogóle nie wpadł na pomysł,

aby rozmawiać o zasypanej karawanie. W ten sposób uniknęliśmy zakłopotania wynikającego z wymyślania wymówek lub nawet opowiadania nieprawdy.

Podczas największego żaru popołudniową porą zarządziłem dwugodzinny odpoczynek. Gdy słońce zatoczyło trzy czwarte swojego łuku, wyruszyliśmy ponownie. Ale godzina mijała za godziną i okolica nie zmieniała swojego wyglądu. Wreszcie, zwierzęta zwietrzyły, że zbliżamy się do oazy i dobrowolnie przyspieszyły swój krok. Piach zniknął powoli i usunął się robiąc miejsce coraz to szczelniejszej powierzchni trawy. A potem nic już nie rozróżnialiśmy, bo po krótko trwającym zmierzchu, zapadła ciemność. Tylko obrysy cienia wskazywały, że przejeżdżamy obok palm i pasących się stad.

Nagle wyrósł przed nami wysoki, ciemny kształt, z pewnością ruina, siedziba Khanum. Jednocześnie rozległy się w pobliżu trzy odgłosy uderzenia w drewniany przedmiot.

— Co to? — zapytał Halef

— Na pewno *muezin* — stwierdziłem. — Jest jednak dla mnie niewytłumaczalnym, że o tej porze daje swój znak. Czas modlitwy przy zachodzącym słońcu już minął. Może zapytamy Hilala?

— To nie jest wezwanie do modlitwy, ale znak, że za chwilę rozpocznie się *dżemma* — wyjaśnił młody Ben Sallah. — Przybyłem więc jeszcze na czas. Niech będą dzięki Allahowi! Zdecyduje się teraz, czy Beni Sallah będą wrogami czy przyjaciółmi Paszy Egiptu.

— Ach! — wyrwało mi się.

— I jednocześnie zadecyduje się los Khanum. Obieca się jej rękę Falehdowi, a ogłosi to wszem i wobec *muezin*. Zapyta się też, czy ktoś chce walczyć o nią z Falehdem.

— Ale nikt się nie zgłosi.

— Tu się mylisz — sprzeciwił się tonem, który zwrócił moją uwagę. — Ktoś się zgłosi.

— Ale przecież ty sam mówiłeś, że twój brat nie ma żadnej szansy zdobyć Khanum, nawet gdyby zwyciężył.

— Gdy mówiłem, że ktoś się zgłosi, nie miałem na myśli swojego brata, ale... — zająknął się.

— Ale...?

— Siebie samego.

— Ciebie? — spytałem zdziwiony. Z *tachtirewanu* Hilui usłyszałem cichy okrzyk strachu. — Jeszcze nie doszedłeś do siebie i do tego nie możesz przecież po tak długiej podróży walczyć z olbrzymem na pięści.

— Nie będę walczył z nim na pięści ale zwyciężę go kulą. A w tym to ja jestem nie do pokonania. Nazywają mnie *Ibn es sa 'ika*, Syn Błysku. Gdy rozbłyśnie moja strzelba, to ten, do kogo się ją kieruje, jest zgubiony.

— Powiedziałeś przecież sam, że Falehd zadecyduje o wyborze broni.

— Spróbuję to tak urządzić, aby olbrzym mnie obraził. Wtedy to ja będę tym, który wyzywa i ja mam prawo wyboru broni, nie on.

— Nieźle. Ale nie będziesz jedynym, który zgłosi się do walki.

— Nie? Nie znam nikogo, kto miałby tyle odwagi, aby wdać się w walkę z olbrzymem.

— Ja znam takiego człowieka.

— Kogo?

— Siebie.

— Ciebie, chyba żartujesz?

— Nie, nie żartuję. Wiele dałbym, aby się dowiedzieć, czy ten Falehd jest rzeczywiście takim bohaterem.

— Nie drwij! Zabije cię jednym uderzeniem swojej pięści.

— To zostaw lepiej mnie. Nie jestem tak niedoświadczony, jak myślisz. Ale czy tuż przed nami to nie jest ta ruina, o której mi opowiadałeś?

— Tak.

— Kto pojawi się pierwszy?

— Na pewno straż obozowa. Zaraz dam im znak.

Hilal wydał półgłosem gwizd. Strażnik rozpoznał go od razu jako członka plemienia i przepuścił.

— *Min antum*, kim jesteście?

— To ja, Hilal. Co się dzieje w obozie?

— Wszystko w porządku. Ale twój brat bardzo się martwi twoją długą nieobecnością. Czy jest ktoś z tobą?

— Tak, goście. Khanum będzie zachwycona. Ale słyszałem sygnał *muezina*. Czy *dżemma* się już zebrała?

— Właśnie się zbiera.

— To dobrze — powiedział Hilal. — Khanum będzie więc na radzie, nie będzie jej w siedzibie. Zaprowadzimy tam Hiluję. Gdy Khanum wróci, zastanie tam swoją siostrę. To będzie wspaniała niespodzianka.

— Czy Hiluja może wejść niezauważenie do mieszkania Ba-dui?

— To jest możliwe. Zsiądźcie z wielbłądów. Ja was poprowadzę. Nasze zwierzęta mogą się tu położyć, aż je odprowadzą. Zostanie przy nich strażnik.

Uczyniliśmy jak powiedział i zsiadliśmy z naszych wielbłądów. Hilal wyraził głośno swoje zadowolenie, że zdążył przybyć na czas.

— Cieszę się, że mam tę możliwość odpowiedzieć na wyzwanie do walki. Nikt nie przypuszcza, że wróciłem i wszyscy będą zdziwieni, gdy nagle usłyszą mój głos dochodzący z ruin.

— A jeżeli wyzwiesz go do walki, co będzie dalej?

Hilal opisał mi "dokładnie, jak zazwyczaj wygląda ciąg dalszy.

— Jeszcze bardziej będą się dziwić, gdy tak nieoczekiwanie zgłosi się aż dwóch do pojedynku.

— Więc jesteś rzeczywiście zdecydowany, aby walczyć z Fa-lehdem? Ostrzegam cię, panie. Nie podchodź do tego tak lekkomyślnie. Byłoby dla mnie okropne, gdybym człowieka, któremu zawdzięczam życie, zobaczył konającego od ciosów Falehda.

— Nie martw się o mnie. Nie jestem niedoświadczony w tego rodzaju walkach. Tam, gdzie zachodzi słońce za wielkim morzem świata leży kraj, który zwą Ameryką. Przebywałem tam wśród ludzi, których zwą „czerwonoskórymi” i oni wiele mnie nauczyli jak wygrywać walki. O tych sposobach ani ci się nie śniło. Lepiej pomyśl, jak niezauważeni możemy dotrzeć do ruiny.

Hilal nic nie odrzekł, ale bez słowa kroczył przodem. Nie spostrzegł więc, że odwiązałem z grzbietu swojego wielbłąda paczkę i wręczyłem ją Halefowi. Miał on zagrać małą rolę w nadchodzącym dramacie.

Nasz przewodnik zatoczył łuk wokół *duaru* aż do miejsca, gdzie namioty nie były już tak gęsto ustawione i niezauważeni dotarliśmy do stóp wzniesienia przypominającego twierdzę.

— Tu jest kamień, który zakrywa tajemne wejście, a które zna tylko Tarik, Khanum i ja. — powiedział Beduin. Wskazał przy tym na olbrzymi kwadratowy blok skalny, wchodzący w skład dolnej części muru.

— Czy potrafimy go poruszyć?

— Zrobi to tylko ten, kto zna urządzenie.

Hilal uklęknął i nacisnął kamień w jemu tylko znanym punkcie. Blok skalny cofnął się do środka i wtedy okazało się, że nie był to kamień, ale stosunkowo cienka płyta, poruszająca się na niewidzialnych rolkach.

Przed nami otworzyło się wąskie przejście, wysokie na tyle, aby mógł nim przejść dorosły człowiek w wyprostowanej pozycji. Wszyscy pięcioro weszliśmy do ukrytego tunelu, a płyta została zasunięta na swoje poprzednie miejsce.

Nie uszliśmy zbyt daleko, gdy nagle przed nami ukazały się schody. W świetle nasyconego woskiem drewnianka, tłącego się u góry, zobaczyliśmy rozgałęzienie. Jedno wejście na wprost, drugie w lewo i jeszcze jedno prowadzące dalej w górę.

— Zaprowadzę was na ulubione miejsce Khanum, gdzie teraz na pewno nie ma nikogo, bo władczyni jest na *dzemmie*. Tu jesteście sami, ale jesteście w stanie obserwować to wszystko, co będzie się działo w obozie.

Poprowadził nas w górę schodów i już po krótkim czasie wyszliśmy na wolne powietrze, gdzie w nieładzie leżały rozrzucone olbrzymie bloki skalne.

— Tak, tutaj nikt wam nie przeszkodzi. Czy rzeczywiście chcesz zgłosić się do pojedynku, gdy wezwie do niego *muezin*!

— Tak, to pewne!

— Więc uczynź to później niż ja. Jesteś tu obcy, więc zostaw mi pierwszeństwo. A teraz odchodzę, aby towarzyszyć Hilui i jej służebnej do mieszkania Khanum.

Odszedł z kobietami. Halef i ja skierowaliśmy się w głąb rumowiska. Nie zrobiliśmy więcej niż kilka kroków, gdy usłyszeliśmy głosy. Kto to mógł być? Khanum powinna przecież być na radzie jak sądził Hilal, a oprócz niej nikt nie miał dostępu do jej ulubionego miejsca. Musiałem się dowiedzieć, kto znajdował się tam w dole. Rozkazałem Halefowi czekać u góry.

Sam zakradłem się bliżej i już wkrótce nie tylko mogłem słyszeć głosy, ale także zobaczyć mówiących, którzy siedzieli na położonych opodal kamieniach, a ich postacie odcinały się wyraźnie od gwiazdzistego nieba.

Był to mężczyzna i kobieta. Ona była ubrana w koszulę, kaftanik i szerokie spodnie. Czarne włosy nie były splecione w warkocze ani schowane pod czapczką. Spływały luźno na ramiona. On nosił typową koszulę i spodnie Beduina. Obok niego stał oparty o skałę karabin. Wyglądało na to, że oboje dopiero co przybyli, bo usłyszałem głos kobiety:

— Czy sądzisz, że mogą nas tu podsłuchiwać?

— Nie — odrzekł mężczyzna. — Nikt nie zna tego przejścia oprócz ciebie, mnie i Hilala. A z prawej strony nikt się nie może zbliżyć niepostrzeżenie. Musiałby wejść po schodach, a wtedy zatrzymaliby go moi ludzie.

— Żeby już wrócił Hilal. Czy nie sądzisz, że powinien już tu być?

— Właściwie powinien być tu już od dawna. Wie przecież, że rada zbiera się dzisiaj. Oby nie przydarzyło mu się coś złego.

— Co miałyby mu się złego stać? Był dobrze wyposażony na tę podróż.

— Tak, miał wspaniałego *hedżina*, Khanum. I właśnie dlatego czekam na niego już od wczoraj.

Kobieta westchnęła głęboko.

— Nie mów do mnie Khanum. Już wkrótce będę biedniejsza niż niewolnica.

— Niech Allah zachowa. Co osiągnęłaś w *dżemie*■?

— Małeńki sukces. Pokonałam Falehda, ale nie na długo — odpowiedziała ożywiwszy się. — On i tych dwu obcych wypowiadali się przeciw paszy z Masr. Naciskali na szybką decyzję. Przeworsowałam jednak postanowienie, aby z nią poczekać aż do momentu, w którym się okaże, kto zostanie szejkiem naszego plemienia. Potem wyszłam z *dżemmy*. Zaczęto bowiem decydować o moim losie. Plemię żąda wodza, którego żoną mam zostać. Nie będzie nim jednak nikt inny jak Falehd.

Badija zamilkła. Również mężczyzna, którym nie mógł być nikt inny jak Tarik, nie odrzekł ani słowa. Patrzył tylko zamyślony przed siebie.

Wyglądało na to, że oboje kochanków ogarnęło głębokie zwątpienie.

— Czy widzisz jakąś drogę ratunku? — zapytała w końcu Khanum.

— Tak, tylko jedną, walkę — odpowiedział.

— Ach, walka z Falehdem nie jest żadnym rozwiązaniem. Nikt nie potrafi go zwyciężyć!

Zabrzmiało to jak na wpół przytłumiony jęk, ale nie z tchórzostwa lecz z żarliwej tęsknoty, aby wreszcie znaleźć rozwiązanie.

— Nawet ja?

— Ty też tego nie dokonasz — odpowiedziała Badija.

— Khanum, czy chcesz mnie obrazić?

— Nie, jesteś mi najdroższy ponad wszystkich ludzi. Narażasz dla mnie swoje życie. Ale nie pozwólmy porwać się fałszywej nadziei, bo oboje wiemy, kto zwycięży i komu muszę być posłuszną.

— W strzelaniu i walce na noże jestem lepszy niż on — wybuchnął Tarik.

— O tym wiedzą wszyscy, i on także. Dlatego wybierze walkę na pięści, jestem o tym przekonana. A wtedy jesteś zgubiony. Nie zgadzam się. Ale jest jeszcze inna droga, abym mogła się uratować.

— Powiedz! Obojętnie jaka ona jest, możesz liczyć na moje wsparcie!

— Ucieczka! Tarik zawahał się.

— Czy uważasz ucieczkę za możliwą? — naciskała na szybką odpowiedź Badija.

— Nie, nie uważam tego za niemożliwe, ale bardzo niebezpieczne dla ciebie.

Badija milczała chwilę.

— Liczyłam na twoją opiekę — powiedziała powoli.

— Obiecałem ci przecież. Ale którąkolwiek z dróg wybierzesz, to każda jest dla ciebie bardzo niebezpieczna. Zastanów się więc i pozwól mi walczyć z Falehdem.

— Nie! Tego nie możesz uczynić! Zabraniam ci!

Więcej nie słyszałem; bezszelestnie oddaliłem się od miejsca, w którym podsłuchiwałem. Moja obecność tam zdawała mi się być nie na miejscu. Odciągnąłem Halefa w lewą stronę, aby nikt nie mógł usłyszeć, gdy mówiłem do niego szeptem.

A więc podsłuchałem rozmowę Badii i Tarika. Jednak nasza rozmowa przed *duarem* i przejście przez ruinę zabrało tyle czasu, że Khanum zdążyła już wrócić do swojej siedziby z *dżemmy*. Jeżeli więc chciałem ukończyć swoje przygotowania, zanim *dżemma* zakończy swoje obrady nad następną sprawą, to musiałem się pospieszyć.

Rozglądałem się. W planowanym przeze mnie przedstawieniu powinienem znajdować się w możliwie korzystnym miejscu. Ładunek petardy nie powinien wybuchnąć zbyt wysoko nad moją głową. Nie mogłem więc zostać tutaj, musiałem wspiąć się jeszcze wyżej, aby osiągnąć zamierzony efekt. Właśnie pionowo nad nami zauważyłem miejsce, które wyglądało na przydatne do moich zamiarów, i do którego dotarłem bez trudu. Potem zwróciłem się do Halefa.

— Czy masz jeszcze pakunek, który dałem ci przed *duarem*!

— Tak!

— Daj go tutaj!

Rozwiązałem sznur i szybko skonstruowałem taką petardę, której lont można było podpalić zapalką. Halef przyglądał mi się bez słowa, chociaż nie rozumiał moich poczynań.

— Halefie, słyszałeś z pewnością o co chodzi — zwróciłem się do niego. — *Muezin* zapyta trzykrotnie, kto staje do walki z Fa-lehdem. Ja wyjdę jeszcze trochę wyżej na te skały. Gdy powiem „teraz” zapal ten sznur. To wszystko.

— Sidi, chcesz więc rzeczywiście wdać się w walkę z olbrzymem? — zapytał zatroskany.
— Lepiej nie rób tego! Po tym wszystkim, co usłyszeliśmy o Falehddie musi to być straszny

człowiek.

— Właśnie dlatego tak mnie nęci, aby spróbować swoich sił.

— *Wakkif*, zaprzestań panie! Nie wystawiaj Allacha na próbę! Musisz walczyć bez jednego błędu, jeżeli chcesz zobaczyć jutrznię następnego dnia!

— Nie byłoby to dla ciebie takie straszne! Byłbyś zwolniony od obowiązku nawrócenia mnie na religię Proroka — zażartowałem. — A więc spraw się dobrze. Przy słowie „teraz” podpal ten sznur!

— Sidi, moja dusza zatapia się w smutku, gdy widzę, jak dążysz do pewnej zagłady. Ale pomszczę twoją śmierć w okrutny sposób, nawet gdyby ta zemsta zniszczyła mnie samego. Teraz możesz być pewny! Przyrzekam ci to ja: Hadzi Halef Omar Ben Hadzi Abul Abbas Ibn...

Dalszego imienia nie byłem już w stanie usłyszeć. Szybko zacząłem wspinać się w górę. Udało mi się to bez większych przeszkód. Przybywszy na wybrane miejsce usiadłem i czekałem ze spokojem na dalsze wydarzenia.

Szejk Beni Abbas

U moich stóp leżały namioty *duaru*, których jednak nie mogłem rozróżnić ze względu na głęboką ciemność nocy. Tylko jedno miejsce było oświetlone - olbrzymi plac między namiotami - tam płonęło ognisko. To tu prawdopodobnie miała miejsce *dżem-ma*. Od czasu do czasu migające pochodnie oświetlały postać kogoś z mężczyzn, którzy siedzieli przy ognisku. Po lewej stronie poniżej mojej pozycji znajdowało się miejsce, gdzie Badija i Tarik z niecierpliwością oczekiwali na rozstrzygnięcia *dżemmy*, a dalej w lewo z pewnością były schody, które prowadziły do ruin. Musiałem dość długo czekać, nim w końcu zauważyłem przy ognisku ożywiony ruch. Zaraz też spojrzałem w kierunku schodów, gdzie jak przypuszczałem pojawi się postać *muezina*.

Rzeczywiście, schodząca w dół schodami postać trzymała w ręce podłużny przedmiot. Gdyby było jaśniej rozpoznałbym w nim z pewnością deskę z wyrytą na niej modlitwą. Był to wzywający do modłów *muezin*, który dokonywał wszelkich obwieszczeń. Jego postać odcinała się w nieokreślonych rysach od nieba nocy. Zobaczyłem, jak wspina się później po skalnych blokach, aż w końcu usadowił się zupełnie niedaleko mnie, aczkolwiek trochę poniżej.

Później zobaczyłem, jak podnosi prawą rękę. Usłyszeliśmy trzykrotne uderzenie w deskę, co wytwarzało jedyny w swoim rodzaju, głuchy, ale wszędzie docierający dźwięk. Natychmiast umilkły odgłosy i rozmowy, które docierały do nas niewyraźnie od strony obozu i zapanowała całkowita cisza.

Wiedziałem, że oczy wszystkich były teraz zwrócone na ruinę. I właśnie stamtąd dał się słyszeć głos *muezina*.

— Usłyszcie moje głosy i chwalcie Allacha! Tego, który rozjaśnia świat, a starości daje rozum i mądrość! Oto *dżemma* starszych zdecydowała, aby dać osieroconym Bem Sallah nowego szejka. Kto nim zostanie - odpowiedzcie prawowierni! Będzie nim Falehd, lub ten, kto zwycięży go w walce na śmierć i życie. Dlatego też usłyszycie trzykrotne pytanie o to, czy znajdzie się odważny, aby podjąć z nim walkę. Jeżeli trzecie pytanie pozostanie bez odpowiedzi, to Badija, nasza Khanum, będzie należeć do brata dawnego szejka.

Muezin zrobił małą teatralną przerwę i mówił dalej:

— Rozbrzmiewa więc pytanie po raz pierwszy. Czy jest ktoś, kto chce stoczyć walkę z Falehdem o posiadanie Khanum pustyni?

— *Anet*, ja! — rozległo się z przodu. Odpowiedź nadeszła tak nieoczekiwanie, że minęła dłuższa

chwila, zanim zdziwiony *muezin* przypomniał sobie o swoim obowiązku.

— *Min intel Ismak eh*, kim jesteś? Jak brzmi twoje imię?

— *Ismi Hilal, Ibn es sa 'ika*, jestem Hilal, Syn Błysku.

To musiało zadziwić wszystkich zebranych. Wiedzieli przecież, że Hilal wyruszył w długą podróż. A teraz nagle rozległ się z ruin jego głos.

Odpowiedzią był żywiolowy pomruk powietrza, który dotarł również do nas na górze. Ale w dole usłyszałem też jeden wyraźny głos:

— Hilal powrócił! Chce walczyć z Falehdem. To nie może się stać! Zostaw mnie! Zostaw! Muszę tam iść!

To był z pewnością Tarik. Mogłem sobie teraz wyobrazić, jak będzie wyglądało spotkanie obu braci. Wstałem, bo teraz miała przyjść kolej na mnie. Beduini stopniowo ochłonęli ze zdziwienia, które wywołało wypowiedzenie imienia Hilal. *Muezin* rozpoczął formułkę po raz drugi:

— Posłuchajcie prawowierni! Znalazł się jeden śmiałek, dzielny *behlwan*, bohater, którego pożrę, jak słońce pożera wodę! — przerwał szyderyczy głos, którego donośne brzmienie dotarło nawet do mnie w górze.

Kto to był? Z pewnością Falehd, brat zmarłego szejka. Teraz nie usłyszałem wśród tłumu żadnego pomruku. Czyżby zdziwienie lub obawa paraliżowały ich języki? W końcu wywołujący powiedział dalej:

— Moje pytanie rozbrzmiewa po raz drugi. Czy jest jeszcze ktoś, kto chciałby walczyć z Falehdem?

Właśnie chciałem głośno zakrzyknąć „ja!”, ale ktoś mnie w tym uprzedził.

— Tak! — odpowiedział jakiś głos na skałach pode mną.

— Kim jesteś?

— Tarik, drugi Syn Błysku.

Zdławiony krzyk kobiecy rozległ się gdzieś w pobliżu. To z pewnością Khanum. Ale jej krzyk zagłuszył głos Falehda:

— Podąży więc do otchłani *dżehennahu* za swoim bratem, gdzie będą lać łzy i lamentować przez całą wieczność! Pytaj dalej, *mu-ezynie*, czy znajdzie się trzeci tak szalony, aby chcieć ze mną stanąć w szranki.

Takich słów z pewnością nie słyszano jeszcze wśród Beni Sal-lah. Przerwano nawet *muezinowi*, co w oczach tych ludzi było jednym z najbardziej występnych uczynków. Ale *muezin* zrozumiał żądanie Falehda i zawołał jeszcze raz:

— Rozbrzmiewa po raz trzeci pytanie. Czy jest jeszcze ktoś, kto chce z nim walczyć?

Przysłuchujący się byli z pewnością przekonani, że nikt więcej się nie zgłosi. Tym większa czekała ich niespodzianka.

— *Na'am*\ Tak! — odpowiedziałem głośno.

Nastąpiła cisza. Na chwilę nawet wzywający do modłów poczuł się nieswojo, bo stałem ponad nim i jemu też się wydawało, że ten głos dochodził z nieba.

— Kim jesteś? Jak cię zwać? — zawołał w końcu głosem, w którym wyczuwałem drżenie.

— Jestem Kara Ben Nemzi, którego jeszcze nikt nie pokonał. I znów cisza. Wyglądało na to, że wszyscy musieli najpierw

zdać sobie sprawę ze znaczenia tego, co mówię. Wykorzystałem tę małą przerwę, aby zawołać półgłosem do Halefa:

— *Dilwakt!* Teraz!

Muezin wyglądał już na opanowanego.

— Nie znamy cię i nie widzimy cię również. Gdzie jesteś?

— Tutaj!

Moment był świetnie wyliczony i cała rzecz udała się wyśmienicie. Bo oto zaledwie zawołałem „tutaj” powietrze przeszył syczący promień ognia i utworzył nad ruiną kolorowy wieniec, z którego wypryskiwały maleńkie kulki.

I oto cały *duar* był oświetlony jak w dzień. Mogłem teraz dostrzec każdy z namiotów, widziałem jak w nocnym wietrze chyla się palmy i potrafiłem rozróżnić każdą z tych twarzy, które spoglądały na mnie zadarte ku górze, z wyrazem strachu i zdziwienia. Było pewne, że im dokładniej dostrzegałem przedmioty wokół siebie, tym wyraźniejszy byłem i ja do rozpoznania na wyżynie ruiny. Później płomyki i kulki zagasły, a my byliśmy znów otoczeni ciemnością, jeszcze głębszą, niż przed tym wydarzeniem.

Niewidzialne więzy, które zdawać by się mogło skrępowały widzów, rozluźniły się.

— O Allachu! O Mahomecie! O Proroku!

Te i inne okrzyki rozbrzmiewały w tonie największego wzburzenia.

— *Allah HAllah! WeMohammed rassuhl Allah!* — usłyszałem głos Halefa.

Muezin w tym czasie rzucił swoją deskę w dół ruin i przeskakiwał w pośpiechu z jednego kamienia na drugi, jak gdyby chciał mi przemocą złamać kark, a przy tym wrzeszczał ze wszystkich sił:

— *Meded, meded!* Na pomoc! Na pomoc! Zły duch! Zły duch ruiny przybył. Pospieszcie się prawowierni! Uciekajcie, o bohaterzy! Chowajcie ojcowie w bezpieczne miejsca swoje kobiety, córki i synowi...

Reszta wezwania zginęła w ogólnej panice. A ja, zadowolony ze swojego „przedstawiania”, zacząłem pomału schodzić w dół, gdzie oczekiwał mnie Halef

— *Allah ii Allah!* Co to było, *sidi*? — zawołał do mnie wyprowadzony z równowagi.

— To były po prostu fajerwerki, nic więcej.

— *Allah akbar*, Bóg jest wielki, ale moje zdziwienie jeszcze większe. To co opowiadasz o fajerwerkach jest dla mnie nie do pojęcia. Ale zapewniam cię, w tych tak niewinnie wyglądających rolkach ukryci byli wszyscy diabli z *dżehennahu*, którzy uwolnili się w błyskach i odgłosach wystrzałów ze wszelkich więzów, aby zgubić dzieci Allacha.

— Halefie, nie opowiadaj głupstw! Te straszne „szatany” są w Europie produkowane w milionach sztuk i nie jest to nic innego, jak proch i farba.

— *Allah kerihml* Bóg jest miłosierny! Wiem, że mówisz to tylko po to, aby mnie uspokoić. Czy słyszałeś, co mówili Beni Sallah na twój widok?

— Tak, uznali mnie za złego ducha pustyni. To może nam tylko pomóc, bo nikt się nie odważy nas obrazić. Ale spójrz, nadchodzi Hilal!

Młody Beduin właśnie wynurzył się zza skał. Podszedł blisko mnie i spojrzał mi poważnie w twarz.

— Efendi, nie wiem, czy mam odczuwać przed tobą strach, czy przed tobą uklęknąć.

— Ani jedno, ani drugie — zaśmiałem się. — Dlaczego?

— Jeszcze pytasz? Czy nie zauważyłeś, jakie wywołałeś przerażenie? Co prawda, przypuszczam, że wszystko odbyło się bez sił nadprzyrodzonych, ale mimo to czuję się przy tobie jak małe dziecko.

— Niepotrzebnie, Hilalu. Później ci wszystko wytłumaczę. Ale czy przybyłeś tu tylko po to, aby mi to powiedzieć?

— Nie, mam zaprowadzić cię do Khanum.

— Czy wie już o wszystkim?

— Nie, wszystko toczy się tak szybko, że nie ma czasu na wyjaśnienia.

Hilal poprowadził nas przez masyw skalny w kierunku tych samych schodów, którymi wspięliśmy się w górę. Wkrótce stanęliśmy w tym wejściu, które kończyło się małym pomieszczeniem. Całe wyposażenie tego pokoju to pałaca się właśnie lampa z olejem palmowym i dwie leżące na podłodze maty z włókien kokosowych. Drzwi na wprost prowadziły do innego pomieszczenia. Hilal podszedł właśnie do nich i odsłonił zasłonę, aby otworzyć drzwi, ale zastygł w bezruchu. W środku dały się słyszeć głosy - zdecydowany kobiecy i groźnie brzmiący męski. Obydwa z nich już słyszałem -jeden u góry w tych ruinach, drugi w dole -w obozie. Była to Badija i Falehd, którzy właśnie ostro wykładali swoje racje.

— A ja chcę wiedzieć, w jaki sposób dostali się ci ludzie do naszego obozu! Ja jestem przywódcą plemienia! — brzmiał głos męski.

— Szejkiem jestem ja! Tylko ja! — zabrzmiała dumnie odpowiedź Badiji. — Jeżeli wiem jak, w jaki sposób przybywają do mnie, to to wystarczy.

— *Maschallah*\ Mówisz bardzo zarozumiałym tonem. Poczekaj, będziesz mówiła uprzejmiej, gdy postawię ciebie i twoich pod sąd. Gdy zostaniesz moją żoną nauczysz się posłuszeństwa!

— Zaczekaj więc, aż nią zostanę!

I — Zostaniesz nią. A teraz chcę wiedzieć, kim jest ten Kara Ben Nemzi.

— Jeszcze nie wiem, kim jest.

— Przecież jest u ciebie, w twojej siedzibie. To kuglarz i oszust, ma natychmiast tu przyjść i wytłumaczyć się, kiedy i jak wszedł do twojego pałacu.

— Kiedy? Właśnie teraz! Jak? Przez te drzwi!

Wkroczyłem po cichu na salę z Hilalem i Halefem i oto stanąłem przykuty orientalnym przepychem sali, w której się znaleźliśmy. Całe jej wyposażenie zdradzało, że mieszka tu kobieta.

Pośrodku pomieszczenia stała Badija - Khanum. Teraz, w świetle kilku woskowych świec, mogłem przyjrzeć się jej lepiej, niż w ciemności gwiazdzistej nocy. Była ubrana w delikatną białą szatę z lnu. Tę biel przecinał tylko czerwony pasek owinięty wokół bioder i czerwone skórzane pantofelki wsunięte na boscie stopy. Badija była wysoka i szczupła a w swojej dumnej i władczej postawie zachowała naturalny wdzięk. Wpatrując się w jej twarz, nie można było oprzeć się olbrzymiemu podobieństwu do jej siostry Hilui. Była równie piękna, ale w rysach

bardziej surowa i zamyślona. Pełne czerwone usta były zagięte w kącikach ku dołowi, co było oznaką, że te piękne usta miały ostatnio aż za nadto powodów do wyrażania gniewu. Kruczoczarne włosy spływały swobodnie na ramiona. Nie były ozdobione żadną biżuterią, nawet tą ze złotych monet, którą tak lubią Beduinki. Ale właściwie po co? Same w sobie były najwspanialszą ozdobą Królowej Pustyni.

Tuż za nią stała Hiluja, jeszcze w swoim podróżnym stroju. Patrzyła z przerażeniem na człowieka, który stał przed Khanum i mówił do niej w tak wyniosły sposób.

I oto zobaczyłem Falehda. Był rzeczywiście postawy Herkulesa. Prawie prowokował do określenia go biblijnymi słowami: *On i eden ocalał z dzieci olbrzymów*. Cały był otoczony białym *haikiem*, którego kapuza odrzucona była w tył. Można więc było zobaczyć olbrzymią bliznę, którą przeorała była jego ciemna twarz od lewego do prawego policzka. Musiała być pozostałością jakiejś potwornej rany. Rysy twarzy, jak ciosane siekierą, naznaczało okrucieństwo.

Jeżeli zmarły szejek był tylko odrobinę podobny do swojego brata, to już nie mogłem się dziwić, że Baduja nie zaznała szczęścia u jego boku.

Gdy Falehd usłyszał moje słowa, odwrócił się w naszym kierunku i spojrzał na nas zdziwionym, wyzywającym wzrokiem, który zatrzymał się na mnie.

— *Kuli Szejatin!* Do wszystkich diabłów! Czy to on?

— Tak, to ja — odpowiedziałem krótko.

— Kogo tu szukasz?

— Nie ciebie. Możesz odejść!

Falehd zaklął, zacisnął pięści i zrobił krok w moim kierunku.

— I ty odważyłeś się mnie, szejkowi plemienia rozkazać, abym odszedł?

— Szejek, któremu winien jesteś posłuszeństwo stoi tutaj — mówiąc to wskazałem na Khanum.

Beduin zaśmiał się szyderczo.

— Jesteś tu obcy, i nie wiesz, co zdecydowała rada starszych o tej kobiecie na dzisiejszej *dżemie*. Będiesz co prawda walczył ze mną o tę kobietę ale nie wiesz, że od chwili, gdy zapadła decyzja o pojedynku nie jest ona już szejkiem tego plemienia. Należy do zwycięzcy, który zostanie jego wodzem.

— Ale zwycięzca jeszcze nie jest znany, więc jak na razie ona jest jeszcze panią samej siebie. Zostałem tu zaproszony przez nią, więc mam prawo tu przebywać. Ale nie przywykłem

rozmawiać przy niewygodnych świadkach. Dlatego musisz stąd wyjść, jeżeli nie masz nic ważnego do powiedzenia.

Falehd uczynił ruch, jak gdyby chciał rzucić się na mnie. Zatrzymał się jednak. Zmierzył mnie tylko z pogardą od stóp do głowy, zrobił nieokreślony ruch i roześmiał się:

—Allah sprawił, że słońce wypaliło ci rozum. Ale jeszcze nie nadeszła pora, abym rozprawił się z tobą.

— Wnet będziesz miał ku temu okazję — powiedziałem lekceważącym tonem.

— Tak, i to będzie twój koniec — wybuchnął całą swoją złością. — Jesteś robakiem i po prostu cię zdeptam tak jak i te dwa, inne nędzne robaki, które zwą się „synami błysku”. Ich też zdepczę na miazgę. Już jutro o tej porze będziecie się smażyć w najgłębszych czeluściach *dżehennahu*.

Po tych słowach odwrócił się gwałtownie i wyszedł.

Być może Czytelnik uzna moje zachowanie w tym obcym przecież kraju i w stosunku do najbardziej wpływowego człowieka plemienia za zarozumiałe, a może nawet szaleńcze, ale uważałem je za jedynie słuszne. Był on bowiem jedyną osobą plemienia, w której mieliśmy zajadłego wroga, nie licząc oczywiście obcych agentów. Reszta członków plemienia, nawet ci, którzy byli zwolennikami Falehda, nie była do nas wrogo nastawiona i nie liczyliśmy ani na ich poparcie, ani na gniew. Mogliśmy założyć, że przyjmą wyczekującą postawę w walce, która już się rozpoczęła, założywszy, że Falehd nie będzie ich podburzał. Teraz było więc naszym zadaniem, aby temu zapobiec.

Musieliśmy zdobyć zaufanie Beduinów i pokazać im, że nie pozwolimy się zastraszyć olbrzymowi, którego tak się bali.

Gdy Falehd oddalił się, Badija spojrzała na mnie ciepło. Podziękowała mi w prostych słowach a Hiluja i Hilal opowiadali jej jedno przez drugie o wszystkim. Można sobie wyobrazić, jak szybko minął czas. W czasie przerw w rozmowie wniesiono jedzenie, a ja miałem okazję, aby poznać też Tarika, brata Hilala.

Zachowywał się bardzo podobnie, a każdy, kto spojrzał w jego twarz, musiał się dziwić, jak bardzo byli do siebie podobni. Nie było moim zamiarem utrzymywać zabobonnych Beduinów w ich szaleńczym przeświadczeniu, że oto w mojej postaci objawił się duch ruin. Dlatego poprosiłem Tarika, aby uspokoił swoich współ-plemieńców i jednocześnie wyjaśniłem, w jaki sposób wywołałem burzę ogni sztucznych.

Tarik obiecał mi to uczynić i oddalił się, aby spełnić swoje obowiązki jako dowódca straży.

* * *

Minęła już północ, gdy w końcu zaspokoiiliśmy ciekawość Badii. Khanum wstała i zaprosiła mnie i Halefa, abysmy towarzyszyli jej do *duaru*. Użyliśmy teraz nie tajemnego przejścia, ale szerokich kamiennych schodów. Było tu teraz o wiele spokojniej. Straże stały milcząco u góry przy wejściu do ruiny i w dole u podnóża schodów.

Życie tętniło za to w *duarze*. Przeżycia dzisiejszego wieczora były jeszcze żywym obrazem i prawie nikt nie udał się jeszcze na spoczynek. Beduini zebrali się w grupy i omawiali ten niesamowity fakt, że aż trzech mężów miało odwagę stawić czoła olbrzymowi *duaru*. Obserwowałem, jak mężczyźni kierowali na mnie spojrzenia, gdy przechodziłem obok nich, ale nie było w nich ani odrobiny nienawiści, bardziej podziw i pewna doza nieśmiałości.

Wyjaśnienia Tarika przyniosły oczekiwany skutek, ale nie były w stanie całkowicie zabić lęku związanego z przesadami. Tylko jeden z nich - Falehd dotarł aż do Kairu, gdzie wystrzelenie ogni sztucznych nie było już zaliczane do siedmiu cudów świata. Dla większości tych ludzi jednak, to co zobaczyli, pomimo uzyskanego wytłumaczenia, było czymś niesłychanym. Było więc czymś zupełnie zrozumiałym, że odnosili się do mnie z dystansem.

Gdy przechodziliśmy obok grupy żywo debatujących i wymachujących oburącz mężczyzn, usłyszałem z ust jednego z nich słowa: *Abu es i sa 'tka*, Ojciec Błysku.

To i wymowne spojrzenie skierowane na mnie dały mi do zrozumienia, że już pierwszego wieczoru po przybyciu byłem na dobrej drodze, aby stać się sławą wśród Beduinów.

„Ojciec Błysku” brzmi całkiem niezłe. Stałem więc w bardzo bliskim pokrewieństwie do Tarika i Hilala, byłem ich przodkiem. Było więc moim obowiązkiem, aby swoim obydwu „potomkom” ułatwić drogę życia i pomagać w spełnieniu ich pragnień płynących z serca.

Jeszcze raz do moich uszu dotarło *Abu es saika* i zauważyłem, że Halef, który stał trochę na uboczu obok Khanum, był z tego bardzo dumny.

W końcu Królowa Pustyni wywołała gestem ku sobie starego, szacownie wyglądającego człowieka o srebrzystych włosach i zleciła mu dalsze oprowadzanie nas po obozie. Sama oddaliła się.

Rozumiałem doskonale, dlaczego Khanum osobiście towarzyszyła nam przy zwiedzaniu *duaru*. Przypuszczała, że Falehd będzie próbował wszelkimi środkami podburzyć przeciw nam Beni Sallah i chciała temu zapobiec. To, że była z nami to był sygnał dla ludzi z jej plemienia, że uważa nas za szczególnie uprzywilejowanych gości, i że nikomu nie powinno nawet przyjść na myśl, aby nas obrazić.

Gdy Khanum odeszła do swojej siedziby byliśmy pod opieką starca. Nie trwało zbyt długo, gdy zaczęliśmy rozmawiać o tym, co najbardziej leżało mi na sercu: przyszły stosunek Beni

Sallah do kedywa.

Ku mojemu zadowoleniu okazało się, że mój przewodnik należy do bardzo rozsądnych ludzi.

— Należę do tych, którzy szanują kedywa — powiedział srebrnowłosey — Moich przekonani jest też większość wojowników.

— Ale nie Falehd?

— Nie. Dlatego boję się o przyszłość. On, jako szejek nie będzie nas prowadził dobrymi drogami.

— Co do tego możesz być zupełnie spokojny. Falehd nie będzie waszym szejkiem.

— Czyżbyś sądził, że potrafisz pokonać go w walce? Wybacz., nie chciałbym cię obrazić, ale wątpię w to, Falehd jest mistrzem; w walce wręcz, i tylko tego rodzaju walkę z pewnością wybierze

— Może to uczynić. Byłem w kraju, gdzie tego rodzaju walki są prowadzone zupełnie inną techniką niż u was.

Starzec przystanął, spojrzął na mnie zdziwiony i potrząsnął głową.

— Naprawdę muszę podziwiać zaufanie, jakie masz do siebie samego. Mówisz tak, jak gdyby nie istniała możliwość, że ktoś mógłby cię pokonać.

— Bo ta możliwość nie istnieje. W kraju zachodzącego słońca, skąd pochodzę, walczymy zupełnie inaczej niż wy, synowie pustyni. Nie jesteście w stanie nam dorównać!

— *Allah ilAllahl* Czyżbym się przesłyszał? Czy jesteś Frankiem?

— Tak.

— Czy mogę zapytać z jakiego kraju?

— Z Alemanii.

— Ach! Nie jest mi to obce pojęcie. Wiem, że Alemania ma dzielnych wojowników.

— Czy nie zechciałbyś powiedzieć swojego imienia? Z twoich przyjaznych słów śmiałybym wnioskować, że zwa cię Esra.

— Tak, to ja. Jak to odgadłeś?

— To Hilal wymawiał twoje imię z czcią. Mówił, że jesteś zaufanym doradcą Khanum i przyjacielem kedywa.

— Hilal nie mylił się. Jestem nim.

— Cieszę się. Pozostań wierny swoim przekonaniom i uczyn tak, aby wasi ludzie na *dżemie* podjęli decyzję wtym duchu. Nie będzie to ze szkodą dla was.

— Jak to rozumieć?

— Dokładnie tak jak mówię. Będzie to dla plemienia Beni Sal-lah olbrzymią korzyścią, jeżeli nie pozwolicie się podburzyć przeciw kedywowi.

— Olbrzymią korzyścią? Dlaczego?

— Powiedz mi najpierw, czy ci dwaj wysłannicy z Moskwy i Turcji, o których opowiadał mi Hilal, przywieźli wam jakieś prezenty?

— Nie, żadnych. Obsypali nas tylko obietnicami. Chcą, aby Falehd został szejkiem. Później planowano, aby pod jego przewodnictwem wszystkie plemiona pustyni napadły na Masr. Zapłatą miała być duża ilość srebrnych talarów i oprócz tego wszystko, co potrafilibyśmy zagrabić.

— Czy Falehd przystaje na tę propozycję?

— Tak!

— *Szi makruh*, co za hańba! Chciano więc ograbić biednych egipskich fellachów, którzy sami mają zaledwie tyle, ile potrzebują, żeby przeżyć. To potworne! W takim razie złożę wam pewną propozycję.

— Czy mogę się dowiedzieć jako pierwszy?

— Właściwie chciałem ją przedłożyć dopiero na następnej *djemmie*. Ale sądzę, że możesz przygotować drogę spełnienia moich zamiarów. Posłuchaj więc! Jeżeli plemię Beni Sallah pozostanie wierne kedywowi to obiecuję wam broń.

— *Hamdulillah!* Przywiozłeś broń?

— Nie powiedziałem, że ją przywiozłem ze sobą. Twierdzą tylko, że ją dostaniecie. Strzelby i naboje.

— Ile?

— Trzysta karabinów, nie takich flint, jakimi walczyacie teraz, gdzie co drugi strzał jest niecelny. A do tego trzysta tysięcy naboń.

Esra podskoczył z radości pomimo swojego wieku i godności.

— *Allah UAllah!* Nie mogę w to uwierzyć! Co powiedziałeś? Trzysta karabinów?

— Tak.

— I trzysta... nie, trzysta tysięcy naboń?

— Dobrze usłyszałeś.

— *Allah kerihm*, Allah jest łaskawy! Twe słowa pachną jak kwiaty rajskie. Dobra broń to przecież dla Beni Arab rzecz wciąż najważniejsza!

— Broń, krórá otrzymacie, to broń w którą są wyposażeni żołnierze Anglików. Można ją bardzo szybko i łatwo załadować, tak, że w przeciągu minuty możecie oddać dziesięć strzałów.

Starzec chwycił się za głowę.

— Nie mogę tego pojąć. To przekracza wszelkie wyobrażenie. Iluż więc wrogów można zabić w przeciągu minuty? Trzysta sztuk! Dziesięć strzałów na minutę! Nie potrafię tego nawet obliczyć! Mój rozum nie potrafi tego ogarnąć! Czy może ty to potrafisz?

Musiałem w głębi duszy uśmiechnąć się do tak dziecinnego rozumowania starca.

— Trzy tysiące... przy założeniu, że ładnalcuła nie chybiłaby.

— Trzy tysiące wrogów na minutę! O Allachu! O Mahomecie! I wy wszyscy prorocy! A kiedy otrzymamy tę broń?

— Jeżeli *dżemma* jutro zadecyduje, że dobre stosunki z kedy-wem powinny być utrzymane. Wtedy za dwa dni, licząc od jutra, broń będzie w waszym posiadaniu.

— *Maschallah! Maschallah!* Za dwa dni! Efendi, czy mogę o twojej propozycji porozmawiać z Khanum?

— Nie, wolałbym, gdyby zostało to tajemnicą. Chcę zaskoczyć Khanum i całe wasze plemię. Nie mów więc nic nikomu! Czy zrozumiałeś?

— Tak, słyszę.

— Jestem przekonany, że uczynisz wszystko, aby *dżemma* zadecydowała zgodnie z naszymi zamierzeniami.

Starzec położył dłoń na piersi w geście przysięgi.

— *Di aleje ma tiftikirsz*, możesz na mnie liczyć! Uczynię dla ciebie to, czego nie uczyniłbym dla nikogo innego!

— *Kattar herak*, dziękuję ci! Mam tylko jeszcze jedno pytanie. Czy Beni Suef zaliczacie do swoich przyjaciół?

— Beni Suef? Niech Allah przeklnie te psy! Są naszymi najgorszymi wrogami. Co najmniej od wieku stoi między nami zemsta krwi.

— To dobrze! Czy mógłbyś teraz zaprowadzić nas do naszych namiotów, gdzie będziemy mogli spędzić noc? Jesteśmy zmęczeni po długiej podróży, a jutro musimy być silni i wypoczęci.

— *Ze ma terid*, jak sobie życzysz! Chodź za mną.

I w ten oto sposób zadecydowałem o wykorzystaniu znalezionej na pustyni skarbu, którym były dla beduinów karabiny. Czy miałem do tego prawo? Na pewno tak. Po pierwsze,

jako znalazca miałem pewne prawa, a po drugie chodziło tu o broń, która zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem miała przynieść wielu ludziom nieszczęście i śmierć.

Esra napomknął, że plemiona Beduinów miały napaść na fel-lachów mieszkających w dolinie Nilu i wegetujących w tak strasznych warunkach. Ich dobytek miał być zapłatą. To mi wystarczyło.

Dzieło agentów polityki pozbawionej sumienia, dla której życie człowieka nie znaczy nic miało zostać udaremnione, gdyż celem ich było spotęgowanie trudności już i tak będącego w kryzysie gospodarczym kraju rządzonego przez kedywa. Zleceniodawcy posłów liczyli więc na korzyści polityczne. Kto stał za tymi agentami? Tego nie wiedziałem, ale mogłem przypuszczać. W sumie mogło mi to być obojętne.

Uważałem za swój obowiązek, jako człowiek i chrześcijanin, aby pokrzyżować ich plany i zapobiec rozlewowi krwi.

* * *

Następnego ranka jeszcze nie wstało słońce, gdy się przebudziłem i opuściłem schronienie przeznaczone na nasz wypoczynek. Wyszedłem na zewnątrz i udałem się znanymi mi już schodami. W dole, w *duarze* panowała jeszcze cisza. Ale nie na długo. Bo gdy tylko górny brzeg tarczy słońca wyłonił się, ukazując część okręgu jego twarzy, rozległy się z olbrzymich schodów trzy daleko słyszalne uderzenia w deseczkę i jednocześnie w powietrzu uniósł się głos *muezina*:

— *Hai alas salahl Hai alalfelahl* Obudźcie się prawowierni, przygotujcie się do modlitwy! Bo oto wylania się słońce z morza piasku.

Widziałem, jak Beduini wychodzili ze swoich namiotów i ukłękali z obliczem zwróconym w stronę Mekki. Chociaż nie mogłem usłyszeć ich modłów z powodu odległości, to wiedziałem, że powtarzają wersety *Fathy*, które jako pierwszy wymawiał *muezin* swoim dźwięcznym głosem. Modlący się zanurzali przy tym ręce w piasku i wymawiali mahometańskie wyznanie wiary:

— *Allah UAllah! We Mohammed ras suhl Allah!* Bóg jest Bogiem a Mahomet jego Prorokiem!

Później podnieśli się z kolan aby zabrać się do codziennych spraw. Ale oto rozległo się na nowo wołanie *muezina*:

— Posłuchajcie prawowierni, o czym powinniście się dowiedzieć!

Widziałem, jak ludzie zbierali się w grupki i wznosili oczy ku wołającemu.

— Oto przemawiam do was na zlecenie Falehda, którego pełne imię brzmi: Falehd Assa Ben Ali Soliman Jussuf Ibn Kalaf Omar el Azihmi, i mam ogłosić wszem i wobec: w tym momencie, gdy słońce stanie nad waszymi głowami, Falehd wyjdzie, aby walczyć z mężami, których wyzwanie wczoraj przyjął.

Masa ludzka poruszyła się. W tym napięciu usłyszeć można było dalsze słowa *muezina*.

— Falehd będzie walczył najpierw z Kara Ben Nemzi Efendi, potem z Tankiem a na końcu z Hilalem. Pojedynek ten zakończy albo śmierć, albo prośba o łaskę, tak jak nakazuje to prawo pustyni. Falehd nie chciał przyznać prawa łaski, ale musiał podporządkować się zwyczajom plemienia. Wszyscy synowie i córki Sallah niech przybędą, aby przyglądać się walce od jej rozpoczęcia aż do rozstrzygnięcia. Do zwycięzcy będzie należeć Badija, Królowa Pustyni a wraz z nią także godność przywódcy i *szejka el urdi* -pana obozu. Niech Allah i Prorok będzie z nim i z nami wszystkimi!

A więc miałem żyć jeszcze do południa. Nie dłużej. Aby dać świadectwo prawdzie, muszę wyznać, iż byłem do tego stopnia lekkomyślny, że nic wierzyłem w takie zakończenie walki. Wcale nie myślałem o tym, że mógłbym już więcej nie móc podziwiać zachodu słońca. Nie pozwoliłem więc sobie zepsuć rozkoszy widoku, który rozpościerał się z tego miejsca, smutnymi myślami o zbliżającej się walce. Doprawdy, jak piękną była pustynia!

I właśnie w tym miejscu powinno się stać, aby dotrzeć do pełni zachwytu jej urodą.

W drodze powrotnej do mojego schronienia spotkałem Tari-ka. Powiedziałem, że mam ochotę na małą poranną przejażdżkę i zapytałem, czy nie miałby ochoty towarzyszyć mi do pastwiska dla koni. Najpierw zawołałem jeszcze Halefa, który miał mi towarzyszyć. Już się obudził i doprowadzał do ładu swoje ubranie, które mocno ucierpiało w czasie długiej podróży.

Zeszliśmy w dół szerokich schodów i udaliśmy się w kierunku pasących się koni. Tarik wybrał dwie drogocenne klacze, które należały do Khanum.

Zauważył nasze wyrażające podziw spojrzenia i powiedział: — Jestem dowódcą straż} i mogę wam przydzielić te zwierzęta. Nawet gdybyście wędrowali sto dni nie znajdziecie takich, które mogłyby się z nimi równać. Te klacze przywiozła ze sobą Khanum ze swojej ojczyzny. Beni Abbas są najslawniejszymi hodowcami: mają klacze, których rodowód zapisany jest na zwojach pergaminu na długości dziesięciu łokci.

Z łatwością osiodłaliśmy konie. Później wskoczyliśmy na nie i wyruszyliśmy na południe. Bardzo szybko zauważyliśmy, że nasze rumaki to pełnokrwiste konie wyścigowe, bo gdy po pięciu minutach spojrzeliśmy za siebie, oaza była już daleko za nami a ruina zupełnie zniknęła nam z oczu. Mimo to nie ściągnęliśmy naszych rozgalopowanych koni cugłami, bo czyż nie

jest rozkoszą pędzić na takim rumaku jaskółczym lotem w bezmiar świata?

Jechaliśmy wprost przed siebie. Gdy w końcu zatrzymaliśmy się po jakiejś godzinie, przebyliśmy z pewnością trzy mile, wciąż w płynnym galopie. A mimo to nasze konie nie okazywały nawet śladu zmęczenia, nie była widoczna ani jedna kropla potu, ani nie usłyszeliśmy choćby jednego niespokojnego oddechu.

Zazwyczaj tak pogodny Hałef był najwyraźniej w złym humorze. Rzucił wokół niezadowolone spojrzenie i zamruczał:

— Wszędzie pustynia! Piach i nic tylko piach! Zsiądźmy na moment i usiądźmy na tej zapomnianej przez Allacha ziemi!

Usadowiliśmy się więc na piasku tak wygodnie, jak tylko to możliwe. Nasze konie stały spokojnie obok.

— Mówisz o pustkowiu opuszczonym przez Boga. Ale nie masz racji — powiedziałem do niego po chwili.

Wzruszył ramionami i spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

— Nie mam racji? Spójrz wokół siebie! Czy jest tu choć jeden ślad życia?

— Nie tylko ślad. Chciałoby się powiedzieć, stąd emanuje pełnia życia!

— Nie potrafię cię zrozumieć!

— Zaraz mnie zrozumiesz. Właśnie z tej pustyni, o powierzchni setek tysięcy mil wznosi się niesamowity żar, aby rozejść się w kierunku obu biegunów ziemi i stamtąd znów powrócić. W swej drodze zniża się stopniowo i już jako zimny prąd powietrza znów zmierza ku Saharze. Ten zimny prąd wchłania w siebie całą wilgoć, jaką napotka, wyładowuje ją na górach i dzięki niej rozprzestrzenia się na wszystkie kierunki. I tak oto zmienia się w prąd utrzymujący i rozprzestrzeniający życie. Tak więc ta pustynia, o której mówisz tak pogardliwie, ma właśnie nieocenione znaczenie dla wszystkich i wszystkiego na ziemi.

— *Allah akbar*, nic o tym nie wiedziałem. Wy, Frankowie macie o wielu rzeczach więcej wiedzy niż Beni Arab. Szkoda, że nie chcesz dać się nawrócić na wiarę Proroka. Ale i tak cię nawrócę...

— ...czy tego chcę czy nie! — uzupełniłem, śmiejąc się z jego wciąż powtarzanej frazy. — Nie jeden raz mnie o tym zapewniałeś.

— Nie śmieć się — zamruczał pod nosem. — W końcu i tak nie będziesz miał innego wyjścia.

— Dlaczego tak sądzisz?

Halef nic nie odpowiedział. Przez dłuższą chwilę milcząco patrzył w piasek. W końcu rozpoczął pozornie zupełnie bez ogródek:

— Jak ci się podoba Królowa Pustyni - Badija? Oczywiście wiedziałem od razu do czego zmierzał. Pozwoliłem sobie na żart myślenia jego kategoriami.

— Jestem nią zachwycony! Jej głos brzmi jak pieśni *bidbid*, słowika, a jej oczy lśnią jak *nuresz szems*, blask słońca, a policzki ma jak *zahari*, kwiaty.

Halef spojrział na mnie podejrzliwie. Nie był pewien, czy ma wziąć moje słowa na serio. Ale przybrałem minę oczarowanego młokosa i to spowodowało, że cień na jego twarzy, który zaciemniał ją już od dłuższego czasu, zniknął.

Znów milczał przez moment zanim zapytał:

— Czy jesteś pewny, że pokonasz tego olbrzyma?

— Nie mam cienia wątpliwości.

— Czy wiesz, jakie są tego skutki?

— Jakie? — zapytałem i czekałem na odpowiedź z miną wyrażającą napięcie.

— Musisz poślubić Badiję, owdowiałą Khanurn. Wreszcie to powiedział i spojrział na mnie jak lis czyhający na

kurczaka.

— *Maschallah!* — dalej udawałem zdziwienie. — O tym nie pomyślałem!

— I co wtedy uczynisz? — naciskał na odpowiedź.

— Do czego zmierzasz? — zapytałem.

— Oczywiście musisz ją poślubić! Wiesz przecież, że obiecano ją zwycięzcy!

— Hm, czyż nie chciałeś, abym poślubił Hiluję?

— Nie chcę słyszeć ani słowa więcej o tej gęsi! — zdenerwował się. — Odkąd pojawił się Hilal zupełnie jej nie poznaję. Wiem przecież, że dawniej wystarczyłoby tylko jedno twoje słowo i już zdobyłbyś jej serce.

— Hm — powątpiewałem.

— Tak, wiem o tym doskonale — upierał się przy swoim. — Wiem to od Halui, jej służebnej. To ona opowiadała mi, jak była tobą zauroczona od pierwszego wejrzenia.

— Kto? Haluja?

— Nie denerwuj mnie! Oczywiście Hiluja! Ale czy widziałeś wczoraj tę chorągiewkę na wietrze? Cały wieczór wpatrywała się tylko w Hilala. A do tego widziałem wyraźnie, że on odwzajemniał jej spojrzenia. Cóż za niewdzięcznicy! Zawdzięczają ci przecież wszystko -

Hiluja swą wolność a Hilal życie!

Aha! Stąd ten zły humor Halefa!

— Nie smuć się. To jest ich *kismet*, aby się w sobie zakochać. Widocznie tak było zapisane w księdze przeznaczeń.

— Nie poślubisz więc Hilui. Dzięki niech będą Allachowi! Ale Badija? U jej boku byłbyś szczęśliwy! Zrobiła na mnie wrażenie o wiele spokojniejszej i stateczniejszej niż jej siostra. Co chcesz więc uczynić?

— Muszę podążyć za głosem swego serca — odrzekłem dwuznacznie.

— *Hamdulillah*! W końcu! — zawołał Halef z zachwytem nie rozumiejąc mojej odpowiedzi. — To wspaniale! Sam powiedziałaś, że ci się spodobała. Czy wiesz o tym, co jest następstwem ślubu z Badija?

— Uczta weselna!

— Nie to mam na myśli. Chodzi mi o coś zupełnie innego. Twój tak sprawny umysł musi ci podpowiadać, że plemię, które liczy sześć tysięcy wyznawców Proroka - nie licząc w ogóle kobiet, starców i dzieci, nie może być na dłuższą metę posłusznym szejkowi, który jest chrześcijaninem. Nieodłącznym więc skutkiem twojego ślubu jest twoje nawrócenie na wiarę Proroka! *Allah ak-bar*, Bóg jest wielki, ale moja radość jeszcze większa. Bo oto spełni się największe życzenie mego serca!

Udałem, że jego słowa dotknęły mnie do żywego.

— Czy naprawdę musiałbym się przechrzcić?

— Nie byłoby innego wyjścia.

— Hm, w takim razie muszę jeszcze raz przemyśleć sprawę swojego ożenku.

— Tu nie ma nic do myślenia — sprzeciwił mi się szybko Halef — Albo ty pokonasz Falehda w pojedynku, albo on ciebie. Jest tak czy inaczej ustalone, że zwycięzca ma ożenić się z Khanum. Nie możesz przecież zhańbić całego plemienia odrzucając rękę jego władczyni. Taka obelga mogłaby być odkupiona tylko krwią.

— No cóż, wygląda to więc wszystko zupełnie inaczej niż myślałem. Czy nie sądzisz, że będzie rozsądniej z naszej strony pozwolić, aby wydarzenia potoczyły się same, zamiast łamać sobie głowę nad przyszłością? Jeszcze nie jest pewnym, że zwyciężę.

— W to nie wątpię, *sidi*. Nazwano cię przecież Ojcem Błysku, musisz okazać się godnym tego imienia.

— Wiesz, że nie zależy to tylko ode mnie. Wystarczy tylko jeden nieuważny ruch i

wszystko potoczy się inaczej niż myślimy. A wtedy pytanie, komu dostanie się Badija, będzie zupełnie bez znaczenia, a przynajmniej będzie takim dla mnie. Ale... spójrz trochę na południe. Czy coś widzisz?

— Tak, ciemną linię!

— Musisz przyrzeć się dokładniej. Ta linia składa się z maleńkich punktów, które się poruszają.

— Tak, teraz widzę! Co to może być?

— To niewątpliwie karawana.

— Ale na Allacha, chyba nie jakaś wrogo nastawiona?

— Trudno powiedzieć Ale ostrożność nie zawadzi w żadnej sytuacji. Podjedźmy bliżej i oglądnijmy ją sobie dokładnie!

Pogalopowaliśmy w kierunku maleńkich punktów. Wkrótce zwiększyły się i mogliśmy już wyraźnie odróżnić rząd wielbłądów kroczących jeden za drugim, a uzda każdego z nich była związana z ogonem jadącego przodem. Na przodzie jechał *szejk el kafilah* - przywódca orszaku.

Rzadko się zdarza, że człowiek ten jest jeźdźcem, zazwyczaj porusza się pieszo. Jego bystre oczy muskają sprawdzająco krąg otaczających go twarzy i śledzą dokładnie najmniejszy ślad w piachu. Dosiada konia lub wielbłąda tylko wtedy, gdy karawana bardzo się spieszy.

Naliczyliśmy z Halefem nie mniej niż sto dwadzieścia sztuk wielbłądów, w większości jucznych. Nie dostrzegłem ani jednego konia. Była to pewna oznaka, że ludzie ci wędrują z bardzo daleka.

Oczywiście zostaliśmy zauważeni. Wiodący karawanę zatrzymał się. Paru jeźdźców odłączyło się z szeregu i pospieszyło w naszą stronę.

Były to długie, szczupłe postacie z ostro zarysowanymi, brodatymi twarzami - prawdziwi synowie palącego słońca.

Gdy przybyli blisko nas, jeździec, który ich prowadził wydał okrzyk zdziwienia, który brzmiał jak głos zjadliwego sępa. Pozostali powtórzyli ten sam dźwięk.

— *Sallam aleikum!* — pozdrowił nas.

— *Aleikum salam* — odpowiedzieliśmy na pozdrowienie.

— Czy jesteście z plemienia Beni Sallah?

— Nie! — odpowiedziałem.

Mężczyzna zdziwił się, powiedział do swych towarzyszy kilka słów półgłosem i już w następnej chwili byliśmy przez nich otoczeni ciasnym kręgiem.

Nie wyglądało to na przyjazne powitanie. Tym bardziej, że gdy pozostali jeźdźcy karawany zauważyli ten ruch, rzuciło się w naszym kierunku jeszcze dwunastu. Wszyscy byli uzbrojeni aż po zęby, podczas gdy my nie posiadaliśmy żadnej broni oprócz noży. Pomimo to zachowaliśmy spokój.

— Czego chcecie od nas? — zapytałem spokojnie przywódcę.

— Jesteście rabusiami — powiedział zaczepnie.

— Z czego to wnioskujecie — odparłem uśmiechając się.

— Czyżbyś chciał zaprzeczyć? Mój pejcz wnet sprawi, że wyduszę z ciebie przyznanie się.

— Zostaw ten pejcz i powiedz nam, dlaczego uważasz nas za złodziei?

— Osiodłaliście kradzione konie.

— Na pewno sam nie wierzysz w to, co mówisz. Nie wiem, czy komukolwiek udało by się ukraść prawdziwą klacz *koheli*.

— Ale te są skradzione. Były własnością Beni Sallah. I im je zwrócimy.

— Nie mamy do tego żadnych zastrzeżeń.

— Co? Nie chcecie się bronić tylko dobrowolnie oddajecie się w nasze ręce?

— Tak. Jesteśmy gośćmi Beni Sallah i chętnie będziemy wam towarzyszyć w dalszej drodze.

Twarz przywódcy wykrzywił grymas. Zrozumiał swoją pomyłkę. Jednak jako prawdziwy Beduin nie zwlekał ani minuty dłużej, aby się do niej nie przyznać.

— *Samihni*, wybacz! Mówicie że nie jesteście Beni Sallah, a jednak jedziecie na ich najlepszych koniach, więc nie gniewajcie się za te oskarżenia.

— Czyżbyście więc znali te zwierzęta tak dobrze?

— Tak, urodziły się i wychowały u nas.

— To z pewnością jakaś pomyłka. Chyba że... czyżbyście należeli do plemienia Beni Abbas?

— Tak. Jesteśmy Beni Abbas i przybywamy w odwiedziny do Beni Sallah. Jest z nami również nasz szejk.

Prowadzący karawanę wskazał przy tych słowach na jednego z wielbłądów, który miał na swoim grzbiecie kosztowną lektykę. Między rozsuniętymi jedwabnymi firankami pojawiła się szacowna twarz o siwej brodzie.

— Co? Czy to możliwe? Ojciec Badii i Hilui? — zawołałem ucieszony.

— Tak, to ojciec Badiji, ale nie jest już ojcem Hiluji.

— Dlaczego.

— Hiluja nie żyje, zamordował ją jeden z Tuaregów. Ale pomścimy jej śmierć.

Dopiero teraz pomyślałem, że Beni Abbas nie mogą jeszcze wiedzieć o tym, że Hiluja została uratowana. Już chciałem powiedzieć mu że Hiluja żyje, ale szybko się zreflektowałem, że być może ten szacowny starzec nie jest na tyle silny, aby znieść bez uszczerbku na zdrowiu tę radosną, ale zbyt niespodzewaną wiadomość. Dlatego też dałem Halefowi znak, aby milczał i powiedziałem do przywódcy karawany:

— Czy pozwolisz nam pozdrowić waszego szejka?

— Do jakiego plemienia należycie?

— Pochodzę z daleka, z kraju zachodzącego słońca. Nie ma tam plemion, a tylko potężne państwa. Mój sługa natomiast wywodzi się z Moghrebów.

— Więc jesteś Anglikiem?

— Nie, jestem Niemcem.

— Niemcem? Nigdy jeszcze nie widziałem żadnego z twoich ziomków, ale słyszałem, że są o wiele lepsi niż Anglicy. Zaraz powiadomię szejka, że chcecie złożyć mu pokłon.

Szejk usłyszał chyba jego słowa, bo głośno zakrzyknął na swojego wielbłąda: *zahari rree, rree*, co było dla zwierzęcia znakiem, że ma przykłęknąć.

Wysiadł ze swej lektyki i oczekiwał nas stojąc. Był to sposób okazania szacunku tak rzadki, że musiał mieć swój powód. Oczywiście i my zeskoczyliśmy ze swoich koni. Szejk był wysokim mężczyzną, budzącym całą swoją postawą szacunek. Spojrzał na nas łagodnym wzrokiem i wyciągnął ku mnie dłoń w geście powitania.

— *Sallam!* Czy jesteś naprawdę Niemcem?

— *Sallam!* Tak.

— To wyśmienicie. Czy znasz Vogla?

Było to pytanie, które wprowadziło mnie w zupełnie uzasadnione osłupienie. Szejk miał z pewnością na myśli znanego badacza i podróżnika po Czarnym Lądzie, Edwarda Vogla. Odważył się on na podróż aż do Kanem, stolicy Królestwa Bornu i w czasie tak uciążliwej i niebezpiecznej w tych czasach konnej wyprawy przez Saharę zaprzyjaźnił się z wieloma plemionami Beduinów. W Wadai, w lutym 1856 roku został pozbawiony życia przez ścięcie głowy na rozkaz fanatycznego sultana.

— Był moim rodakiem. Znam dobrze to nazwisko, ale byłem jeszcze dzieckiem, gdy został zamordowany.

— To był dobry i dzielny człowiek. Opowiadał mi dużo o twoim kraju i narodzie niemieckim. To było już dawno temu, gdy spotkałem go na swej drodze życia, a mimo to nie zapomniałem. Dlatego cieszę się, że oto spotykam jeszcze jednego Niemca.

Opowiedz, jak to się stało, że jesteś tak daleko od swojej ojczyzny tutaj, jako gość Beni Sallah?

— Jestem podróżnikiem. Chcę poznać obyczaje innych ludów, aby móc opowiedzieć o nich w swoim kraju. I tak oto przybyłem też w tę stronę świata.

— Czy poznałeś już Khanum?

— Tak, znam ją. Co prawda przybyliśmy dopiero wczoraj, ale...

— Ale... — szybko przerwał mi szejk. — Musieliście zdobyć jej zaufanie. Inaczej nie zezwoliłaby wam wsiąść na te drogocenne konie. Jest moją córką, moją jedyną córką. Jak się miewa? Czy znajdę ją w dobrym zdrowiu?

— Jest władczynią plemienia i miewa się dobrze. Nazwałeś ją jedyną córką. Ale ona sama opowiadała nam, że ma siostrę.

— Czy mówiła wam o niej?

— Opowiadała o swej siostrze Hilui i o swoim ojcu, ludziach, do których należy całe jej serce.

— Allach zezwolił, aby smutek do dziś nie zagościł w jej sercu. Jeszcze więc nie wie, co się stało. Hiluji nie ma już wśród żyjących. I to ja muszę przynieść jej tę straszną wiadomość.

— Człowiek, który wyjechał nam na spotkanie mówił, że Hi-luja nie żyje. Mówił, że zabili ją Tuaredzy.

— Tak, wybrała się w podróż, aby odwiedzić swoją siostrę. Napadnięto na nią. Wrogowie zabili moje dziecko i wszystkich moich ludzi. Ocalał tylko jeden, któremu udało się ująć z życiem. To on przyniósł mi tę smutną wiadomość. Zaraz wyruszyliśmy, aby ją pomścić. Zgładziliśmy prawie całe plemię Tuaregów, ale nie złagodziło to mojego bólu i smutku.

Stary szejk bardzo się starał, aby zdusić płynące mu do oczu łzy. Udało mu się to w końcu, ale i tak można było w jego twarzy wyczytać głęboki ból.

Dopiero po chwili szejk dodał:

— Jestem już stary i smutek zaciążył na moim życiu. Już niedługo przejdę do krainy swoich przodków. Ale zanim to nastąpi chcę jeszcze, aby moje stare oczy zobaczyły moje dziecko i chcę przycisnąć je do piersi. Potem mogę już spocząć w ziemi, a piach pustyni może przykryć moje ciało. Moja dusza będzie mogła wejść do krainy szczęśliwych i tam powitać

moje drugie dziecko, które spoczywa już na łonie Allacha.

Przepeliło mnie głębokie współczucie dla tego człowieka. Na szczęście byłem w posiadaniu cudownego środka, aby jego ból mógł ustąpić miejsca uczuciu szczęścia. Musiałem go jednak do tego przygotować. Wiedziałem przecież, że obydwie córki wyjadą mu na spotkanie. Widok dziecka, które uznał za zmarłe, mógł być dla niego zabójczy.

— Wygląda na to, że Tuareg, który napadł na twoją córkę, był potwornym człowiekiem, ale mimo to nie mogę wprost uwierzyć, że dzielni wojownicy zabijają kobiety.

— Człowiek, który jako jedyny się uratował, widział na własne oczy, jak jeden z napastników rozplatał mojej córce głowę.

— Dziwię się więc, dlaczego Tuaregowie zostawiają przy życiu inne kobiety. Byłem niedawno w Trypolisie. I tam słyszałem, że napadnięto na karawanę. Jechały w niej dwie kobiety, jedna młoda, druga starsza — prawdopodobnie jej służąca.

Szejk uniósł głowę.

— Hiluja też miała starą służebnicę w czasie podróży.

— Zabito wszystkich z karawany, ale oszczędzono kobiety, jeden z Tuaregów wyruszył do Tarabulus, aby je sprzedać.

— Na Allacha! Córa pustyni sprzedana jako niewolnica. Cóż za pohańbienie!

— Ten niecny zamiar nie doszedł jednak do skutku, bo znalazł się ktoś, kto obydwie kobiety uwolnił. Mówiono, że jedna z nich jest córką szejka.

— Szejka? Co mówisz? — zadziwił się starzec.

— Jechała w odwiedziny do siostry.

— O Allachu! Co słyszę? Była córką szejka i jechała w odwiedziny do siostry. To zupełnie jak o mojej córce. Cóż jeszcze usłyszałeś o tej dziewczynie?

— Słyszałem jeszcze, że ten, który ją uratował, udał się z obydwojma, aby doprowadzić je do celu podróży.

— Czy nie mówiono, gdzie się udali?

— Gdzieś do oazy niedaleko granicy z Egiptem.

— O Allachu! O Mahomecie! I wy wszyscy kalifowie! Szejk był bardzo poruszony. Spojrzałem na niego zatroskany

i dodałem:

— Siostra, do której chciały udać się ocalone, była podobno wdową po szejku.

Wtedy załamał starzec ręce i zachwiał się na nogach.

— Wdowa po szejku? Czyżby... czyżby mówiono o Badii? Ale wtedy i Hiluja byłaby ocalona. Mów dalej! Co było dalej! Co jeszcze usłyszałeś?

— Nie mogę sobie teraz przypomnieć każdego słowa tego opowiadania, ale właśnie wpadło mi do głowy, że imiona tej dziewczyny i jej sługi brzmiały bardzo podobnie.

— Tak było i w przypadku mojej córki — uradował się szejk. — Hiluja i Haluja! Na Allacha! Czyżby moje dziecko żyło? Przypomnij sobie jeszcze coś cudzoziemcze! Co jeszcze usłyszałeś?

Szejk wyciągnął błagalnie w moją stronę ręce, a ja udawałem, że z wysiłkiem sobie coś przypominam.

— Mówiono coś o plemieniu, do którego udawały się obie kobiety. Między jego wojownikami jest podobno jakiś olbrzym. Mówią, że silny jak Sam son.

— Olbrzym? Olbrzym! Czy słyszycie? Powiedz, czy mówiono, jak go zwali?

— Tak, to imię brzmiało Fa - Fa - Fa... nie. nie potrafię sobie przypomnieć.

— Czy może Falehd?

— Falehd? Tak, tak mówiono.

— *Allah U Allah!* Wydaje mi się, że otwarł się *dżennet*, aby obwieścić mi tę nowinę, że Allah zwrócił mi moje dziecko!

— Czy znasz tego olbrzyma, którego zwaą Falehd?

— Czy go znam? To przecież ten, który przybył, aby zażądać ręki mojej córki dla swojego brata. To wszystko pasuje! Zgadza się! Hiluja jest więc uratowana! O Kadisza, ty przyjaciółko i orędowniczko u Proroka! Ty jesteś wspomóżycielką i pośredniczką prośb naszych córek! To ty rozpostarłaś ręce nad moim dzieckiem i ochroniłaś go od śmierci, i niewoli! Uklękajcie teraz wraz ze mną mężowie, przyjaciele i wy moi pobratyńcy krwi, aby podziękować Allahowi za wieść, którą przesłał mi On ustami tego cudzoziemca!

I uklęknął, a wraz z nim cała karawana, która poszła za jego przykładem.

Stary szejk klęcząc, napełnił obie garście piaskiem i pozwolił mu przecieknąć między palcami. Przypominało to obrządek mycia się. Potem zaczął się modlić słowami, które były tytułami poszczególnych rozdziałów Koranu:

— W imię Boga najmiłosierniejszego.

— W imię Boga najmiłosierniejszego — powtórzyła w chórze jego świta, czyniąc ten sam ruch obmywania się w piasku.

— Dziękujcie Allahowi, gdyż oto doznaliśmy takiego aktu miłosierdzia. On jest

miłosierdziem!

— On jest miłosierdziem!

— Ratunkiem!

— Ratunkiem!

— Wybawcą i wyzwolicielem!

— Wybawcą i wyzwolicielem! Szejk modlił się stokrotnie powtarzając imię Allacha a Beduini

powtarzali jego słowa w skupieniu. Również Halef przyłączył się do nich i zatopił się w modłach.

Było to dla mnie wstrząsające przeżycie: ci dzicy, spaleni przez słońce ludzie, klęczący na pustynnym pustkowiu i modlący się imieniem Boga.

— To ty rządysz ziemią i niebem. Żaden śmiertelnik nie może cię zobaczyć, nie może cię też pojąć. Ale jesteś pełen łaski, miłości i miłosierdzia. Wszystko, co czynisz, jest dobrem. Niech będą ci dzięki i chwała na wieki. *Allah UAllah we Mohammed rassuhl Allah* \ Bóg jest Bogiem a Mahomet jest jego Prorokiem!

Tymi słowy skończono modlitwę. Mężczyźni podnieśli się z kolan. A wtedy shejk podszedł ku mnie i powiedział:

— W modlitwie znalazłem spokój, siłę i opamiętanie. Możesz mi wszystko powiedzieć. Wiesz o wiele więcej, niż mi powiedziałaś, nieprawdaż?

— Tak, przyznaję, że wiem wszystko. Hiluja została uratowana i już dotarła do Beni Sallah.

W tym momencie starzec rozplakał się jak dziecko. Upadł przede mną na kolana i podniósł ku górze splecione dłonie.

— Powinno się klękać tylko przed Allachem! Jeszcze nigdy nie ugiąłem swoich kolan przed żadnym człowiekiem, ale czynię to przed tobą, bo jesteś posłańcem Allacha, który uwolnił me serce od śmiertelnośnego smutku. Nie wolno mi było płakać z żalości, ale płaczu płynącego z radości - tego nie musi się wstydzić najbardziej waleczny. Spójrz na moje łzy! Oby w dniu twojej śmierci pokapały w dół, aby obmyć twą duszę, abyś mógł wejść do krainy szczęśliwości!

Starzec leżał już prawie na ziemi, schyliłem się, aby pomóc mu się podnieść, ale wtedy wciągnął głęboko powietrze i wstał o własnych siłach. Otarł sobie oczy krawędziem swojego burnusa i zwrócił się do swoich wojowników:

— W duszy waszego szejka i całego rodu zagościła wielka radość. Niech będzie ten dzień błogosławionym i niech nie pójdzie w zapomnienie. Podajcie mi broń i weźcie też swoją do rąk!

Beduinom nie trzeba było powtarzać tych słów dwa razy. Żaden Ben Arab nie pozwoli przejść sobie koło nosa okazji, aby wystrzelać w powietrze trochę prochu. Ustawili się więc w okręgu trzymając w dłoniach swoje długie strzelby o krzywych kolbach. Szejk, Halef i ja ustawieni byliśmy pośrodku.

— Allach zmiłował się nad nami widząc naszą żalność! Niech będzie mu chwała i dziękczynienie! *Allah hu - hu - hu l* — zakrzyknął szejk.

— *Allah hu - hu - hu* — zawrzeszczeli radośnie pozostali, a przy tym oddawali ze swoich strzelb strzały i podrygiwali w dzikich rytualnych ruchach. W podskokach też ładowano broń na nowo, a na skiniecie ręką przywódcy wszyscy zatrzymali się.

— Ci dwaj obcy nam ludzie pojawili się jako posłańcy pociechy i wysłuchania naszych modłów. Niech Allach obdarzy ich tysiącem łask a na końcu ich drogi pozwoli im wejść do *dżennetu*. *Allah hu - hu-hu*

— *Allah hu -hu - hu*

Taniec i ładowanie flint powtórzono, aż szejk zawołał ponownie:

— Hilui, mojemu dziecku objawił się dzielny człowiek, wybawiciel córki dzielnych Beni Abbas. Niech czyn ten przyniesie mu sławę, niech jego imię będzie powtarzane, a o jego czynach niech opowiadają przy ogniskach wyznawcy Proroka. *Allah hu -hu- hu*

— *Allah hu - hu - hu*

Był to dziki i trzymający w napięciu obrzęd. To ci sami ludzie, którzy jeszcze przed chwilą w głębokim skupieniu modlili się z twarzami zwróconymi ku Mekce, tańczyli teraz wokół siebie. Ich krzyki rozbrzmiewały na równinie, ich strzały hałasowały a szaty ich rozwiewał wiatr. Nawet wielbłądy, które zaraziła radość ich panów, wydawały swoje paskudne, skrzeczące dźwięki.

Piach wzbijał się wysoko pod stopami tańczących. Wyglądało to tak, jak gdyby banda duchów prosto z piekła zebrała się na pustyni, aby równać się ze złymi dżinami piasku.

Nawet stary szejk tańczył i wykrzykiwał. W końcu dał znać ręką i wokół zapanowała głęboka cisza.

— Zapomnieliśmy o czymś bardzo ważnym — zwrócił się szejk do mnie. — Oddaliśmy co prawda strzały na cześć wybawiciela mojej córki, ale nie usłyszeliśmy jeszcze jego imienia.

Czy go znasz?

Zauważyłem, że Halef już chce wybuchnąć jak wypełniona wiadomościami bomba, więc szybko odrzekłem:

— Nosi obce imię, nie da się tego ani zapamiętać, ani wymówić. Powiedzą ci je twoje córki.

— Czy wybawca zaprowadził Hiluję do Beni Sallah?

— Tak, towarzyszył jej.

— Czy może spotkamy go tam jeszcze?

— Zobaczysz go jeszcze dziś i będziesz mógł z nim rozmawiać.

— Więc się pospieszmy, jedźmy już do obozu! Osiodłajcie wielbłądy! Niech pokażą, jak potrafią być szybkie!

— Stój, zatrzymaj się jeszcze chwilę! Twoje córki nic nie wiedzą o twojej wyprawie. Czy nie chciałbyś najpierw przesłać im wiadomości?

— Chyba masz rację. Poślę przodem jednego ze swoich ludzi.

— Pozwól nam przynieść tę radosną wieść. Wasze zwierzęta są już zmęczone długą wędrówką a nasze konie są świeże.

— Dobrze, więc jedź przodem! Ale swojego sługę musisz zostawić u mego boku, abym mógł z nim rozmawiać o swojej odnalezionej córce.

Nie miałem nic przeciw temu, tym bardziej, że wiedziałem, jak wielką przysługę wyświadczam tym Halefowi. Byłem pewien, że od razu po moim odjeździe otworzy wszystkie tamy swojej mówiącej rzeki i opowie szejkowi nie tylko o czynach już przez nas dokonanych, ale również i przyszłych. Czytelnik zna doskonale tę słabą stronę Halefa.

— Halefie, zachowaj się z szacunkiem — upomniałem go jeszcze.

Później wskoczyłem na koń. Lekkie klepięcie w zad i koń już unosił się nad równiną prawie nie dotykając podłoża.

Był to dla mnie miły obowiązek dostarczenia tak wspaniałej wiadomości siostrom. Mimo to po pewnym czasie przystopowałem pęd konia. I tak przybyłem wystarczająco wcześnie.

* * *

Potrzebowałem na drogę powrotną prawie tyle samo czasu, co na jazdę ku karawanie. Gdy przybyłem już w pobliże ruiny, zauważyłem troje ludzi stojących u jej szczytu. Byli to, jak stopniowo mogłem odróżnić - obydwie siostry i Tarik. Już wkrótce byłem na schodach, zeskoczyłem z siodła i rzuciłem cugle jednemu ze stojących obok Beduinów. Później

pospieszyłem w górę schodów.

— Czy przynosisz złą wieść? — zapytał Tarik już z daleka.

— Nie, wręcz przeciwnie.

— Niech będą dzięki Allahowi! Chodź więc szybko. Wreszcie wdrapałem się na górę.

— A gdzie twój sługa?

— Został trochę w tyle. Ale wkrótce się tu zjawi. Spieszno mi, aby wam zameldować, że musicie przygotować się na przyjęcie gości.

— I to właśnie dziś — odrzekł zasmucony Tarik. — Trudno powiedzieć, że jesteśmy uradowani.

— Ależ tak! Przyjmiecie ich z radością.

— Kto ma przybyć? Powiedz!

— Zobaczyliśmy w oddali karawanę i wyjechaliśmy jej naprzeciw. Gdy byliśmy już tak blisko, że można nas było rozpoznać, nagle od karawany oddzieliła się masa jeźdźców, aby nas schwytać. Chcieli nam odebrać konie, bo uznali nas za koniokradów.

— Ach! Rozpoznali więc klacze i sądzili, że je ukradliście!

— Tak, powiedzieli, że te zwierzęta urodziły się i wyrosły u nich.

Wtedy zabrzmiał radosny okrzyk Khanum.

— Więc byli to Beni Abbas? — zapytała żwawo.

— Tak.

— *HamdulillaM* Posłańcy od naszego ojca! Tak, masz rację, że powitamy ich z otwartymi ramionami! Czy są jeszcze daleko stąd!

— Nie, nie jadą zbyt daleko za mną. Spójrzcie tam, na widnokręgu widać błyszczący punkt. To promień słońca odbity od ich białych płaszczy. Zbliżają się! Wasz ojciec dostał wiadomość, że Hiluję zamordowano. Pomścił więc jej domniemaną śmierć a teraz...

— Teraz przesyła mi posłów z wiadomością o śmierci mojej siostry?

— Tak bardzo tęsknił, a jego jedynym pragnieniem było zobaczyć swoje jedyne dziecko, które pozostało przy życiu, że...

— Że, ...mówdalej!

Obie siostry uchwyciły się mojego ramienia. Patrzyłem na ich zarumienione z zachwytu twarze, skinąłem głową i dokończyłem:

— że przybył osobiście!

— Wspaniale! Wspaniale! — zawołała Khanum, puściła moje ramię, podwinęła swoje

szaty i szybko zaczęła schodzić w dół stromego podejścia.

— *Allahl Ja suruhr*, na Allacha, cóż za radość! — zawołała Hiluja i szybko jak wiatr podążyła za swoją siostrą.

— *Kawahml Kawahml Elfantasia!* Szybko! Szybko! Fantazja! Przybywają goście! Ojciec Khanum zbliża się z orszakiem Beni Abbas!

Usłyszałem jeszcze te słowa, a potem zobaczyłem, jak Khanum już u podnóża schodów wyrwała cugle z rąk Beduina, który trzymał moją klacz i wskoczyła na koń. Tuż za nią na grzbiecie zwierzęcia usadowiła się Hiluja.

Jak na prawdziwe córki pustyni przystało, jazda na koniu była dla nich żywiołem. Klacz uniosła je w galopującej prędkości drogą wśród namiotów. Mogłem sobie łatwo wyobrazić, co stanie się dalej. Żaden z Beduinów, który tylko posiadał konia lub wielbłąda nie miał zamiaru czekać na gości w obozie. Wypowiedziano przecież słowo *fantasia*, żaden Ben Arab nie pozostawi tego słowa bez odpowiedzi.

Fantasia to właśnie strzelanie na wiwat lub zawody konne, które zachowane są na szczególnie uroczyste okazje. Zazwyczaj przy pozdrowieniu szczególnie honorowych gości wszyscy wojownicy danego plemienia wyjeżdżają nowo przybyłym na spotkanie wśród dzikiego wrzasku. Później otaczają witanych, kierują ku nim swoje strzelby, rzucają oszczepy i noże. Zachowują się tak, jak gdyby goście uznawani byli za wrogów i udają, że nie chcą pozwolić wejść im na swoją ziemię.

Wygląda to bardzo niebezpiecznie, a kto nie zna zwyczajów panujących w tym kraju i wśród Beduinów może wziąć tego rodzaju fantazję na serio i popełnić błąd, który kosztuje go życie.

Oczywiście, o takiej pomyłce nie mogło być mowy wśród Beni Abbas. Wiedzieli bowiem doskonale, że jeźdźcy, którzy wyjechali im naprzeciw, przybywają jako przyjaciele. Dlatego odpowiedzieli na okrzyki równie głośnymi wrzaskami. Celując w nadjeżdżających oddawali strzały w powietrze, wdawali się w te udawane pojedynki, jak gdyby chcieli pokonać Beni Sallah.

Słyszając ten pogański wrzask, można by pomyśleć, że rzeczywiście chodzi tu o życie lub śmierć.

Przyglądałem się z uśmiechem temu rojowi pszczoł, który obserwowałem z góry. Później zszedłem w dół z Tarikiem i kazałem przyprowadzić sobie *džemmela*, aby też dołączyć do pozostałych. Nie musiałem jechać zbyt daleko.

Spotkanie Beni Sallah z Beni Abbas, których wielbłądy musiały zużyć resztkę swoich

nadszarpniętych podróżą sił do dzikiego biegu fantazji, nastąpiło tuż koło obozu, na pastwiskach.

Gdy dołączyłem do grupy, która otaczała szejka Beni Abbas i jego córki, było już po pierwszym powitaniu. Zarówno ojciec jak i córki wciąż dawali wyraz radości serca z tak nieoczekiwanego spotkania.

Trochę z boku stał Falehd. Nie patrzył zbyt przyjaznym okiem na rozradowanych. Dla Goliata nie przybył szejek ze swoimi ludźmi w zbyt odpowiednim momencie, chociaż miał zostać mężem i władcą Khanum.

Falehd przecisnął się przez tłum Beduinów, wśród których zauważyłem też Halefa i podszedł do szejka.

— *Habakek, ia szejkl* Bądź pozdrowiony szejku! — powiedział i wyciągnął rękę w geście powitania.

Szejk odpowiedział na pozdrowienie tym samym ruchem dłoni.

— Czy wyruszasz dalej, czy chcesz się u nas zatrzymać? Ojciec Badiji był więcej niż zaskoczony tym tak nieoczekiwanym pytaniem.

Spojrzał na Khanum, a widząc jej zarumienioną z gniewu twarz, odrzekł:

— Wyruszyć dalej? Jak sądzisz, gdzie jest cel mojej tak dalekiej drogi?

— To Allach jest wszystkowiedzący, nie ja!

— Nawet gdybym chciał jechać dalej, czyż nie rwałoby się moje serce, aby pozdrowić moje dzieci?

— Zobaczyłeś je tutaj.

To było nie tylko bezwzględne, to naruszało wszelkie prawa gościnności. Zdawało się, że Falehd chce powiedzieć szejkowi: *Zobaczyłeś już swoje córki, a teraz odejść!*

Szejk podświadomie zmarszczył gniewnie czoło, gdy odpowiadał:

— Nie jechałem tak długo przez pustynię, aby spotkać się ze swoimi córkami tylko przez moment i rozmawiać z nimi tu, przed obozem. Czyżby Beni Sallah nie mieli namiotu dla ojca Khanum?

— Wszystkie namioty stoją dla ciebie otworem — powiedziała Badija. — Nie słuchaj jego słów, zamieszkał w nim zły duch. Sądzi, że jest tu władcą, a nie jest więcej wart od innych. Chodź ojcze!

Orszak ruszył w kierunku obozu. Halef i ja też dołączyliśmy do niego.

Zauważyłem wyraźnie, jak Falehd i grupka Beduinów, zapewne jego zwolenników

utworzyła osobny orszak jadący ciasno obok siebie. Właśnie gdy moja klacz - zamieniłem z Halefem swojego wielbłąda na konia - przejeżdżała obok nich usłyszałem, jak mówił do jednego z Beni Sallah tak głośno, że jego zamiarem było, abym usłyszał jego słowa:

— Przyjdzie czas, gdy cały ród, a zwłaszcza ten frankoński pies, dowie się, kto tu jest panem!

Od razu zatrzymałem swojego konia i ześlizgnąłem się z siodła trzymając w ręku rewolwer.

— Zelżyłeś mnie słowem „pies”. Kogo miałeś na myśli? Mówiąc to skierowałem lufę swojej broni w jego kierunku.

Olbrzym milczał, bo dla Beduina nie ma większej obelgi, jak nazwanie kogoś psem.

Jeżeli ktoś zostanie w ten sposób obrażony, to ma prawo zabić przeciwnika i nie musi obawiać się zemsty krwi. Falehd od razu zrozumiał, że pomimo swojej siły fizycznej nie pokona mnie. Wiedział, że jeżeli odpowiedziałby zgodnie z prawdą na moje pytanie, mogłem od razu pociągnąć za spust. Ale cała jego duma buntowała się, aby w tchórzliwy sposób skłamać.

— A więc, kogo miałeś na myśli? — powtórzyłem groźnie.

— Czy coś cię to obchodzi? — odpowiedział wymijająco.

— Tak, bo miałeś na myśli mnie. Ja jestem tu jedynym Frankiem, więc słowo „pies” odnosiło się do mnie. Nie będę dłużej czekał! Odpowiedz, czy miałeś na myśli mnie?

A gdy zapytany wciąż zwlekał z odpowiedzią, dodałem:

— Jeżeli nie uzyskam odpowiedzi, to uznam, że miałeś na myśli mnie. Czy to prawda? Raz - dwa - ...

— *Wakkif*, stój! Nie, nie ciebie — wydusił olbrzym zionącym złością głosem.

— To mi wystarczy. Wszyscy to usłyszeli. A poza tym było to dla mnie nie lada przyjemnością zobaczyć, jak przysły szejk Beni Sallah szybko zmienia swoje zdanie, widząc skierowaną na siebie broń. Niech Allah zostanie z tobą!

Zatknałem broń za pas i wskoczyłem na swojego konia. Skierowaliśmy się z Halefem w stronę obozu.

— Aż gotuje się ze złości — zaśmiał się Halef i spojrzał na mnie z góry ze swojego wielbłąda.

— Skłamał ze strachu, on, najsilniejszy z całego plemienia! Stracił więc swą twarz.

— Tak, stracił swój honor. Jeszcze dzisiaj wszystkie kobiety i dzieci będą wiedzieć o tym,

że Falehd skłamał, bo przeraził się obcokrajowca. Allah go opuścił.

Wkrótce dotarliśmy do obozu i skierowaliśmy nasze zwierzęta na pastwiska, gdzie oddaliśmy je pod opiekę strażników. Później skierowaliśmy się ku obozowi. W *dnarze* panowało radosne ożywienie. Beni Sallah zebrali się w małych grupkach z nowo przybyłymi gośćmi. Niektórzy znali się już od dawna, z okresu, gdy byli w poselstwie mającym na celu uzyskanie ręki córki szejka dla swojego władcy. Posypały się opowieści i wyjaśnienia.

Równie zapracowane były kobiety zatrudnione przy obsłudze gości.

Spędzono przed obóz jagnięta, aby zabić je według dokładnie ustalonego rytuału. Te przygotowania do uroczystości były nieodzowne. Kto bowiem zabija zwierzę nie dotrzymując reguł czystości, zgodnie z wiarą mahometańską jest zbrukany. Przez określony czas nie może stykać się z pozostałymi, aby nie zarazić ich swoją nieczystością i musi przebywać w samotności.

Wkrótce zapłonęło kilka ognisk, nad którymi obracała się pieczeń, a wiele postaci kręciło się wokół nich. Natomiast w górze, na ruinie panował całkowity spokój, który stał w straszliwej sprzeczności z ożywieniem u jej stóp. Khanum z ojcem i siostrą usunęli się w jakieś zaciszne miejsce, aby opowiedzieć sobie o wszystkim.

Tarik i Hilal byli również wśród gości, ale nie mogliśmy ich dostrzec. Nawet strażnicy opuściły swoje posterunki i wmieszały się w tłum.

Do naszego „pokoju” podano obfite śniadanie, które nam po porannej przejażdżce bardzo smakowało.

Później poszukaliśmy cienistego miejsca z tyłu murów ruiny, skąd leniwie mogliśmy oglądać ożywioną krzątanicę w *duarze*.

* * *

Z wyżyn bezchmurnego nieba słońce lało swój żar pionowo na morze piasku Pustyni Libijskiej. Uliczki *duaru* Beni Sallah wyludniły się. Zarówno ludzie, jak i zwierzęta, zaszyli się gdzieś w cieniu ruin pałacu zbudowanego jeszcze przez Rumis, Rzymian, lub spędzali tę najgorętszą część dnia w swoich prostokątnych namiotach, gdzie spali lub drzemali.

Również Halef i ja oddawaliśmy się tej czynności, która właściwie nie jest zajęciem, a nazywana jest przez Turka - *kef*. przez Włocha - *dolce farniente*, a przez prawdziwych Niemców za to -lenistwem.

Ospale mijał czas między czuwaniem i marzeniami sennymi i kto wie, jak długo leżelibyśmy jeszcze wtak błogim nieróbstwie, gdyby nie nadejście szejka Beni Abbas. Zauważył nas od razu i podszedł do nas.

Obrzucił mnie długim, wyrażającym podziw spojrzeniem *i* zapytał w końcu:

— Cóż z ciebie za człowiek?

— Taki sam, jak ty i wszyscy inni — odpowiedziałem z uśmiechem, podnosząc się jednocześnie ze swojej leniwej pozycji. Usiadł na wprost nas.

— Nie, nie jak każdy inny. Jesteś ulubieńcem Allacha, któremu podarował On swoje najdroższe talenty. Obdarował cię nawet darem milczenia o swoich zasługach, ale mnie mogłeś przecież powiedzieć wszystko.

— I tak uczyniłem.

— Niezupełnie. Dlaczego przemilczałeś to, że to ty jesteś wybawcą Hiłui?

— Bo wiedziałem, że dowiesz się o tym od innych.

— Chciałeś uniknąć moich podziękowań? Twój sługa i moja córka opowiedzieli mi wszystko. Położyłeś na szalę swoje życie aby ratować jej. A potem przywiodłeś je aż tutaj nie bacząc na trudy podróży.

— Mylisz się — przerwałem mu. — Zamierzałem udać się do Egiptu i nimiało to dla mnie większego znaczenia, czy podróżowałem tą czy inną drogą.

— Niepotrafi to w niczym pomniejszyć wielkości twoich zasług. Jak mam wyrazić ci swą wdzięczność?

— Podziękuj mi nie mówiąc o tym więcej.

— Teg nie mogę uczynić! Nie możesz żądać, abym został twoim dłużnikiem i na dodatek nawet nie przyznawał się do tego. Rozpowierito wszystkim i będę rozślawiał twoje imię, jak długo mój głos rrra to pozwoli.

— Ale to nie przyniesie mi żadnej korzyści — śmiałem się dalej. — krotce opuszczę te tereny i prawdopodobnie nigdy tu nie wrócę.

— Opuścisz? — zapytał szejk. — Sądziłem, że chcesz tu na zawsze postać wśród Beni Sallah.

— *Ma jimkinsch*, to nie jest możliwe.

— Ale Badija powiedziała mi, że chcesz się o nią pojedynkować.

— Temu nie przeczę.

— Więc zostaniesz szejkiem tego rodu.

— Odstpię ten zaszczyt komuś innemu.

— *Ma jimkinsch*, to niemożliwe. Zarówno o tę godność jak i kobietę musiałby ktoś z tobą wywalczyć. A może masz już żonę?

— Nie.

— Czy Badija nie jest dla ciebie wystarczająco piękna?

— Jest najpiękniejszą z pięknych.

— A może za biedna?

— Nie wiem, co posiada. Ale właśnie przez to co posiada stała się biedną.

— *Maschallah!* Badija biedna! Jak mam to rozumieć?

— Jej serce jest pełne wspaniałych przymiotów, ale dla mnie jest biedne. Nie ma w nim miejsca na miłość dla mnie.

— Kocha cię, widziałem to po sposobie, jak o tobie mówiła.

— Kocha mnie jako wybawcę swej siostry i jako swojego przyjaciela, ale to nie jest ta miłość, którą kobieta ma kochać mężczyznę.

— Ach, co za gadanina! Kobieta ma być posłuszną. Miłość przyjdzie sama, gdy *kadi* i *mullah* połączą ich w parę.

— Nie, to nie jest prawda! Czyż zarówno *kadi* jak i *mullah* nie połączyli Badii z mężczyzną, który zmarł?

— Tak.

— A mimo to nie potrafiła go kochać. Nie chcę mieć takiej kobiety.

— Ale czy Badija nie mogłaby ofiarować ci swojego serca?

— Ona go już nie ma.

— *Allah il Allah!* Wy tłumacz mi to!

— Obdarzyła swą miłością kogoś innego. *

— *Allah akbar!* Kogo?

— Czyż nie mówiła ci o tym?

— Nie!

— Więc ja też nie mogę ci tego wyjawiać.

— Dlaczego?

— Bo to jest jej tajemnica.

— Czy go znasz?

— Tak.

— Kim jest ten człowiek?

— Właśnie ci wyjaśniłem, że nie mogę ci tego powiedzieć. Ale chodź tu, usiądź obok mnie.

Chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać.

Szejk podążył za moim wezwaniem, żądny usłyszeć coś więcej.

— Dlaczego oddałeś rękę swojej córki szejkowi Beni Sallah? Przecież go nie kochała.

— Nie kochała też żadnego innego, więc chętnie wypełniła moją wolę.

— Była ci więc posłuszna!

— Tak. Jako wódz sławnego rodu muszę zastanawiać się nad innymi rzeczami niż nad humorami dziewczęcia. Czy może wiesz, co to jest *muameleti duweli aszual*

— Tak — odrzekłem z uśmiechem.

— Czy w Niemczech też to obowiązuje?

— Tak, nazwano to dyplomacją.

— Właśnie takim dyplomatą jestem. Szejk powiedział to w tonie dumy.

— No cóż! Wypada mi tylko życzyć szczęścia.

— Dziękuję! Szejk musi być wciąż dyplomatą. Wielcy królowie i sultani oddają rękę swych córek tym władcom, od których spodziewają się korzyści. Czynię tak i ja. Bardzo zależało mi na przyjaźni z Beni Sallah, oddałem więc Badiję szejkowi za żonę.

— Czy co do drugiej córki masz identycznie dyplomatyczne plany?

— Tak, to moja powinność.

— Wydasz ją więc za mąż za któregoś z szejków?

— Tak, chcę zawrzeć przymierze z Meszeerami, zamieszkałymi na południu Tunezji. Szejk tego rodu jest już bardzo stary, nie będzie się więcej razy żenił, ale ma syna, który zostanie mężem Hilui.

— Czy powiedziałaś jej już o tym?

— A to po co? Będzie mi musiała być posłuszną jak jej siostra.

— Badija była posłuszna, bo jej serce było wolne.

— Czyżbyś chciał powiedzieć, że Hiluja podarowała już komuś swoje?

— Chcę tylko wiedzieć, jak brzmiałaby twoja decyzja, gdyby tak było.

— Nie mógłbym się tym kierować — odpowiedział zdecydowanie. — Byłoby mi jej żal, ale kobiety mają inne dusze niż mężczyźni. Jeszcze dziś są w kimś zakochane, a jeżeli jutro spodoba się im ktoś inny, to chętnie zakochują się znowu, bo podoba im się każdy, kogo chcą kochać.

— Jesteś wielkim znawcą ludzi!

— Tak, jestem nim — skłonił twierdząco głową. — Żyję wystarczająco długo. Obserwowałem wiele setek kobiet. To biedne, dobroduszne stworzenia. Dlaczegoż miałyby być inne? Jeżeli są piękne - hołubi się je, jeżeli są brzydkie - współczuje się im, a obydwie te uczucia - podziw i współczucie, to miód dla serca. Są więc już szczęśliwe, gdy mogą być albo piękne albo brzydkie. A w swoim uczuciu szczęścia podobają się mężczyznom. Każdy ma przecież swoją dobrą stronę. Mężczyźnie wystarczy, aby ją pokazał kobiecie, a ona już żywi ku niemu gorące uczucie i chce zostać jego żoną.

— Więc twoje obserwacje doprowadziły cię do bardzo zadawalającego wyniku — powiedziałem poważnie.

— Ach! Każdy, kto ma oczy i uszy otwarte na świat, wyrobiłby sobie taki pogląd.

— Być może tutaj, u was.

— Czy kobiety i dziewczęta w twojej ojczyźnie są inne?

— Na to wygląda. Jeżeli u nas dziewczyna ofiaruje swoje serce, to nie kocha już żadnego innego mężczyzny.

— To niedorzeczne! Ten inny jest przecież też mężczyzną!

— Ale nie mężczyzną, który mógłby przypaść jej do gustu.

— Więc ma wypaczony gust i ojciec nie powinien się tym kierować. Gdybym miał tu przez pewien czas parę waszych kobiet, zaraz nauczyłbym je, co znaczy dobry gust.

— W to nie wątpię!

— Jeżeli wasze dziewczęta są tak wymagające, że wychodzą za mąż tylko za mężczyznę, którego sobie wybiorą, to przecież ten, który na swoje nieszczęście nie ma zbyt wielu przymiotów, nie może się w ogóle ożenić!

— Tylko na pozór, w rzeczywistości wygląda to różnie. Czasami się zdarza, że ten, który nie jest wart funta kłaków, zdobywa najlepszą z kobiet.

— *Allah akbań* Czyni niemożliwe możliwym.

— Ale zdarza się też, że bardzo zła kobieta wybierze bardzo dobrego męża.

— To świat przewrócony do góry nogami! Czyżby naprawdę były w twoim kraju złe kobiety?

— Tak, zdarzają się.

— Przyślijcie je tutaj! Wyleczymy je w mgnieniu oka!

— Czym?

— Najpierw nie dostaną żadnej strawy prócz pustynnej roślinności i zakopimy je aż po

szyję w piach. To, wypędzi wszystkie złe cechy z ich ciała. Później już wyleczone możemy wam odesłać z powrotem.

— Wyśmienicie. Powinniśmy zawrzeć z wami układ i przesyłać nasze złe kobiety do was na leczenie. Czy nie masz już córki, którą mógłbyś ożenić z naszym cesarzem w celu zapieczętowania układu?

— Nie — odrzekł poważnie szejk. — Ale mam syna, który poślubiłby córkę pady szacha, jeżeli zgodzilibyśmy się co do ceny, którą powinien zapłacić w wielbłądach i burnusach.

— A może ożeniłbyś pady szacha z Hilują?

— Nie, będzie żoną szejka Beni Meszeer.

— Czyżbyś już omówił z nim tę transakcję?

— Omówiłem i zawarłem. Hiluja miała odwiedzić swoją siostrę, a po jej powrocie chcieliśmy świętować jej zaręczyny.

— *Ojazik*, to straszne.

— Skąd twoje skargi?

— Może byłoby lepiej, gdyby zamordował ją Tuareg. Będzie z pewnością bardzo nieszczęśliwa.

— Nie sądzę. Syn szejka Meszeerów jest bardzo dzielnym człowiekiem. Wnet go pokocha.

— Ten, którego już kocha, jest równie dzielny.

— Czy ten ktoś jest szejkiem?

— Nie.

— Ale czy jest chociaż bogaty?

— Bardzo biedny.

— Więc nie może nawet myśleć o tym, aby zostać moim *sahr*, zięciem!

— Ale oni się kochają!

— Już wkrótce nie będą chcieli nawet o sobie słyszeć. Miłość jest możliwa tylko w małżeństwie. Czyżbyś miał na myśli Hilalę?

— Więc jednak mówiła ci o nim?

— Tak, czy jego masz na myśli?

— Zdradzę ci ten sekret, to on!

— Bardzo mi przykro. Być może jest dzielnym wojownikiem.

Ale to wszystko. Musi więc wybić sobie tę miłość z głowy. Jest bardzo biedny.

— Zastanów się. Jego brat Tarik też jest biedny i nie pochodzi ze sławnego rodu.

— Dlaczego przyszedł ci do głowy Tarik? Nie ma przecież z tym wszystkim nic wspólnego.

— Ma, i to dużo. On również zgłosił się do pojedynku. Pomyśl, co stałoby się, gdybym został pokonany a Tarik pokonałby olbrzyma; wtedy Badija zostałaby jego żoną.

— Tak, to prawda.

— I nie jesteś temu przeciwny?

— *Musz hage, ależ skąd!* Będzie wtedy szejkiem. Sam rozumiesz tę olbrzymią różnicę...

W tym właśnie momencie rozległy się trzy przeciągłe dźwięki i rozlały się nad *ductrem*. *Muezin* wyszedł właśnie nad ruinę i usłyszeliśmy jego obwieszczający głos:

— *Bismillcith errachmahn errachihml* W imieniu Boga najmiłosierniejszego z miłosiernych! Spójrzcie ku słońcu, prawowierni! Właśnie słońce osiągnęło zenit. Spójrzcie ku swoim stopom! Wasz cień jest tylko pomniejszeniem waszej postaci. Za chwilę rozpocznie się walka! Zbierzcie się więc na wyznaczonym miejscu i chwalcie Allacha, który dał mężczyznom siłę do walki i zwycięstwa! *Allah UAllah we MohammedrassuhlAllah*

Byłem zdziwiony, że czas przeminął tak szybko. Podniosłem się i powiedziałem:

— Niestety, musimy zakończyć naszą rozmowę. Chętnie porozmawiałbym z tobą dłużej na ten temat.

— Jesteś więc przyjacielem Hilala?

— Jestem nim i cieszyłbym się, gdybym mógł go widzieć szczęśliwym.

- Więc niech pojedzie ze mną. W naszym duarze jest wiele pięknych dziewcząt i może wybrać sobie wśród nich swoją przyszłą żonę, a żaden ojciec nie odmówi mu jej ręki. Osobiście zatroszczę się o to.

— On nie chce żadnej innej.

— Hilui nie może dostać. Wyjaśniłem ci już dlaczego. Teraz nadszedł czas, abyś wyjawiał nam swoją ostatnią wolę. Jeżeli zginiesz z ręki olbrzyma, musimy znać twoje ostatnie życzenia.

— Mój sługa zna je wszystkie.

— Lecz jeżeli zwyciężysz, znajdziesz się w bardzo wstydlwym położeniu: dostaniesz Badiję, lecz nie będziesz jej chciał. Nic mam pojęcia, jak to się wszystko skończy!

— Wiem jak z tego wybrnę. Nie dręcz się tym więcej. Teraz już najwyższy czas się pożegnać. Oto zbliża się Khanum i udaje się na miejsce pojedynku. Twoje miejsce jest teraz przy niej.

f

Pojedynek

Podczas mojej rozmowy z szejkiem zauważyłem bez trudu, że HaJef nie *zgodzał* się z moimi wywodami. Kilka razy oburzał się i wciąż miał ochotę wtrącić się do pogawędki. Aż dziw bierze, że utrzymał się jednak w ryzach, które wyznaczyła mu funkcja mojego służącego. Ale gdy tylko szejk się oddalił, nie czuł się już niczym skrepowany i zaczął robić mi wyrzuty co do mojego zachowania.

— Sidi, nie mogę pojąć, jak można tak deptać szczęście butami — powiedział ze złością, — Czyż nie widzisz, jak ten stary Beni Abbas oszalał na twoim punkcie i nic nie ucieszyłoby go bardziej niż to, że zostałbyś jego zięciem. Ale ty odpowiadasz mu, że Tarik i Hiłal wpatrują się namiętnie w jego córki. Jeszcze nigdy nie spotkałem człowieka, który byłby tak niemądry i rezygnował z niewątpliwych zaszczytów. Mogę cię tylko żałować i modlić się o oświecenie twojego umysłu. Ale z pewnością jest to wynik tego, że jesteś chrześcijaninem, a nie wyznawcą Proroka.

Wciąż jeszcze mrucał coś do siebie, aż nakazałem mu milczenie.

Cały ród Beni Sałlah znajdował się w stanie wielkiego wzburzenia. Oto miało się rozstrzygnąć, kto zostanie ich szejkiem. Do walki zgłosił się nieznany nikomu cudzoziemiec. Niesamowita siła Falehda była wszystkim znana. Z pewnością tylko niewielu miało wątpliwości, kto zostanie zwycięzcą.

Leniwa cisza w południe zaczęła przeradzać się w zgiełk. Ze wszystkich stron nadchodzili ludzie i pospiesznie szli w kierunku miejsca pojedynku, hałasując przy tym i żywo gestykulując. Nadpływali jak rzeka - mężczyźni i kobiety, młodzieńcy i dziewczęta. Z widowiska wyłączono tylko dzieci.

Ring wytyczono przed obozem wbitymi w ziemię oszczepami. Gdy dotarłem tam w towarzystwie Halefa, był on już otoczony zbitym tłumem widzów. Pierwszy krąg stanowili mężczyźni i kobiety, tuż za nimi jeźdźcy na koniach, a dopiero z tyłu, na wysokich siodłach, właściciele wielbłądów. Z szacunkiem robiono mi miejsce, gdy przedzierałem się przez tłum na miejsce walki. W jednym z rogów kwadratowego ringu siedziała Khanum. Jej twarz była

przezroczysto błada. Prawie nie udawało się jej ukryć paraliżującego ją strachu. Obok niej, na tym samym dywanowym podłożu, siedział jej ojciec, siostra, a po bokach stali Tarik i Hilal. Olbrzym wybrał sobie miejsce tuż na wprost niej. Jego twarz napiętnowana paskudną blizną wyrażała szyderstwo i pewność zwycięstwa. Obok niego przykucnęło dwóch mężczyzn, których dotąd jeszcze nie widziałem, za nim kilku innych, którzy z pewnością należeli do grona jego zwolenników. Zauważyłem też dwie wydrażone dynie napełnione wodą, aby walczący mogli się odświeżyć.

Muezin i stary Esra zajęli miejsce pośrodku placu. Jak później się dowiedziałem, zostali wybrani przez radę starszych, aby rozstrzygać o prawidłowości walki.

Gdy zostałem zauważony, zbliżył się do mnie Esra.

— Czy znasz warunki walki, panie?

— Tak, *muezin* ogłosił je wszystkim. Kim są mężczyźni obok Faiehda?

— To wysłannicy Turków i Rosjan.

— Czy to dlatego patrzą na mnie tak zatrutymi spojrzeniami?

— Tak, jest naturalne, że obaj martwią się o wynik walki. Ich plany mogą się powieść tylko wtedy, gdy zwycięży Falehd. Dobrze o tym wiedzą.

Olbrzym zauważył, że rozmawiamy o nim i zerwał się na równe nogi.

— Dlaczego zjawiasz się tak późno? — zapytał zaczepnie.

— Ale przybyłem — odpowiedziałem spokojnie.

— Żaden dzielny mąż nie każe czekać na siebie swojemu przeciwnikowi.

— Spójrz na swój cień. Przybyłem w samą porę. A zresztą nie przybyłem, aby walczyć na słowa. Niech zdecydują czyny!

— Tak się stanie. Zaczynajmy!

Już chciał się rzucić na mnie z przygotowanymi do ciosu rękoma, gdy przeszkodził mu w tym swoją osobą Esra.

— Stać! Najpierw w obecności świadków zostaną omówione reguły walki.

— Reguły? Nie potrzebuję żadnych reguł!

— Walka ma być uczciwa! Po pierwsze więc: w jakim ubraniu będziecie walczyć?

— Każdy niech zdecyduje sam.

— Zawodnik, który poprosi o łaskę, ma doznać aktu litości.

— Pozbawi go to honoru!

— Dlatego zostanie wykluczony i wygnany z plemienia; ale może ocalić swoje życie.

Według jakich reguł będziecie się bić?

— Według żadnych reguł! Każdy walczy jak potrafi!

— Czy się z tym zgadzasz? — zapytał mnie Esra.

— Tak!

— Więc niech Khanum da znak do rozpoczęcia!

Olbrzym zrzucił z siebie burnus i stanął przede mną ubrany tylko w spodnie. Jego nagie ciało było pokryte oliwą, aby mógł wywinąć się z uścisku przeciwnika. Ta olbrzymia budowla z mięsa i kości wyglądała jak nie do powalenia, a olbrzymie mięśnie jak wykute ze stali. Za przykładem przeciwnika zrzuciłem burnus. Ale nie uznałem za słuszne, aby rozbierać się jeszcze bardziej. Nie zdjąłem nawet swojego lekkiego tureckiego wdzianka, które miałem pod burnusem.

— Na miłość Allacha, rozbierz się! — ostrzegł mnie w dobrej wierze starzec. — Ubranie spowoduje, że może cię pochwycić!

— On tego nie zrobi.

— Jesteś bardzo nieostrożny.

Nie odpowiedziałem mu, bo oto zapanowała grobowa cisza i oczy wszystkich zwróciły się na Khanum, która miała dać znak rozpoczęcia walki. Ale oto jej ojciec rzekł głośno:

— Czyżby nie panował tu zwyczaj, że przeciwnicy podają sobie przed rozpoczęciem walki rękę, jako zapewnienie, że żaden nie uzyska przewagi podstępem?

— Podać rękę? Temu szakalowi? — olbrzym parsknął śmiechem. — Ja mam mu podać rękę? Owszem, może tu podejść, abym go mógł udusić!

— Nie miałem co do ciebie złych zamiarów, ale — odpowiedziałem spokojnie — jeżeli nawet tu mnie obrażasz, to nie mogę cię oszczędzić tak, jak zamierzałem. Trzema ciosami powalę cię, a potem od razu błagam mnie o łaskę!

Oczywiście, wcale nie byłem aż tak zadufany w sobie, ale chciałem zdenerwować swojego przeciwnika tą butną gadaniną. Wściekłe atakujący już jest w niekorzystnej sytuacji w stosunku do zimnego, opanowanego zawodnika.

— Człowieku, ty musiałeś postradać zmysły — parsknął olbrzym. — Za pierwszym uderzeniem z twojej czaszki nie zostanie nic oprócz miazgi.

— Dobrze, spróbujmy więc!

Obaj staliśmy tak, że mogliśmy widzieć Khanum. Było po niej widać, jak trudno jej jest dać sygnał do walki. Teraz uniosła dłoń.

— Dalej! — zawołał Esra.

Twarze widzów skierowały się na nas w nieopisanym napięciu.

Olbrzym wydał przerażający okrzyk i zaczął biec na mnie z odległości około dwudziestu kroków z takim impetem, jak gdyby chciał rozwalić swoim ciałem dom. Łopotał swoimi ramionami zakończonymi zaciśniętymi pięściami jak cepami. Zobaczyłem z wielką ulgą, że nie wie o sztuce ataku i obrony w boksie. Zdał się tylko na swoją wrodzoną siłę i cały jego umysł oświecał jeden cel: zmiażdżyć mnie.

Z wyciągniętą lewą ręką, aby mnie chwycić, zbiera! się już prawą dłonią do śmiertelnego uderzenia.

— *U'a, u'a*, uważaj! Uważaj! — wołano do mnie ze wszystkich stron. — Nadchodzi!

Okrzyki te były na poły uzasadnione, bo wcale nie zachowywałem się tak, jak powinienem, gdy moje życie wisiało na włosku, ale włożyłem ręce do kieszeni.

Prawą dłoń zacisnąłem w pięść, a mój wzrok, na wpół ukryty pod przymrożonymi powiekami, zawiesił się obserwując każdy ruch przeciwnika.

— Psie, teraz zginiesz — zaryczał Falehd.

Już za moment powinien mnie dopaść. Właśnie w tej sekundzie wyskoczyłem mu naprzeciw tak, że zderzyliśmy się, a odgłos tego zderzenia rozniósł się głuchym echem.

W swoim ślepym ataku na mnie wycelował dokładnie w miejsce, gdzie stałem. Zamierzony chwyt jego lewej ręki i prawy sierpowy, które chciał wykonać, były obliczone dokładnie. Ale tylko w tym punkcie. Mój skok przesunął ten punkt o kilka stóp.

Gdy zwarliśmy się ze sobą, olbrzym trzyma! swoje oba ramiona rozpostarte jak skrzydła wiatraka. I zanim potrafił je zsunąć, otrzymał z mojej prawej cios w podbródek. Ten cios mógłby według mojego rozeznania powalić nawet byka, a przynajmniej zaćmić go przejściowo i zachwiać jego siłą. Jeżeli nawet wciąż udawałem, że nie doceniałem Falehdajako przeciwnika, to rzeczywistość miała się inaczej. Nie było to nawet uczucie strachu przed tym człowiekiem - toporna siła nigdy nie napawała mnie ani szacunkiem, ani strachem - ale w tej grze stawka była wysoka, i im więcej udawałem, że rozpocząłem tę walkę z lekkim sercem, to tym poważniej koncentrowałem się na tym, aby już w pierwszym starciu osłabić siłę tego olbrzyma tak bardzo jak tylko było to możliwe. Dlatego wycelowałem potężny cios swej pięści w podbródek; cios, który gdy wyląduje we właściwym miejscu, powala nawet najodporniej szych przeciwników na ziemię, chociaż na parę chwil.

Ale choć wysoko oceniłem zwierzęcą siłę Falehda, była ona w rzeczywistości o wiele większa, o czym przekonałem się już po tym pierwszym ciosie. Moje straszliwe uderzenie w

jego szczękę nie podziałało na niego wcale.

Wysunął znów swoją głowę w przód jak taran, którym miał mnie zamiar rozbić.

Przy niesamowitej sile drugiego zderzenia nieświadomie otworzyłem prawą pięść i mój kciuk zupełnie przypadkowo wdarł się w jego lewy oczodół. Olbrzym comął się natychmiast i przysłonił oburącz ranne oko, a ja już w następnej sekundzie stałem znów na swojej poprzednio wybranej pozycji.

Falehd zaklął straszliwie.

— *Tajib, tajib\ Ahsann* Dobrze! Dobrze! Brawo! — wołano ze wszystkich stron.

Widzowie byli pełni podziwu. Nie tylko odparłem pierwszy atak przeciwnika uważanego dotąd za niepokonanego, ale nawet ciężko go kontuzjowałem.

Większość ludów żyjących w zgodzie z naturą uznaje odwagę i zwinność nawet swoich największych wrogów. Ten aplauz jednak podwoił wściekłość olbrzyma, musiałem się więc przygotować na bezwzględne natarcie, bo przecież każdy rodzaj walki był dozwolony.

Falehd był już w odległości tylko czterech kroków ode mnie: widziałem jak podnosi w górę obie pięści.

— Teraz pošlę cię do piekła — ryknął i uczynił w moją stronę gwałtowny skok.

Nie dosięgło mnie jednak jego uderzenie. Mój szybki unik i prawy sierpowy lądujący na jego zuchwie wyłączyły go z walki. Zewsząd zerwały się okrzyki. Falehd podniósł się jednak z ziemi. — Ten człowiek zapisał swoją duszę szatanowi — krzyknął gardłowym głosem. — Pomagają mu złe duchy! Ale i tak pošlę go do *dżehannahul*

Falehd doszedł wreszcie do wniosku, że nie jest w stanie osiągnąć wiele swoją dotychczasową techniką. Zbliżał się teraz do mnie bardzo wolno. Jego pierś falowała widocznie od z trudem hamowanego zdenerwowania. Teraz wysunął ramiona, aby mnie uchwycić. Jeżeli ten chwyt udałby mu się — byłbym zgubiony. Olbrzym złamałby mi kręgosłup; poznałem już jego niedźwiedzią siłę. Zrobiłem jeszcze jeden unik i zaczęliśmy krążyć wokół siebie. Żaden nie spuszczał oka z przeciwnika. Jego wyprostowane ramiona trafiały wciąż w próżnię. Wściekle ryczał widząc, jak wciąż udaje mi się wymknąć.

Gdy nagle przystanął, zrobiłem ruch, na który nie był przygotowany. Chwyciłem go, a moje dłonie zacisnęły się mocno na nadgarstkach i przyciągnąłem go do siebie ruchami podobnymi do ruchu śrubokręta. Wykręciło to niemal jego ramiona z barków i przez sekundę zwisały one bezwolnie. I właśnie tę sekundę wykorzystałem, aby wymierzyć mu taki cios w nieosłonięte skronie, że rozłożył się na ziemi jak rozsypany worek.

I teraz zaczęło się. Najpierw półgłośnie pojedyncze głosy, potem coraz głośniejsze okrzyki:

— *El ard*, na ziemi! — wołano zewsząd.

Wszyscy, oprócz zwolenników Falehda, odczuli to jak uczucie nagłej ulgi biegnące wzdłuż ciała. Był dla nich rzeczywistym tyranem, chociaż nikt nigdy nie śmiał tego głośno przyznać. Większość z wiwatujących ludzi widziała mnie oczami wyobraźni martwym i tym większa i bardziej szczerza była ich radość.

Gdyby wygrał Falehd, z pewnością nie usłyszałbym tych braw. Chociaż wszystkich obecnych porwał podziw i zapał, nikt nie ruszył się z miejsca. Przedstawienie jeszcze trwało. Tylko Esra, najstarszy z plemienia, podszedł do mnie i podał mi rękę.

— Uczyniłeś, że twe słowa wypowiedziane wczoraj, stały się prawdą. Allah dał ci siłę słonia.

— Mylisz się, daleko mi do siły Falehda!

— I chcesz, żebym ci uwierzył? — spytał zdziwiony. — Przecież powaliłeś go na ziemię, a on nawet cię nie zadrasnął. Musisz więc być silniejszy niż on.

— Siła fizyczna nie jest wszystkim. Dużo zależy od zwinności, a oprócz tego jest wiele sposobów, które pozwalają słabszemu, o ile je zna, zwyciężyć silniejszego.

— Nie rozumiem twych słów, ale widzę ich efekt. Czy Falehd nie żyje?

— Nie sędzę, ale zaraz sprawdzę.

Schyliłem się i stwierdziłem, że serce pokonanego bije, aczkolwiek powoli i cicho.

— Żyje, jest tylko nieprzytomny.

— Zabij go! Masz przecież za pasem nóż. Wbij mu go w serce!

— Nie, tego nie zrobię. Ustalono przecież, że pokonany ma prawo prosić o łaskę. Pozwolę mu więc oprzytomnieć, ale najpierw muszę go unieszkodliwić.

Mówiąc to wyciągnąłem kilka rzemieni z kieszeni. Stary zrobił wielkie ze zdziwienia oczy.

— Czy zawsze nosisz przy sobie te rzemienie?

— Nie, przyniosłem je tylko w tym celu, aby go skępować.

— Więc wiedziałeś, że go pokonasz?

— Tak.

— Jesteś wielkim wojownikiem. Zwiąż go więc i pozwól, że zaprowadzę cię do Khanum. Halef z miejsca, w którym przyglądał się pojedynkowi zobaczył, że mógłbym teraz

potrzebować pomocy i szybko się zbliżył.

— Sidi, jesteś bohaterem, jakiego jeszcze nie widziałem. Przyznaję, że trząsałem się cały ze strachu o twoje życie.

— Znałem swojego przeciwnika. Uważałem go co prawda za silnego, ale jednak za głupiego i ociężałego. Pomóż mi teraz związać mu ręce i nogi.

Gdy obaj krępowaliśmy pokonanego, oczy Halefa bezustannie wędrowały pomiędzy mną i nieprzytomnym. Gdy skończyliśmy, Halef wstał i spojrzał na mnie błyszczącymi oczyma.

— Panie, takiego pana, jak ciebie, nie miałem jeszcze nigdy. Nie opuszczę cię tak długo, jak długo będziesz potrzebował moich usług. Ale powiedz, czy rzeczywiście chcesz darować życie temu obwiesiowi?

— Tak, nie zabiję go na pewno. Być może, według ciebie, należy jego życie do mnie, ale ja jestem chrześcijaninem. Jego śmierć byłaby niczym innym, jak morderstwem, które obciążałoby moje sumienie do końca moich dni.

— Pomyśl, jak bardzo niebezpiecznym jest dla wszystkich pozostawienie tego zwierzęcia przy życiu. Nie przysłużysz się tym ludzkości.

— Wiem, ale nie ja jestem jego sędzią.

Halef spojrzał na mnie poważnie, pełen wyrzutu.

— Sidi, posłuchaj! Jestem co prawda tylko twoim opiekunem, ale lubię cię i chciałbym, abyś opływał w zaszczyty i sławę. Czy wiesz, co jest twym obowiązkiem? Ożeń się z Khanum i zostań władcą tego plemienia. Uczyni Beni Sallah, jako szejka, sławnymi i budzącymi strach na całym obszarze pustyni, a nawet poza nią, aż do najdalszych granic Moghreb. A ja chętnie będę zawsze u twego boku, a przy każdym ognisku i w każdym namiocie będzie się z zachwytem opowiadać o Karze Ben Nemzi, Ojcu Błysku i jego opiekunie Hadzi Halefie Omarze Ben Hadszi Abul Abbas Ibn Hadzi Dawuhd al Gossarah.

I tak oto Halef wytyczył już moją drogę życia. Szkoda tylko, że zupełnie nie zgadzała się ona z moimi planami. Halef z pewnością chciał dla mnie dobrze, ale było rzeczą niemożliwą przekonać go do europejskiego sposobu myślenia i życia. Dlatego nawet nie próbowałem mu tego tłumaczyć i zamiast odpowiedzi na jego propozycję powiedziałem:

— Nie mam teraz czasu myśleć o tym, muszę iść do Khanum. A ty zostań przy Falehdzie i nikogo do niego nie dopuszczaj.

To ostatnie polecenie było właściwie zbyteczne, bo żadnemu z dotychczasowych zwolenników olbrzyma nie przyszłoby na myśl, aby zbliżyć się do niego. Według ich

pojmowania, był on teraz moją wyłączną własnością.

Gdy podszedłem do Khanum, podała mi z wdzięcznością prawą dłoń.

— Dziękuję ci, panie! Uwolniłeś mnie od wroga. Nigdy ci tego nie zapomnę.

Przy tym nie śmiała mi patrzeć prosto w oczy. Chociaż uwolniłem ją od mężczyzny, który napawał ją wstrętem, to w jej sercu czaił się strach. Bo oto według zwyczaju plemienia należała do zwycięzcy, a więc do mnie. Musiała więc brać pod uwagę, iż zażądam jej ręki. A przecież kochała Tarika. Gdzie było więc wyjście z tej zniewalającej pułapki przymusu?

Ogarnęło mnie ciepłe uczucie dla niej i jej ukochanego. Nie powinni mieć powodu, aby stać się przeze mnie nieszczęśliwymi. Ojciec Badii wyciągnął ku mnie obie ręce w geście podziękowania. Był bardzo wzruszony.

— Witaj, jesteś bohaterem bohaterów i najmężniejszym z mężnych. Moja córka z radością zamieszka w twoim namiocie, a ty poprowadzisz Beni Sallah od zwycięstwa do zwycięstwa, aż ich sława sięgnie od wschodu do zachodu słońca.

Wkrótce pojawił się *muezin*. Uderzył w swą deskę i zawołał:

— Posłuchajcie mężowie i kobiety szlachetnego plemienia Beni Sallah! Kara Ben Nemzi, Ojciec Błysku i słynny wojownik z odległego kraju pokonał Falehda, który ubiegał się o rękę Khanum. Ona należy teraz do zwycięzcy! Niech Allah go błogosławi i da mu dzieci i wnuków tak dużo, jak dużo leży ziaren piasku na rozległej pustyni. Oto zapraszam was wszystkich na fantazję ku czci nowego szejka, a posłańcy wyruszą jeszcze dziś z prędkością wiatru, aby głosić jego imię wśród innych plemion. Zaczniście zabijać owce i jagnięta, piec chleb i gotować tłuste *kuskussul*. Wyciągnijcie butelki z *lagmi* i przynieście wszystko, co posiada struny, i swoje piszczałki, abyśmy muzyką i śpiewem wysławiali czyny zwycięzcy, i chwałę jego przyszłych dni.

Wyglądało na to, że jest dopiero w połowie swojego przemówienia i chce jeszcze dokończyć, ale uczynił mały przerywnik, aby zaczerpnąć oddechu. I to wykorzystałem.

— Posłuchajcie mnie, mężczyźni i kobiety Beni Sallah! — zawołałem. — Proszę *dżemę* o zebranie się i zdecydowanie, czy zarówno ręka Khanum jak i tytuł szejka należą tylko do mnie, i czy nikt inny nie może sobie do tego rościć prawa?

Od razu rozległy się trzy uderzenia *muezina* i starcy zebrali się na krótką naradę. Po kilku minutach Esra, najstarszy z rodu, zabrał głos.

— Zwycięzcą jest Kara Ben Nemzi, do niego należy Khanum i on będzie naszym przywódcą, a nikt nie może tego podważyć!

— Dziękuję siwowłosym ojcom Beni* Sallah za zaufanie, którym mnie obdarzyli — odpowiedziałem tak głośno, że wszyscy mogli mnie usłyszeć. — Nie ma większego zaszczytu, jak być szejkiem tak sławnego plemienia. I nie znam też uczucia większego szczęścia, jak posiadanie kobiety o tych przymiotach co Badi-ja, Królowa Pustyni!

Przerwały mi rozradowane, przytakujące głosy. Trwało to chwilę, aż mogłem znów zacząć.

— Sprawiedliwość jest cnotą i ozdobą mężczyzny. Nie chcę posiadać żadnego z dóbr, do których ktoś inny mógłby mieć również prawo. Do walki zgłosiło się czterech mężów. Jeden z nich został wykluczony z walki, drugi, jak na razie, ma prawo do nagrody. Ale oto mamy jeszcze trzeciego i czwartego zawodnika. Czyż mają pozwolić, aby nagroda ich ominęła nie mając szans na walkę o nią? Niech rada starszych plemienia zdecyduje, czy mają prawo do próby swoich sił i odebrania mi nagrody w walce!

, — Niech stanie się według twojej woli — powiedział Esra. Oczy Tarika i Hilala rozszerzyły się i przyssały do mnie. *Dżem-ma* naradzała się chwilę a potem Esra powiadomił o jej decyzji.

— Synowie Błysku mają prawo walczyć z Karą Ben Nemzi. To rozstrzygnięcie zostało przyjęte ogólnym aplauzem. Więc

jednak zapowiadało się na dalszy ciąg trzymającego w napięciu spektaklu.

— Czy przyjmujecie wezwanie do walki? — zapytałem obu braci.

— Panie, czyżbyśmy mieli się nawzajem pozabijać? — zapytał Tarik, chociaż jego oczy błyszczały z tęsknoty za walką o swoją ukochaną.

— Nie jest to moim zamiarem.

— Wiemy, że nas zwyciężysz. Jeżeli pokonałeś Falehda, to jesteś o wiele lepszy od nas. Nie boję się położyć na szali swojego życia, ale będę walczył inaczej niż Falehd. I boję się, że nie mógłbyś wyjść z tej walki bez żadnej rany. A czy powinienem zadawać rany temu, który tak wiele dobrego dla nas uczynił?

— Stanie się inaczej. Niech Esra zdecyduje, czy teraz, gdy jestem właścicielem Khanum, mogę dokonać wyboru broni.

— Masz prawo wyboru — powiedział starzec.

— Więc nie będziemy walczyć wręcz, ale naszymi strzelbami.

— Na Allacha! —zawołał Tarik. —Więc już przegrałeś! Czyż nie wzięłeś pod uwagę, że Hiłal i ja zostaliśmy nazwani Synami Błysku?

— *Ma alesz*, nic nie szkodzi! — odrzekłem z uśmiechem. — Ja jestem Ojcem Błysku. Przecież sami mnie tak nazwaliście. Więc będziemy strzelać!

— *Melih*, dobrze więc! Niech się stanie wedle twego wyboru. Bądź jednak pewny, że cię nie zabije. Spróbuję cię tylko nieznacznie zranić.

— Tak! Uczyń tak! — dodawała mu odwagi Khanum, której serce znów mocniej zabiło.

— *Memnuhn*, jestem wam wielce zobowiązany — zaśmiałem się. — Ale jeszcze wam nie powiedziałem, co będzie naszym celem.

— Więc nie my sami? — spytał zdziwiony Tarik.

— O nie, ustalimy inny cel.

— Czy nie uzna się nas wtedy za podszytych tchórzem?

— Nie sądzę. Ciebie zwą Synem Błysku i nie określi się tego jako brak odwagi, jeżeli zgodzisz się na moją propozycję. To ja zwyciężyłem olbrzyma. Któż będzie więc śmiało powiedzieć, że jestem tchórzem. Od razu wyzwiałbym go do walki na śmierć i życie.

— Nikt, z pewnością nikt tego nie powie!

— Nikt, nikt! — zawołali stojący wokół słysząc nasze słowa.

— Jestem o tym przekonany. Zresztą nie jest to koniecznym, aby ten, który nie otrzyma ręki Khanum, musiał zginąć. Plemię potrzebuje szejka, który byłby dzielny i bardzo sprawny w posługiwaniu się bronią. A tę sprawność można udowodnić bez zabijania się nawzajem.

— *El hakke mi 'ak*, masz rację. Co będzie więc naszym celem?

W głosie Tarika wyczuwało się wyraźnie zapał, który wywołała w nim rozbudzona na nowo nadzieja.

— Ustawimy u góry, w rogu ruiny kij namiotowy, na którego końcu położymy kamień. Każdy z nas ma prawo oddania pięciu strzałów. Ten z nas, który trafi kamień, strącając go i uczyni to więcej razy niż jego przeciwnik, ten zostanie zwycięzcą! Czy przystajesz na moje warunki?

— O tak! — odpowiedział Tarik.

Spadł mu z serca wielki ciężar. Teraz był przekonany, że to właśnie on zwycięży; jeżeli chodzi o posługiwanie się bronią nikt nie potrafił mu dorównać oprócz Hilala. Ado tego nie musiał swojego przeciwnika ani zranić, ani zabić.

Również inni członkowie plemienia stojący w pobliżu nas przyjęli ustalenia okrzykami zadowolenia; tylko stary szejk Beni Ab-bas wyraził swoje niezadowolenie słowami:

— Czyżby moja córka nie była warta prawdziwej próby sił?

— Jest tego warta i udowodniłem to walcząc z Falehdem. Ale czyż Allah będzie patrzył łaskawym okiem, gdy będzie się zabijało dwóch przyjaciół, którzy mogliby oszczędzić swoje

życie, aby walczyć przeciw innym wrogom.

— Niech więc zadecyduje *dżemma*, czy nie będzie to tchórzostwem, jeżeli zrezygnuje się z prawdziwego pojedynku.

Najstarsi plemienia zebrali się więc po raz trzeci, aby rozstrzygnąć na korzyść mojej propozycji.

Było to z pewnością najlepsze wyjście z tej niezręcznej sytuacji, gdy dwoje przyjaciół ma walczyć o tę samą nagrodę. Gdy ogłoszono decyzję, ustawieni w sztywnym porządku widzowie zmienili swoje miejsca obserwacji. Cel ustawiono tak wysoko, że można było go widzieć nawet z większej odległości. Napięcie i ciekawość, które opanowały widzów, były być może jeszcze większe niż w czasie pierwszej walki. Znano przecież Tarika jako najlepszego strzelca. Ale po tym co się wydarzyło sądzono, że ja również i w tej sztuce jestem więcej niż przeciętny. Wszyscy aż palili się, aby zobaczyć zakończenie tego rzadkiego widowiska.

Tarik oddalił się, aby przynieść swoją strzelbę i konieczny zapas naboju. A ja udałem się do Halefa, który siedział obok nieprzytomnego wciąż Falehda.

— Potrzebuję swojej broni! Zostań przy Falehdzie, aby zapobiec jakimkolwiek kontaktom z jego zwolennikami. Jestem pewny, że wciąż jest ich kilku wśród Beni Sallah, a do tego są tu jeszcze ci dwaj agenci.

— Czy obawiasz się podstępu?

— Nie wierzę ani jemu, ani im. Z pewnością będzie chciał się zemścić.

— Czyżbyś sądził, że okryje się tą straszliwą hańbą i będzie błagał cię o życie?

— Tego można się po nim spodziewać. Ale powtarzam: w żadnym wypadku nie mam zamiaru go zabić.

— A więc, jeżeli rzeczywiście jest dzielnym mężczyzną, to musi popełnić samobójstwo. Tak ustalono to zwyczajowo wśród Bedu-inów.

— Jeżeli miałby to uczynić, to z pewnością najpierw chciałby zgładzić mnie z tego świata. Dlatego uważaj teraz, aby był odizolowany od innych.

— Spójrz! Przecież jest jeszcze nieprzytomna.

— Tak sądzisz? Widziałem jak drgnęły jego powieki i sądzę, że tylko udaje. Znow doszedł do świadomości, ale się wstydzi spojrzeć w oczy swojemu zwycięzcy.

Później zacząłem wspinać się z bronią w kierunku ruiny.

* * *

Wróciłem z moją rusznicą na niedźwiedzie, która stała się tak sławna na Dzikim

Zachodzie. We wcześniej ustalonym miejscu ustawiono kij, na którym umieszczono kamień wielkości ludzkiej pięści.

Esra zaprowadził mnie na miejsce wyznaczone na zawody. Tarik już tam czekał. Siedziała tam również Khanum z Hilują i szejkiem Beni Abbas.

Widziałem w jej twarzy cień ukrytego niepokoju. Najchętniej podszedłbym do niej i powiedział, że nie musi się martwić, bo Tarik z pewnością wygra te zawody. Ale nie mogłem tego uczynić. Forma ostrego współzawodnictwa musiała być zachowana.

Wraz z moim pojawieniem się nadszedł czas otwarcia zawodów. Wszyscy w napięciu patrzyli na Tarika i na mnie.

— Kto strzela jako pierwszy? — spytał Tarik.

— Kara Ben Nemzi — odrzekł Esra. — On jest zwycięzcą pierwszej walki.

— Odstąpię pierwszeństwo Tarikowi — odrzekłem. — Jest synem Beni Sallah. A ponieważ stawką jest ręka córki z tego plemienia, to on ma prawo zaczynać jako pierwszy.

Ta wypowiedź wywołała krótki, przyjacielski spór, który w końcu został rozstrzygnięty zgodnie z moim życzeniem. Tarik miał strzelać jako pierwszy.

Szło tu o dużą stawkę: o posiadanie pięknej kobiety i godność szejka. Szło więc o najwyższe wartości, jakie znają Beduini. Dlatego też Tarik działał z wielką ostrożnością. Celował tak długo, że z tłumu dały się słyszeć głosy niezadowolenia. Ale Tarik nie zwracał na nie uwagi a Hilał, który stał obok niego, szepnął:

— Nie pozwól zwieść się pośpiechowi! Wiesz przecież, że gra idzie o wszystko!

Tarik stanął jak posąg z brązu. Był rzeczywiście wspaniałym młodym mężczyzną. Widziało się to dopiero teraz, gdy zdjął swój burnus i według zwyczaju Beduinów, na wpół ubrany przyjął postawę strzelca.

W końcu rozległ się strzał. Chwila napięcia, gdy nawet oddechy przestały być słyszalne - a potem - potem ze wszystkich stron rozległy się okrzyki radości. Rozbrzmiewały za każdym strzałem głośniejsz. Każda z kul osiągała swój cel, tylko ostatnia musnęła kamień, ale nie zrzuciła go na ziemię.

Tarik więc w końcu swej próby był odrobinę zbyt pewny zwycięstwa. Teraz rozpętał się spór, czy ostatni strzał był trafieniem, czy też Tarik chybił.

Rada starszych zdecydowała, że nie był to strzał chybiony, bo kula trafiła w kamień. Miała jednak zrzucić kamień i ostatni strzał nie został uznany.

Tarik zdobył więc cztery punkty. I teraz zaczął się bać. Gdybym zdobył pięć celnych

strzałów, to Khanum byłaby dla niego nieodwracalnie stracona. W swej obawie serca splótł ręce i zaczął modlić się tak głośno, że mogłem usłyszeć prawie każde słowo.

— Allachu! Litościwy! Łaskaw}! Dobry! Współczujący! Kieruj jego strzelbę tak, aby żadna z jego kul nie trafiła!

Zwróciłem ku niemu swą uśmiechniętą twarz i pogroziłem mu palcem.

— I ty nazywasz mnie swoim przyjacielem? Allah ukarze twoją niewierność w stosunku do mnie i na pewno pozwoli mi trafić ten kamień pięć razy.

Znów się odwróciłem i rozległ się mój strzał; kamień zleciał na ziemię.

Ledwo człowiek stojący przy celu zdążył położyć drugi na szczycie drażka, a już w tym samym momencie spadł on na ziemię. Identycznie stało się z trzecim kamieniem.

— *Allah UAllahl* — zawołał Tarik, którego czoło pokryło się potem ze strachu.

— Na niebo! *Kadisza*, o Matko Wierzących! — wykrztusiła po dłuższej chwili Khanum.

Chwyliła rękę Hiluji i ścisnęła ją tak mocno, że tamta aż krzyknęła z bólu.

— Ten człowiek strzela o wiele lepiej niż ja — przyznał otwarcie Hilal.

— Naprawdę? — zaśmiałem się wesoło. — Ale ty jeszcze w ogóle nie widziałeś jak strzelam. Zaraz ci pokażę. Czy widzisz tam na łące wielkiego brązowego wielbłąda, na którego grzbiecie siedzi *asfurl*

Asfur to rodzaj ptaka, który chętnie przebywa w pobliżu wielbłądów, bo znajduje przy nich wystarczającą ilość pożywienia oraz wydziobuje wszy z ich sierści. Wiedzą o tym te zwierzęta i dlatego zachowują się bardzo spokojnie, gdy taki ptak usiądzie na ich garbie.

— A trochę dalej na prawo stoi drugi wielbłąd — mówiłem dalej. — Czy widzisz coś na jego grzbiecie?

— Tak, taki sam ptak.

— Więc spójrz teraz, co się z nimi stanie.

Uniosłem swoją broń. Dwa strzały, jeden po drugim. A potem zapadła cisza.

Stojący wokół obserwowali moje zachowanie ze zdziwieniem, nie mogąc go wyjaśnić. Moje pierwsze trzy strzały przyjęte zostały z żywym aplauzem, ale teraz nikt nie wiedział do czego zmierzam.

— A więc — powiedziałem — gdzie są teraz te ptaki?

— Odleciały — odpowiedział Hilal.

— Czy widziałeś, jak odlatują?

— Nie.

— Więc podejdź tam i poszukaj ich.

— Czyżbyś je zastrzelił? Z tej odległości? To niemożliwe!

— Idź tam, znajdziesz jednego i drugiego.

Pobiegł w tym kierunku nie tylko Hilal. Za nim udało się wielu innych ciekawskich. Gdy dotarli już do wielbłądów, podnieśli radosną wrzawę a później pospiesznie biegli ku mnie. Nieśli ze sobą oba ptaki, które rzeczywiście zostały trafione kulą i teraz przechodziły z rąk do rąk.

Nie jestem w stanie oddać wszystkich wyrazów zdziwienia, które musiałem wysłuchać, bo język arabski to nie tylko przepastna skarbnica najbardziej ordynarnych przekleństw i obelg, ale także ogrom określeń podziwu i szacunku.

Dopiero po dłuższym czasie wróciliśmy do naszych zawodów. Człowiek, który stał przy drążku z kamieniem na szczycie, był zdumiony, że nikt nie zwraca na niego uwagi. Zakrzyknął więc głośno i zwrócił naszą uwagę na pierwotny cel naszej strzelaniny.

— Jak więc będzie teraz z twoimi ostatnimi strzałami? — zapytał Esra podchodząc ku mnie.

— Na Allacha! — udałem przerażonego. — Nie mam już kul. Ustaliliśmy przecież pięć strzałów i nie zabrałem więcej jak pięć naboí. Czy mogę strzelać powtórnie?

— Oczywiście, że możesz... hm, a to dopiero paskudna historia! Jeżeli jednak się dobrze zastanowić, to już oddałeś przyznaną ci ilość strzałów i... *Maschallah!* Coś takiego nigdy jeszcze mi się nie przydarzyło.

Starzec w zakłopotaniu pogładził swoją brodę.

— Więc sądzisz, że przegrałem, bo cel został trafiony tylko trzy razy?

— Wygląda na to, że przegrałeś... hm! Chyba nie chcesz świadomie rezygnować z nagrody?

— O nie! Nie rezygnuję! Mam prawo do nagrody. Ale ty sam jesteś zdania, że już oddałem ustaloną ilość strzałów. Tarik trafił kamień cztery razy, ja tylko trzy!

— Więc zwycięzcą jest Tarik?

— Tak, on nim został.

— Efendi, czyżbyś przegrał specjalnie?

— O nie! Ptaki mnie zmyliły. Chciałem wam pokazać, że tą bronią można trafić nie tylko kamień. I tak przez dwa ptaki straciłem Khanum i godność szejka.

— *Allah UAllah!* Kto mógłby przewidzieć? Wszyscy patrzyli na mnie z litością i

smutkiem.

— Uspokój się — znów się uśmiechnąłem. — Muszę ci wyznać, że od początku nie chodziło mi tak bardzo o Khanum, a jeszcze mniej o godność szejka. Nie jestem więc nieszczęśliwy, że to przegrałem.

— A więc po co w ogóle zgłosiłeś się do walki z Falehdem?

— Bo szanuję plemię Beni Sallah i chciałem uwolnić je od tego człowieka. Powiedz, czy masz coś przeciw temu, aby Tarik, którego nazywasz Synem Błysku, został szejkiem?

— Nie, nie mam żadnych zastrzeżeń!

— Więc ciesz się takim właśnie wynikiem pojedynku. Mówiąc to odwróciłem się i chciałem precyzyjnie się przez zbitą masę ludzi, którzy zebrali się wokół nas, gdy nagle poczułem na swoim ramieniu czyjąś rękę. To był Tarik.

— Efendi, czy ty bawiłeś się mną?

— O nie! Nie zwykłem dla zabawy pudłować i na dodatek pozwalać się wyśmiać.

— Więc te dwa strzały naprawdę uznano jako niecelne?

— Nie mogłem temu zapobiec.

— *Allah il Allah!* Więc Badija należy do mnie!

— Czyż nie jest to po twojej myśli?

— Po mojej myśli? Panie, czuję się tak jak tylko może się czuć zbawiony, w siódmym niebie. Nie mogę uwierzyć, że rezygnujesz z Badii po tym jak dobrowolnie narażałeś dla niej swoje życie.

— Dla niej? Mylisz się! Dla ciebie! Byłem przekonany, że Fa-lehd cię pokona. Wiedziałem również, że ja mogę go zwyciężyć i dlatego walczyłem zamiast ciebie.

— Teraz pojmuje! Na Allacha! Jak mam ci za to dziękować! Będę się za ciebie modlił tak długo jak długo żył będę. I będę uczył swoje dzieci i wnuki, aby modliły się za twoje dzieci i wnuki.

— Drogi chłopcze — zaśmiałem się. — Nie wyliczajmy teraz naszych wszystkich potomków. Jak na razie jesteśmy bowiem przodkami bez potomstwa i bez żon. Pospiesz się więc, abys chociaż ty zdobył rękę swojej. Życzę ci, aby za pięćdziesiąt lat istniał wielki ród Beni Tarik, który liczyłby tysiąc głów.

— O Allah, Allah! To za dużo. Tysiąc głów za pięćdziesiąt lat!

I mówiąc te słowa zaczął szybko się oddalać do swojej przyszłej żony, matki i babci dzieci, założycielki rodu.

* * *

Muezin ogłosił wynik pojedynku przywitany ogólną radością. W międzyczasie udałem się w to miejsce, gdzie zostawiłem Hale-fa i zwyciężonego. Hilal, który oczywiście nie musiał walczyć ze swoim bratem, i szejki Beni Abbas przyłączyli się do mnie. Halef pospieszył zaraz z informacją, że nikt nie zbliżał się do Falehda. Również wzięty do niewoli ani się poruszył.

— Czy doszedł już do siebie? — spytałem.

— Nie.

— Nie dziwi mnie to.

Na podłodze leżało źdźbło zeschniętej trawy pustynnej. Schyliłem się, podniosłem je z ziemi a potem włożyłem Falehdowi do środka ucha. Olbrzym od razu poruszył głową otwierając przy tym prawe oko. Udawał więc tylko, że nadal jest nieprzytomny.

— Jeszcze żyjesz? — zapytałem zdziwionym tonem. — Sądziłem, że cię zabiłem. Więc będziesz musiał umrzeć teraz!

Wyciągnąłem swój nóż i trzymałem go w ręce, gotowy do uderzenia. Oczy olbrzyma rzucały błyskawice.

— Jestem skrępowany! — wymamrotał.

— Powinno ci to być obojętnym. A teraz twoja *wassijet nemeh* — ostatnia wola!

Wielu Beni Sallah przybyło teraz i wokół nas utworzyło się ciasne koło. Ranny nie wyglądał tak strasznie, jak się tego spodziewano. Lewe oko miał wciąż zamknięte a ponieważ Halef obmył go w międzyczasie z krwi, więc tylko spuchnięte wargi i zabarwiony na niebiesko nos świadczyły o skutkach walki.

Z jego prawego oka tryskała dzika nienawiść, jego mięśnie napięły się, a na czole i skroniach wystąpiły żyły od próby zerwania więzów. Później jednak poniechał tego i leżał zrezygnowany i spokojny.

— Czy chcesz mnie zamordować? — wycodził przez zęby.

— Zamordować? Czyżbyś nie wiedział, że do mnie należy twoje życie? Tylko, gdybyś błagał mnie o łaskę, byłbym zmuszony ci jej udzielić. Tak brzmiały ustalenia rady starszych.

— Błagać o łaskę? Ciebie? Nigdy!

— Niczego innego nie oczekiwałem. Niech więc przybędzie *muezin* i zacznie modlitwę śmierci.

— Niech będzie przeklęty *muezin* ze swoją paplaniną. Nie znoszę go!

— Więc musisz umrzeć bez modłów. Niech Allah zlituje się nad twoją duszą!

Podniosłem rękę gotową do ciosu nożem. Ale nawet gdybym chciał spełnić swoją groźbę, nie doszłoby do tego. Falehd, widocznie, aż do tego momentu wmawiał sobie, że jego życie zostanie mu darowane bez proszenia o litość. Być może liczył na poparcie członków swego plemienia. Ale teraz jego pewność została zachwiana, i w tym samym stopniu w jakim wcześniej był pewnym siebie, teraz sparaliżował go strach. Przerażony przewrócił się z trudem na bok i zawołał:

— Stój, na miłość Allacha! Stój!

Zastygłem w bezruchu ze wzniesionym do góry nożem.

— Czego chcesz? Mów szybko!

Jeniec zatoczył zdrowym okiem krąg wokół siebie. Ale gdy sądził, że znajdzie tu współczucie, to bardzo się mylił. Jeżeli jeszcze nie tak dawno miał kilku przyjaciół, to ich ilość stopniała po tym tak smutnym dla niego zakończeniu pojedynku. To, co mógł odczytać w twarzach stojących wokół, to były wszystkie uczucia ale nie współczucie i litość. Tu nie mógł znaleźć pomocy.

A jego zwolennicy? Przecież miał ich niewątpliwie! Spotkał go więc taki sam los jak wszystkich wielkich, którzy się potknęli. Gdy został pokonany, żaden z nich nie odważył się przyznać, że go popierał, nie mówiąc już o wstawieniu się za nim.

— A więc szybko! Czego chcesz? Czy prosisz o łaskę?

— Tak — wydusił z siebie jeniec.

— Więc uczyn to! Wypowiedz to słowo, bo inaczej twoje błaganie nie zostanie wysłuchane.

— *Amahn\ Amahn* Łaski, łaski!

— Dobrze, zachowaj swoje życie! Zaraz cię rozwiążę.

I już się schyliłem, aby to uczynić, gdy tuż za mną usłyszałem głośnie wołanie. To Esra, najstarszy z rady, wnosił sprzeciw.

— Prosił przecież o łaskę!

— Tak, uczynił tak, ale pozostaje pytanie, czy bierze też na siebie skutki swojej prośby. Jest przecież bratem zmarłego szejka i uważał się za niepokonanego, a jego wpływy sięgały wszędzie i wszystko zależne było od jego woli. Być może sądzi, że wciąż ze strachu przed nim nie myślimy o tym, aby dać mu odczuć skutki jego prośby o łaskę. Dlatego muszę z nim najpierw porozmawiać, zanim darujesz mu życie.

Spalona od słońca twarz olbrzyma stała się popielata. Był to najlepszy dowód na to, jak

ostrożny Esra trafił w sedno rzeczy. Falehd sądził rzeczywiście, że on, obdarzony uznaniem i otoczony atmosferą lęku człowiek będzie mógł być ulaskawiony bez uszczerbku na honorze. Teraz dopiero zrozumiał, jak bardzo się mylił.

Najstarsi z rodu słysząc słowa Esry podeszli z poważnymi obliczami. Był to pierwszy przypadek, że członek tego plemienia prosił o łaskę. A do tego właśnie ten, który uważał się za najlepszego ze wszystkich.

— Czy wiesz, co czynisz? — zapytał poważnie Esra.

— Tak, wiem — odrzekł ponuro olbrzym.

— Kto prosi o łaskę, zachowuje swe życie ale nie majątek.

— Zezrejcie więc moje wielbłądy i udławcie się nimi.

— Kto prosi o łaskę, jest pozbawiony honoru na zawsze i zostaje wykluczony z plemienia.

— Odejdę sam, z własnej woli.

— A gdy tylko pojawi się w obrębie plemienia, może zabić go każdy i nie musi obawiać się zemsty krwi.

— Każdy może mnie zabić, kto się na to zdobędzie!

— Czy chcesz darowania życia pod tymi warunkami? Falehd milczał. Było mu bardzo trudno odpowiedzieć na tego rodzaju pytanie.

— Pytam cię po raz ostatni. Jeżeli nie odpowiesz, to każda późniejsza prośba jest daremna. Czy błągasz o litość?

— Tak!

— Więc ja rozwiążę twoje ręce.

Esra rozsupłał węzeł na rzemieniach. Wtedy olbrzym skoczył na równe nogi, wyciągnął ramiona i otrzepał się jak dzikie zwierzę, które zbyt długo więziono na łańcuchu.

— Wolny, wolny! Teraz mnie poznacie!

— Znamy cię! — odpowiedział z godnością stary Esra pełen wstrętu. — Pozbawiamy cię honoru na wieki, a* kto wymieni twe imię, ten musi przy tym splunąć. Niech każdy zapomni imię twego ojca i twojej matki. A na znak, że nie masz honoru, ja pierwszy dam ci to, na co zasłużyłeś. Mężczyźni, zawołajcie głośno: *Ja mussihbe, ia ghumm, ia elehm, ia rezalet*, coż za nieszczęście, troska, ból i wstyd!

— *Ja musshbe, ia ghumm, ia elehm, ia rezalet* — powtórzyli zebrani.

Wyciągnęli płaskie ręce wzniesione ku górze, aby pokazać swoje obrzydzenie.

— Tutaj! Weź co twoje, *tfu alehk, pfuil*

I mówiąc to splunął Falehdowi pod nogi.

— *Tfu alehk, pfui!* — wszyscy poszli za przykładem Esry. Falehd stał cicho i ani jeden mięsień nie drgnął na jego twarzy.

Prawe oko trzymał identycznie zamknięte jak lewe. Ale gdy je otworzył spod powieki błysnął złowrogi wzrok.

— Czy jesteście gotowi? — spytał szyderczo.

— Tak. — odrzekł Esra. — Idź do swego namiotu. Już wkrótce się dowiesz, co zadecyduje zebranie starszych odnośnie twojej osoby.

— Jeszcze chcecie decydować? Przecież już zdecydowaliście!

— Oto dzielny Ojciec Błysku darował ci życie. Być może i rada okaże się łaskawa, abyś przynajmniej nie wyszedł z obozu jak żebrak. Oczekujemy na ich wyrok!

— Zdecydujcie, co chcecie. Ale jednego możecie być pewni: zemsta, zemsta, zemsta!

Falehd odwrócił się i wyszedł dumny, i wyniosły, jak gdyby był zwycięzcą a nie zwyciężonym i pozbawionym czci. Podążyłem zanim z Hiłalem i Halefam. aby się przekonać, czy rzeczywiście poszedł do swojego namiotu. Widzieliśmy jak znika w nim i pozostaliśmy w pobliżu, aby poczekać na wyrok rady, i zapobiec ewentualnemu podstępowi ze strony Falehda.

Nie musieliśmy długo czekać. Starcy z Esrą na czele przybyli dostojnie krocząc i zatrzymali się przed namiotem Falehda. Za nimi pojawiło się wielu członków plemienia.

Esra wywołał imię olbrzyma. Falehd wyszedł przed namiot.

— Wejdźcie — powiedział wykonując zapraszający ruch ale z szyderczym grymasem.

— Do namiotu pozbawionego honoru nie może wejść żaden syn Beni Sallah — odparł stary Esra. — Przybyliśmy, aby powiadomić cię o werdykcie.

— Będzie z pewnością kapać od mądrości jak pysk wielbłąda, gdy wypił wodę z kałuży.

— Szydysz z nas, choć nasze zamiary są dobre. Tym bardziej Allach będzie chwalił nasze miłosierdzie, które chcieliśmy ci okazać. Musisz opuścić obóz na godzinę przed zachodem słońca.

— Chętnie opuszczę go jeszcze wcześniej.

— Właściwie powinieneś odejść tak jak stoisz, bo wszystko, co posiada wygnany z plemienia przechodzi na własność twych krewnych.

— Kim jest wybrany krewny?

— Khanum. Byłeś jej szwagrem.

— A więc Tarik wzbogaci się o moją własność.

— Jest następcą zmarłego szejka.

— Więc niech zżera moje stada, aż pęknie.

— Decyzja rady zezwala ci na zabranie twojego najlepszego wielbłąda — kontynuował niewzruszenie Esra. — Masz otrzymać też dwa wielbłądy juczne z pełnymi tykwami wody. Jesteś bowiem ranny i będziesz potrzebował wody na pustyni, aby ochłodzić te rany.

— O tak, muszę ochłodzić też coś więcej niż oko, a do tego potrzebuję coś więcej niż wody.

— Możesz zabrać też dwa inne wielbłądy, aby móc na nich unieść mąkę, sól, daktyle i twój namiot, abyś nie cierpiał głodu, schronienie znajdziesz na pustyni. To wszystko, co możemy ci ofiarować.

— Dzięki wam! Jesteście bardzo miłosierni. Ofiarujecie mi pestkę daktyla, a dla siebie zachowujecie całą owocującą palmę. Oby piekło było waszą nagrodą!

— Wiesz teraz co chcemy! Gdy minie termin, a ty będziesz jeszcze w obozie, wypędzimy cię i nic nie wolno będzie ci zabrać. Allah niech kieruje twoją drogą, abyś nigdy nie spotkał kogoś z naszego plemienia.

— Zabiłbym go!

— Nie możesz zabrać żadnej broni, tylko swój nóż. Węza, którego wypuszcza się na wolność pozbawia się jadu.

— Czyżbym miał odejść sam?

— Spytaj, czy jest ktoś, kto odjedzie z tobą.

— Mam wziąć wielbłąda dojazdy i cztery juczne. Jeden człowiek to za mało na tyle zwierząt.

— Jesteś człowiekiem bez honoru. Kto odjedzie z tobą, będzie nim również. Nikt nie będzie chciał ci towarzyszyć.

— *Maruf*, mój niewolnik, on pójdzie ze mną.

— Nie możesz już mu rozkazywać, już nie jest twoją własnością. Ale jeżeli ktoś chce ci dobrowolnie towarzysze, to nikt mu w tym nie przeszkodzi.

— Więc jak na razie załatwiłem z wami wszystko. Zobaczymy się więc dopiero, gdy ja będę waszym sędzią.

— Twoja groźba nas rozśmiesza. Przypominasz krokodyla, któremu obcięto głowę i ogon, ani nie może żyć, ani nikomu szkodzić.

Esra odwrócił się z zamiarem odejścia, a wraz z nim najstarsi. Mieli teraz coś innego do roboty, aniżeli przebywać w pobliżu

tego człowieka.

Wybór nowego szejka oznacza tak duże zmiany dla całego plemienia, że ten dzień jest związany zawsze z wielkimi uroczystościami. A ja wiedziałem, że olbrzym przez godzinę do zachodu słońca będzie pod opieką straż}', która będzie czuwać, aby dotrzymał postanowień rady.

* *

Również my: Hilal, Halef i ja nie mieliśmy nic więcej do roboty. Dlatego wróciliśmy do ruiny. Już dawno zauważyłem, że Hilal ma coś na sercu, o czym chętnie by ze mną porozmawiał. Aby dodać mu odwagi, posłałem Halefa przodem z poleceniem aby się przekonał, czy nasze zwierzęta, których nie widzieliśmy od wczoraj, są pod dobrą opieką.

Nie myliłem się. Ledwo Halef się oddalił, Hilal rozpoczął:

— Efendi, czy wiesz, że przybyłeś do nas jak anioł Allacha?

— Dlaczego?

— Dzięki twojemu pojawieniu się u nas na całe plemię spłynęła jego łaska. Uwolniłeś nas od Falehda!

— Czy rzeczywiście uważasz to za błogosławieństwo? Sądzę, że znajdzie się jeszcze niejeden Beni Sallah, który chętnie widziałby Falehda jako szejka.

— Ale to tylko mniejszość. A poza tym spełniłeś najskrytsze marzenie mojego brata. Dopomogłeś mu w uzyskaniu najpiękniejszego kwiatu pustyni.

— Mylisz się. Tarik uzyskał rękę tego kwiatu w drodze walki.

— Efendi. Nas nie zmylisz. Wiemy, że skierowałeś lufę swej strzelby na ptaki nie z przypadku, a świadomie, aby przegrać walkę.

— *Maschallah* ! Cóż wpadło ci do głowy? Któryż z ludzi przy zdrowych zmysłach celowo zrobiłby taki krok, wiedząc o jaką stawkę idzie?

— A jednak ty to zrobiłeś! To ty pozwoliłeś wygrać mojemu bratu. Tylko tobie może zawdzięczać, że został szejkiem, a najbardziej pachnąca z spośród róż będzie mogła złożyć głowę na jego piersi.

Spojrzałem na niego podejrzliwie.

— Hm, sądzę, że nie mówisz teraz całej prawdy.

— Dlaczego tak sądzisz?

— Czy Badija jest na pewno najbardziej pachnącą różą spośród wszystkich? Czyż w głębi serca nie przyznałeś tego tytułu komuś innemu?

Hilal zmieszał się.

— Nie rozumiem o czym mówisz?

— Ależ oczywiście, że rozumiesz. Już dawno zauważyłem, że nie jesteś obojętny Hiluji, siostrze Khanum, i że chciałbyś wejść z nią w inny stosunek niż tylko pokrewieństwo.

Hilal niezdecydowanie spuścił w dół oczy. Potem podniósł je i spojrzał na mnie szczerze.

— Masz rację. Muszę być w stosunku do ciebie szczerzy i wyznać, że kocham Hiluję. Więc pomyślałem, więc chciałem...

— Tak?

— Sądziłem, że być może mógłbyś mi pomóc tak jak Tankowi.

— Nie mów tak nigdy więcej, czy słyszysz! Tarik wygrał Ba-diję w uczciwej walce. Czy też chcesz, aby wszyscy w plemienu Beni Sallah mówili, że Tarik nie wygrał kwiatu swojego serca w uczciwej walce, ale pozwolił na to, aby cudzoziemiec mu ja podarował?

— *Rhemallah!* Niech Allah zachowa! Walczyłbym z każdym, kto by tak twierdził na śmierć i życie. Ale między sobą możemy szczerze porozmawiać. Dlatego też pomyślałem, że mógłbyś również dla nas — dla Hiluji i dla mnie coś uczynić, abyśmy mogli stać się szczęśliwą parą, jeżeli oczywiście moje wymagania nie są zbyt wygórowane.

Zostało więc wszystko powiedziane i Hilal odetchnął z ulgą. Ale ja musiałem powstrzymać się, aby nie wybuchnąć śmiechem.

To była prawda. Tarik zawdzięczał właśnie mnie swoją „pra-przodkinię rodu”, ale ostatecznie nie przybyłem do Beni Sallah, aby odgrywać tylko rolę swata. Co prawda bardzo lubiłem Hila-la, ale cóż - człowiek rodzi się sam i umiera sam.

— Jak wpadłeś na to, że z tym możesz zwrócić się do mnie? Najprościej przecież byłoby ubiegać się o rękę córki u szejka Beni Abbas.

— Efendi, jak wiesz, nie świeci nad moją głową światło dobrobytu. Jestem biedny, wiem o tym doskonale.

— Zgadza się. Muszę ci się zwierzyć, że już dawno napomknąłem szejkowi o tobie i Hilui, ale wysiłki pozyskania go spełzły na niczym. Weź jednak pod uwagę, że od tego czasu wiele się zmieniło. Z przeciętnego Beduina, którym byłeś wcześniej - pomimo oczywiście twojego imienia - stałeś się bratem bogatego szejka. Słyszałeś przecież, że Tarik ma stać się właścicielem majątku Falehda.

— Więc sądzisz, że mogę mieć nadzieję, aby wywalczyć sobie przyzwolenie szejka?

— Tak, dzisiaj o wiele większą niż wczoraj. I użyłeś tu odpowiedniego słowa: wywalczyć! Tarik wywalczył sobie swój kwiat i mam przeczucie, że ty też walcząc osiągniesz swoje szczęście. Wiele zależy od tego, czy Tarik potrafi zdobyć uznanie jako szejka.

— Możesz być pewien, że potrafi. Dziś wystąpi po raz pierwszy w swojej nowej roli.

— Naprawdę?

— Wieczorem zbiera się *dżemma*. Ma rozstrzygnąć, czy Beni Sallah, a wraz z nimi plemiona pustynne mają być nastawione wrogo czy pokojowo do kedywa. Wiesz, że rada starszych miała się zebrać już wczoraj i tylko dzięki staraniom Khanum został przesunięty termin, aż do wyboru nowego szejka.

— Było to mądre posunięcie Khanum, bo jest trudno przewidzieć jak brzmiałoby wczorajsze postanowienie rady.

— Masz rację. Dziś są o wiele korzystniejsze perspektywy na decyzję rady zgodną z naszymi oczekiwaniami niż było to wczoraj, gdy jeszcze liczyły się wpływy Falehda.

— Więc spróbujcie osiągnąć, aby wasze wpływy były decydujące. A ta druga sprawa nie jest tak pilna. Sądzę, że szejka Beni Abbas da nam jeszcze okazję porozmawiać ze sobą.

Rozmawiając przybyliśmy do ruiny. Przy bramie oczekiwał nas niecierpliwie Tarik.

— Efendi, masz gości. Chcą z tobą rozmawiać *sufra*, posłowie.

— Ze mną? Cóż ja mam z nimi wspólnego?

— *Muscharij*, nie wiem. Założyłem, że wyrazisz na to zgodę i prowadziłem ich do twojego pomieszczenia.

To było więcej niż dziwne! Czegóż chciał ode mnie Turek i Rosjanin. Widziałem ich w dole na placu walki po raz pierwszy i nie mogłem znaleźć żadnego nawet najmniejszego powodu ich wizyty. Gdy przekroczyłem próg, moi goście, którzy spoczywali na dywanach, podnieśli się. Przy świetle, które wpadało przez dwa podobne do otworów strzelniczych okna, mogłem ich dokładnie obserwować.

Turek był przysadzistym ciemnym mężczyzną, którego przodkowie najprawdopodobniej tylko w znikomej części pochodzili z Azji Mniejszej, ale należeli do tych ludów, które już od dawien dawna wymieszały się w Konstantynopolu: Albańczyków, Greków, Słowaków, Słowian, Syryjczyków - czy ja wiem zresztą kogo? Wyglądał na bardzo zrównoważonego i na pierwszy rzut oka sprawiał wrażenie człowieka lubiącego wygodę i przyjemności. Ale baczny obserwator szybko przejrzałby, że za tą maską kryje się zażarty fanatyk.

Rosjanin za to zwrócił ku mnie szczupłą, ostro zarysowaną twarz o mądrych, przenikliwych oczach. Od razu wiedziałem: to był człowiek, który wie, czego chce, on również nadawał ton naszej późniejszej rozmowie. Turek dodawał tylko od czasu do czasu jakieś słowo. Na pytanie, który z tych dwóch mężczyzn był bardziej niebezpieczny, mogła odpowiedzieć dopiero późniejsza znajomość, ale obydwaj byli niebezpieczni. Bo któryż z politycznych agentów nim nie jest?

— *Sallam aleikum!* — pozdrowili mnie obydwaj.

— *Sallam* — odpowiedziałem krótko. — Czemu zawdzięczam ten zaszczyt goszczenia was u siebie?

— Pozwól najpierw, że się przedstawimy. Mój przyjaciel Sa-dik Efendi, a ja nazywam się Aksakow.

— Kara Ben Nemzi — przedstawiłem się. Rosjanin spojrzał na mnie badawczo.

— Słyszeliśmy, że jesteś Niemcem. Czy nie moglibyśmy usłyszeć twojego prawdziwego imienia?

— Moje prawdziwe imię nie ma z pewnością tu nic do sprawy, która was do mnie sprowadziła — odrzekłem wymijająco. — Chyba, że tylko po to przybyliście, aby mnie o to zapytać.

Rosjanin nie dał się wyprowadzić z równowagi moim ostrym tonem.

— Jak chcesz. Sądziliśmy jednak, że gdy powiedzieliśmy swoje nazwiska, to możemy poznać również twoje.

— Usłyszeliście je. Nie przebywam tu pod żadnym innym. Jeżeli przybyliście tu z jakąś prośbą, to może usiądziemy.

Przyjęli moje zaproszenie i usiedli jak zwyczaj Orientu nakazuje, na dywanie. Ja również usiadłem przed nimi w ten sam sposób.

— Mylisz się, jeżeli sądzisz, że mamy do ciebie prośbę. Zwracamy się do ciebie z żądaniem. Czyż nie, Sadik Efendi?

— *Na 'amjakessa*, tak, to prawda. Spojrzałem na niego zdziwiony.

— Żądanie? Wy w stosunku do mnie? Jakie?

— Efendi, czy mówisz może po francusku? — odrzekł również pytaniem Rosjanin.

— Tak, dlaczego pytasz?

Rosjanin rzucił zwycięskie spojrzenie na swojego sprzymierzeńca, które mniej więcej mogło znaczyć: *czyż nie mówiłem od razu*. A potem odpowiedział:

— Nie mówię dobrze po arabsku, co możesz od razu poznać. Nie porozumiewam się też po niemiecku. Czy mógłbyś mi więc wyświadczyć tę przysługę, aby mówić po francusku? Mój przyjaciel zna również ten język.

— Chętnie to zrobię — powiedziałem już w żądanym języku. — Ale czy wyjaśnicie mi w końcu, jak doszliście do tego, dla mnie niewyjaśnionego mniemania, że możecie stawiać mi żądania, a więc rozkaz)!

— Mój panie, jakim prawem miesza się pan w sprawy, które pana nic nie powinny obchodzić? — jak piskorz wywinął się od odpowiedzi na moje pytanie.

— Jakie sprawy ma pan na myśli? — zapytałem już odrobinę zaciekawiony przesłuchaniem, które mnie czekało.

— Mam na myśli wewnętrzne sprawy Beni Sallah.

— Na czym opieracie swoje przypuszczenia?

— No cóż! Zgłosił się pan do walki z Falehdem i wygrał pan ją-

— Miałem do tego prawo. Wyzwanie do walki było skierowane do wszystkich mężczyzn znajdujących się w *duarze* i nic o tym nie wiem, że zostałem wykluczony z tego!

— Nie kłómy się o słowa! Pan z pewnością, tak jak i my, jest

o tym przekonany, że Falehd na pewno zwyciężyłby, gdyby to nie pan był jego przeciwnikiem.

— Zgadzam się z tym.

— *Eh bien!* Właśnie o to chodzi. Cóż więc pana skłoniło, aby się zgłaszać i wystawiać swoje życie na niebezpieczeństwo.

— Moja przyjaźń do obu Synów Błysku i współczucie dla plemienia.

— Przyjaźń? Pan! Wiem, że zna pan Tarika tylko dzień, a Hi-lala niewiele dłużej. Wasza przyjaźń nie była więc aż tak duża.

Wstałem.

— *Monsieur*, pozwoliłem spokojnie na zadanie sobie kilku pytań, chociaż nie uznałem i nie uznaję waszego prawa do ich zadawania. Ale gdy poddajecie w wątpliwość moje słowa, to uważam naszą rozmowę za zakończoną. Nie pozwolę się obrażać!

Rosjanin chwycił szybko za rękaw mojego burnusa i ściągnął mnie z powrotem na ziemię. Pozwoliłem mu na to udając, że się jeszcze ociągam, bo zwyciężyła we mnie jednak ciekawość, do czego zmierza ta dziwna rozmowa.

— *Pardon, monsieur*, nie chciałem pana obrazić, gdy miałem pewne wątpliwości co do prawdziwości pana przyjaznych uczuć do Tarika i Hilala. My dyplomaci mamy przecież w ogóle swoje własne rozumienie takich pojęć jak szczerść i prawda. Czyż nie?

„My dyplomaci” powiedział. No cóż, było to bardzo upiękzone określenie dla agentów i szpiegów bezwzględnie i brutalnie dążących do osiągnięcia swoich tajemnych celów, i idących do nich po trupach. Działali oni jednakże na zlecenie wyższej dyplomacji, która czerpała zyski z ich brudnej roboty.

Niewątpliwie tych dwóch uważało mnie za swojego kolegę. Miałem się o tym wkrótce przekonać.

— Przykro mi, że nie mogę podzielić pana poglądów. Nie zaliczam się do dyplomatów — powiedziałem.

Rosjanin uśmiechnął się z uczuciem wyższości.

— Wmieszal się pan w tutejsze stosunki do tego stopnia, że absolutnie nie wierzymy w pana pozbawione egoizmu zamiary. Porozmawiajmy otwarcie! Nie sądzi pan chyba, że kupimy tę bajeczkę o przyjaźni do tych nieucywilizowanych dzikusów. I z pewnością nie podróżuje pan dla przyjemności przez kurz i żar tej piekielnej okolicy. Nie, coś się za tym musi kryć.

— A jak pan sądzi, cóż się za tym kryje?

— Pan jest podobno Niemcem. Ale wiemy dokładnie, że niemiecka polityka niezbyt jest zainteresowana Egiptem. Niemieckim agentem więc pan nie jest. Jako agent angielski nie pokrzyżowałby pan w tak nieprzyjemny sposób naszych planów. Pozostaje więc tylko Francja i to dla niej pan pracuje.

— Więc uważacie mnie za francuskiego agenta, tak?

— Uważamy pana za Niemca, który jest na usługach Francuzów!

Roześmiałem się szczerze.

— We Francji teraz, po przegranej wojnie, nie mówi się zbyt dobrze o Niemcach. Czy sądzicie, że posłano by do Egiptu jako agenta właśnie jakiegoś Niemca?

Aksakow spojrzał z uśmiechem na swojego towarzysza, jak gdyby chciał powiedzieć: *nie pozwolimy się wywieść w pole*. Potem zwrócił się znów do mnie.

— Któż wie to na pewno, że jest pan rzeczywiście Niemcem? Ale jest bezcelowym sprzeczać się o to. Jesteśmy tu po to, aby się z panem porozumieć. Nie chcemy, aby nam pan sprawiał tu dalsze trudności.

— Czy nie mógłby pan bliżej wyjaśnić, jakie to trudności wam sprawiam?

— *Monsieur*, niech pan nie udaje niewiniątka. Byliśmy już na najlepszej drodze, aby pozyskać Beni Sallah do naszych planów.

«

A wtem pojawia się pan i niweczy nasze starania. Nie jesteśmy skłonni do tego, aby panu na to pozwolić. Niech się pan trzyma z daleka od tej sprawy, a my nie będziemy się wtrącać do pana interesów!

— Powiedziałem już, że jesteście w błędzie. Nie jestem tym, za kogo mnie uważacie. Nie jestem waszym kolegą po fachu, więc nie musicie mieć żadnych obaw co do mojej osoby. Oczywiście, nie możecie mi zabronić, abym miał własne zdanie, jeżeli tylko zechcę je wyrazić.

Widziałem, że strona przeciwna nie wierzy ani jednemu mojemu słowu. Turek ozdobił twarz wątpliwym uśmiechem.

— A czy zechce pan teraz wyrazić swoje prywatne zdanie na temat Beni Sallah? — Rosjanin powtórzył moje słowa aż nazbł; ironicznie.

— Nie jestem zmuszony odpowiadać panu na te pytania.

— Więc pan nie chce! Dobrze! Co sądzi o tym pan. Sadik Efen-di?

Turek uczynił prawą ręką symboliczny gest liczenia pieniędzy.

— *Monsieur* — rozpoczął na nowo Rosjanin. — Przekreślił pan grubą kreską nasze plany zwyciężając Falehda. Falehd byłby dla nas odpowiednim człowiekiem. Musimy więc zrezygnować z jego pomocy. Ale kładziemy nacisk przede wszystkim na to, aby nadzieja, którą pokładaliśmy w poparciu Falehda, mimo to nie została zaprzepaszczona. Mój panie, zarówno car jak i pady szach zaferowaliby znaczne kwoty, gdyby nasz* układ z Beni Sallah doszedł do skutku. I dlatego pytam pana, jaka suma skłoniłaby pana, aby zrezygnować z korzyści, które przyniosło panu zwycięstwo nad Falehdem?

Wszystko stało się jasne - *co chcesz za to, abyś był nam posłuszny*. Nie mogłem sobie wyobrazić bardziej wyraźniej próby przekupstwa. Najpierw wahałem się, czy mam odeprzeć to pięścią, czy też obrócić wszystko w żart. W końcu zdecydowałem się, aby wszystko przekształcić w miłe nieporozumienie.

— Naprawdę nie wiem, co wpłynęło na to, że tak uparcie uważacie mnie za francuskiego agenta?

— Oferuję panu dziesięć tysięcy franków, jeżeli zrezygnuje pan ze swoich, tak nam nieprzychylnych poczynań — kontynuował Aksakow, jak gdyby nie usłyszał moich słów.

— Mój panie, pan mnie obraża — odparłem, a w głębi duszy śmiałem się z jego uporu.

— A więc nie! Proponuję dwadzieścia tysięcy.

— Niech pan przestanie. Wyrzuca pan tak piękną sumę pieniędzy dosłownie przez okno.

— Proszę przestać żartować — zwrócił mi uwagę Rosjanin. — Rozmawiam z panem jak najbardziej serio. Oto moja ostatnia propozycja: pięćdziesiąt tysięcy franków, a pan nie pojawi się na *dżemie*, aby głosować przeciw nam.

— Ależ nawet nie przyszło mi do głowy, aby brać udział w dzisiejszej *dżemmiel*

— Nie?

Po raz pierwszy Rosjanin wyglądał na zaskoczonego.

— Nie! Przecież zapewnilem was już niejednemu raz, że nie interesuję się w najmniejszym stopniu sprawami polityki tego kraju. I uwierzcie w to wreszcie!

— Przecież sam pan powiedział, że nikt panu nie przeszkodzi w głoszeniu swoich osobistych poglądów.

— Czyżby chciał mi pan tego zabronić? W Europie Zachodniej każdy może swobodnie głosić swoje poglądy. Czy to czyni, sprawę inną. Nikt nie jest zmuszony, aby udzielać się politycznie, ani nie może zmuszać innych do wyznawania jego poglądów.

— Czy nie chce pan brać udziału w dzisiejszej radzie?

— Nie przyszło mi to nawet na myśl! Beni Sallah również bez mojego udziału zdecydują tak, jak powinni.

Wyglądało na to, że Rosjaninowi spadł kamień z serca.

— A czy mogę zapytać, co uważa pan za słuszną decyzję?

— Tak, może pan. Jeżeli byłbym jednym z Beni Sallah, to byłbym bardzo ostrożny zaczynając wojnę z kedywem. Co byłoby do zyskania? Splądrowanoby kilka biednych wiosek fellahów, a potem przybyłyby wojska kedywa. Zajęliby tę oazę i przepędziliby Beni Sallah na pustynię. Co wtedy?

— Do tego nie dojdzie. Jeżeli dojdzie do powstania Beduinów, to Ismail Pasza będzie skończony. Wtedy musi ten błazen i maniak wielkości ustąpić, jeżeli będzie chciał ujść z życiem.

— Jeżeli rzeczywiście Ismail Pasza zrezygnuje z rządów, jaką korzyść będą mieli z tego Beni Sallah? Korzyści z tego wyniosłyby przecież tylko wielkie mocarstwa, dla których Egipt jest tylko jednym z wielu pól na szachownicy w grze o przywództwo na kuli ziemskiej. Nazywa pan Ismaila Paszę głupcem opętanym manią wielkości. Ale ten człowiek zasłużył się jednak trochę swojemu krajowi.

— Zrujnował go swoim nałogiem rozrzutności — odrzekł Rosjanin.

— Być może nie należało człowiekowi, który nie potrafi obchodzić się z pieniędzem, tak lekką ręką udzielać pożyczek? Mimo wszystko stworzył też nie jedno dzięki tym pieniądzązom. Kraj zaczął się rozwijać, rozbudował system nawadniający, założył telegraf aż do Sudanu, zbudował kolej, porty, nie mówiąc już o Kanale Sueskim.

— Ale większą część pożyczonych pieniędzy roztrwonił bezcelowo na budowę pałaców, wystawne uczyty i dziwactwa jak jego europejska opera w Kairze. Zadłużenie Egiptu wzrasta z roku na rok o siedem milionów angielskich funtów. Temu nie mogą się dłużej, spokojnie przyglądać mocarstwa.

— I czy dlatego podburza się plemiona Beduinów przeciwko kedywowi? Czy tylko po to, aby dzięki temu Ismail Pasza nabrał rozumu i uporządkował swoje finanse? Moi panowie, mnie tego się nie da wmówić. Mimo, że nie jestem politykiem, to już sam fakt, że Rosjanin i Turek wspólnie ubiegają się o względy Beni Sallah, jest więcej jak podejrzany. Od stuleci między obu waszymi państwami istnieje coś na kształt dziedzicznej wrogości, i jest publiczną tajemnicą, że car wcześniej czy później będzie chciał wyprzeć pady szacha z cieśniny Bosfor.

— Niech pan to pozostawi carowi i pady szachowi.

— Nie oczekuję również, że wyjaśnią mi panowie tę sprawę dokładnie, i że dowiem się, co się za tym kryje. Ale właśnie zarówno w Rosji jak i w Turcji jest tyle rzeczy, które nie są takimi jakimi być powinny, że zarówno car jak i pady szach powinni zatroszczyć się najpierw o własne kraje. Ale być może Sadik Efendi w ogóle nie jest agentem pady szacha a pracuje dla ugrupowania „Młoda Turcja” albo też innego zaprzysiężenia...

To, że moje podejrzenia nie były zupełnie bezpodstawne zdradził mi Turek, który właśnie teraz po raz pierwszy zabrał głos:

— Jeżeli nie jest pan politykiem, to mogę panu tylko dać dobrą radę, aby nie mieszał się pan do naszych spraw.

Powiedział to tak groźnym tonem, że nie mogłem tego nie odczuć, ale tylko uśmiechnąłem się.

— Nie mieszam się do waszych interesów, ale nie możecie zabronić mi myślenia i nie tylko mnie. Muszę więc powiedzieć otwarcie, że nie macie zbyt dobrych widoków na sukces u Beni Sallah.

Rosjanin wstał a Turek poszedł za jego przykładem.

—Widzę, że nasza misja u pana została zakończona — powiedział Aksakow. — Mam pana słowo, że nie przemówi pan na dzisiejszej *dżemmie*, i że w ogóle nie weźmie pan w niej udziału.

— Tak! Ma pan je! Wśród Beni Sallah jest wystarczająca ilość mężów, aby podjąć odpowiednią decyzję.

— Pomimo to nie straciliśmy nadziei, aby pozyskać ich dla naszych planów. Ale muszę panu powiedzieć, że pana osoba jest dla mnie zagadką. Jeszcze niedawno mógłbym przysiąc na wszystko, że jest pan wysłannikiem któregoś z rządów, i że został pan przysłany, aby zająć nas od tyłu. Ta rozmowa jednak zachwiała tę pewność.

Zawahał się, a potem dodał;

— Za obietnicę, że nie weźmie pan udziału w *dżemmie* mógł pan od nas spokojnie zażądać zapłacenia pięćdziesięciu tysięcy franków; nie musiał się pan przecież przyznawać, że nie miał pan zamiaru się tam udać. Był pan szczery i to zmusza nas do szanowania pana osoby. Żałuję, że różnice w poglądach wykluczają naszą przyjaźń. Być może będzie jeszcze ku temu kiedyś okazja, abyśmy stanęli znów naprzeciw siebie już w przyjazniejszej atmosferze. *Au revoir*.

Skłon obu mężczyzn i znów zostałem sam. Przez chwilę nie wiedziałem, czy ta cała rozmowa powinna mnie bawić czy złościć. Ostatnie słowa Rosjanina były niewątpliwie pełne uznania dla mnie. Ale to właśnie on powiedział, że pojęcia takie jak szczerłość i prawdomówność są przez nich pojmowane inaczej. Nie powinienem więc brać ostatnich słów Rosjanina za dobrą monetę. Głośno nazwał mnie szczerym, bo nie wziąłem pieniędzy, więc w głębi duszy nazwał mnie idiotą, niemieckim półgłówkiem, który nie potrafi dostrzec swoich korzyści. A potem nagle obaj wyszli.

Oczywiście! Gdy im przyrzekłem, że nie pojawię się na *dżemmie*, przestałem być dla nich kimś ważnym, nie musieli się mnie obawiać. Po co więc trwonić słowa w obecności obojętnej osoby? Jednak wkrótce znów mieliśmy się spotkać.

Chwilę później zjawił się Halef i rozłożyliśmy się wygodnie do dłuższej drzemki na dywanie, z którego podnieśliśmy się dopiero, gdy słońce zbliżało się ku zachodowi. Wyszliśmy na zewnątrz i spotkaliśmy Tarika. Wyglądało na to, że nas już oczekiwał.

— Efendi, właśnie odjechał Falehd — zawołał do nas z oddali. — Możesz go jeszcze zobaczyć!

Rzeczywiście, w odległości jakiejś pół mili od obozu wolno znikąca mała karawana. Kierowała się na północ. Składała się z dwóch jeźców na wielbłądach i trzech jucznych wielbłądów, tworzących tak równy sznur, że musiały być powiązane ze sobą.

— Kim jest ten drugi jeździec obok Falehda? — zapytałem.

— To jego dawny niewolnik. Zgłosił się dobrowolnie, aby towarzyszyć swojemu panu na wygnaniu, a my nie zgłaszaliśmy sprzeciwu.

— Jadą prosto na północ. Dokąd zmierzają?

— Nie wiem. Mogą jechać gdzie żywnie chcą!

— Mnie nie byłoby to tak obojętne, gdzie udaje się ktoś, kto zaprzysiągł mojemu plemieniu zemstę. To ty jesteś teraz szejkiem. Ty jesteś odpowiedzialny za bezpieczeństwo swoich ludzi.

— Więc sądzisz, że powinienem sprawdzić i dowiedzieć się dokąd on się udaje?

— Tak, tak sądzę!

— Masz rację, pójdę za twoją radą i pošlę za nim jakiegoś zaufanego człowieka. Najchętniej pojechałbym sam. Ale dzisiaj wieczór zbiera się *dżemma* i muszę się na niej zjawić.

— Czyżbyś miał jakieś wątpliwości co do wyniku dzisiejszej *dżemmy*?

— Teraz, gdy nie musimy się obawiać Falehda, już nie! Byli przecież u ciebie obcy posłowie. Czy mogę się dowiedzieć, czego chcieli od ciebie?

— Nie ma powodów, abym robił z tego tajemnicę. Ale mylisz się, jeśli sądzisz, że czegoś chcieli ode mnie. To oni chcieli zaoferować mi pięćdziesiąt tysięcy franków. Jest to około dwustu tysięcy piastów przeliczając na walutę egipską.

— *Wallahl Billahl Tillahl* Ale za co, efendi?

— Chcieli za to niewielkiej przysługi. Miałem nie opowiadać się przeciw nim na dzisiejszej *dżemrnie*.

— A ty? Co uczyniłeś? Czy przyjąłeś tę masę pieniędzy? — spytał z napięciem w głosie.

— Nie!

— *Hamdullilahl* Dzięki Allachowi! Więc jednak weźmiesz udział w *dżemmiel*

— Mylisz się. Powiedziałem rosyjskiemu wysłannikowi, że nie mógłbym przyjąć tych pieniędzy, bo nie przyszło mi na myśl, że mam brać udział w radzie.

— *Rhemallah!* Niech Allah zachowa! Tego nam nie możesz zrobić, ty, najlepszy przyjaciel naszego plemienia!

— Właśnie dlatego, że jestem waszym przyjacielem, chcę trzymać się od tego z daleka. Czy powinno się mówić o Beni Sallah, że są jak małe dzieci, które wymagają opiekuna i bez niego nie wiedzą, co powinni uczynić? Nie! Usunąłem wam z drogi Falehda, największą przeszkodę. Reszta należy do was, a zwłaszcza do ciebie.

— Dołożę wszelkich starań, aby głosowano za pokojem.

/

— Weź jeszcze pod uwagę to, co ci teraz powiem. Chociaż nie musisz już obawiać się Falehda, to nie będzie ci łatwo przeforsować swoje stanowisko. Obcy oferowali mi dużo

pieniędzy. Można więc wysnuć wniosek, że poruszą niebo i ziemię, aby osiągnąć swój cel. Jest na przykład bardzo możliwe, że nie jestem jedynym, którego chcieli przekupić, aby zapewnić sobie głosy podczas *dżem-my*.

— Dziękuję ci, że zwróciłeś mi na to uwagę, będę się tym kierował. Czego chcesz, Hilal?

— *Muezin* pyta, kiedy ma uderzyć w deskę jako znak rozpoczęcia *dżernmyl* — wyjaśni! Hilal, który właśnie podszedł do nas.

— Tak jak wczoraj. Godzinę po zachodzie słońca.

W międzyczasie rzuciłem okiem na oddalającą się karawanę olbrzyma. Jak dotąd, nadal kierowała się na północ. Słońce miało już za sobą większą część swojego łuku i zaczynało skłaniać się ku zachodowi. Jego promienie zmusiły mnie, aby zakryć przed nim oczy ręką, gdyż jeszcze chciałem zobaczyć ten mały pochód.

Falehd narzucił szybkie tempo i już nie można było rozróżnić zwierząt. Tworzyły teraz maleńki punkt na horyzoncie, nie większy od ziarnka grochu. A jednak wydawało mi się, że ten punkt nie zajął pozycji, jaką powinien mieć w stosunku do wcześniejszej. Przykucnąłem więc i położyłem twarz na powierzchni wysokiej, kwadratowej płyty kamiennej, której górny brzeg tworzył dla mojego oka trwałą linię, dzięki czemu mogłem porównywać powolny ruch groszkowatego punktu.

Stojący przy mnie obserwowali moje poczynania ze zdziwieniem. Już wkrótce upewniłem się co do słuszności swojego przypuszczenia. Podniosłem się z ziemi i zwróciłem się do Tarika.

— Podejrzenie, które już dawno tliło się w moim mózgu, okazało się prawdą.

— Jakie podejrzenie?

— Że kierunek północny, który obrał Falehd, był tylko próbą zmylenia nas.

— Więc dokąd kieruje swoje kroki?

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć. Pierwszą pewną rzeczą, jest to, że skręcił na zachód.

— Na zachód? Ależ tam nie ma nic oprócz surowej pustyni, ani jednego człowieka!

— Czyli nie jest jego zamiarem tam się udać. To jasne. A kto mieszka na południu?

— Beni Suef

— Ach, czy to z nimi jesteście w wojnie krwi?

— Tak, wielu z naszego plemienia przysięgło im zemstę krwi.

— Więc należy uznać prawie za pewne, że to właśnie do nich kieruje się Falehd.

— To jest możliwe. Dlaczego nadłożył jednak tyle drogi?

— Aby was zmylić!

—Ale dlaczego? Nie zatrzymywalibyśmy go nawet wtedy, gdyby otwarcie powiedział, że ma zamiar tam się udać!

— Ale wiedzielibyście, gdzie jest i moglibyście się przed nim zabezpieczyć. Jeżeli działa jednak tak z ukrycia, to należy mieć pewność, że planuje zemstę. Mogę się założyć, że już zdecydował, aby podburzyć Beni Suef przeciw wam. Jak daleko stąd leży ich plemię?

— Możesz dojechać tam w dwa dni. Wielbłąd juczny potrzebuje aż trzy pełne dni.

— To wystarczająco blisko! Musimy mieć się na baczności!

— Nie martw się! Jesteś przecież u nas i nic ci się nie stanie. Zabrzmiało to tak pewnie, że musiałem się roześmiać.

— Czyżbyś sądził, że mógłbym się bać kogokolwiek?

— Wybacz, efendi! — odrzekł Tarik i zaczerwienił się. — Nie miałem tego na myśli.

— Lepiej zostańmy przy Falehdzie. Jest niebezpieczny i nie należy spuszczać go z oczu. Już raz cię ostrzegalem.

— Chyba nie jest koniecznym, aby go obserwować, jeżeli już wiemy, że kieruje się do oazy Beni Suef

— Mimo to... hm! Doświadczenie nauczyło mnie, że w tego rodzaju sytuacjach nigdy za dużo ostrożności. Chętnie przekonałbym się osobiście, czy rzeczywiście zatoczy łuk kierując się na południe.

— Dzisiaj jest już na to za późno. Zanim dojechałbyś do miejsca, gdzie jest teraz Falehd, zapadłaby noc i nie mógłbyś odnaleźć żadnych śladów.

— Mam ochotę zabrać się do tego zupełnie inaczej! Nie chcę jechać za nim, ale czekać na niego gdzieś pośrodku pustyni.

— Czy mówisz poważnie?

— Tak, pojechałbym na zachód i tam zacząłbym się na niego gdzieś, gdzie według moich obliczeń powinien przejeżdżać.

— To niemożliwe! Jak chcesz odnaleźć takie miejsce na pustyni?

— Nie jest to takie trudne. Potrzebuję tylko kogoś, kto pojedzie ze mną. Halef może mi towarzyszyć. Wy obydwaj musicie być na radzie starszych.

— Czy naprawdę chcesz to uczynić?

— Tak! Nasza wyprawa się opłaci. Falehd musi się przekonać, że nie damy mu się zwieść. Będzie wiedział, że jesteśmy ostrożni i przygotowani na jego zasadzki.

— Więc nawet masz zamiar z nim rozmawiać?

— Tak, pokażę mu, że nie jest na tyle mądry, aby wyprowadzić nas w pole. Każ więc przyprowadzić konie. Wybierzemy się z Halefem na przejażdżkę!

— Każ osiodłać nasze najlepsze konie, te, na których jeździli już nasi goście dzisiaj — polecił Tarik swojemu bratu.

Hilal szybko się oddalił, a my musieliśmy odczekać chwilę, aż z dołu rozległo się wołanie, że konie są gotowe. Halef przyniósł rewolwer, a później zeszliśmy w dół ruiny do Hilala, który trzymał w ręku uzdy szlachetnych klaczy.

Usadowiliśmy się w siodłach, a potem konie wypłynęły na szeroką pustynię z szybkością pociągu pospiesznego, nie w kierunku północnym, w którym zniknął na końcu nieba olbrzym, ale w kierunku zachodnim.

W międzyczasie słońce schyliło się ku ziemi. Właśnie, gdy opuszczaliśmy oazę, rozległy się słowa *muezina* wśród uderzeń o drewnianą deskę.

— Powstańcie prawowierni! Przygotujcie się do modlitwy, bo oto słońce zatopiło się w morzu piasku!...

* * *

Na dalekim zachodzie, tam gdzie ziemia i niebo pozornie stykają się ze sobą, zatopiło się słońce, jak złocistoczerwona kula. Zdawać by się mogło, że próbuje jeszcze odwlec tę chwilę, zanim zniknie za horyzontem. Jego ostatnie promienie zaogniły się nad rozległą równiną, i zanurzyły grzebienie piaszczystych wydm w takim blasku, iż można by sądzić, że muszą być z czystego złota. Ale ta złocień szybko zmatowiała, zabarwiła się na kolor pomarańczy, a potem przeszła w jasną mosiężną czerwień, rozlała się jak płynny brąz nad pustynią, cofała się szybko, zebrała się potem w jednym punkcie nieba, aż w końcu uspokoiła się pod kulą słońca i zgubiła się w bladej łunie zmroku, którą to w coraz dłuższych odstępach czasu przeszywały jasne promienie; w końcu jasność ustąpiła miejsca czerni wieczora i głębokiemu granatowi, który nadciągał ze wschodu przez obsypane gwiazdami niebo.

W tym zapadającym zmierzchu pozwoliliśmy naszym zwierzętom iść trochę wolniej. Nie mogło być oczywiście mowy o tym, żeby teraz wysledzić olbrzyma. A przecież chcieliśmy go spotkać.

Jak tego dokonać? Droga, którą on wybrał była przecież tylko niewidzialną linią w nieskończoności pustyni. Ale ten, który już był w takich sytuacjach wie też jak z nich wybrnąć.

Po chwili powstrzymałem swojego konia.

— Być może jesteśmy w tym miejscu, którego i on nie ominie przejeżdżając.

— Skąd to przypuszczenie? — zainteresował się Halef

— Czy sądzisz, że Falehd nadłoży więcej drogi niż to jest konieczne?

— Z pewnością nie.

— Czy też sądzisz, że krąży w pobliżu naszego obozu wciąż narażając się na niebezpieczeństwo, że wpadniemy na jego trop?

— Też nie.

— Wybierz więc drogę pośrednią, niezbyt blisko obozu i niezbyt od niego oddaloną, a więc mniej więcej w tej okolicy. Nie ma to większego znaczenia, jeżeli trochę pomylimy się w ocenie odległości. W tej ciszy z pewnością usłyszymy kroki zwierząt, które Falehd prowadzi ze sobą. Piach jest tu głęboki i stąpając po nim będą go odrzucać w tył. Nie sposób nie usłyszeć tego metalicznego dźwięku w nocy nawet ze znacznej odległości.

— Czy nie byłoby, wskazane, abyśmy się rozdzielili?

— Właśnie to chciałem ci zaproponować. Myślę, że już dojechaliśmy do właściwego miejsca. Zostań więc tutaj, a ja pojedę jeszcze kilkaset kroków dalej w linii prostej. Tam zsiądę z konia i każę mu się położyć. Jeżeli ty usiądziesz koło swojego i przyciśniesz mu rękę do jego łba, to nie poruszy się nawet wtedy, gdy ktoś będzie przejeżdżał obok.

— A gdy przybędzie Falehd?

— Pozwolisz mu przejechać i dasz mi znak. Gdyby to mnie mijał, uczynię to samo.

— Jaki znak?

— Czy słyszałeś kiedyś, jak szczeka fenek, lis pustynny? Czy potrafisz naśladować jego głos?

— Tak.

— Fenek zapędza się jeszcze dalej w głąb pustyni niż hiena lub szakal, nikogo więc nie zdziwi, że jego głos daje się tu usłyszeć. Jego podwójne, krótkie szczeknięcie będzie znakiem dla drugiego z nas, że ma przybyć.

Fenek, to przemiłe zwierzątko, podobne do lisa, z dużymi, szerokimi uszami, które w przedziwny sposób przystają mu do głowy. Głos, który wydaje, jest ostry i dźwięczny, brzmi jak „ia.ia”. W tym dźwięku „i” jest przeciągłe i przytłumione w przeciwieństwie do krótkiego i bardzo głośnego „a”.

Halef zsiadł z konia i usadowił się wygodnie koło niego. Ja pogalopowałem dalej. W odpowiedniej odległości zeskoczyłem ze swojej klaczy i dałem jej znak uderzeniem w zad, że

ma się położyć. Zwierzę było posłuszne.

Usiadłem koło niego i przyłożyłem mocno rękę do jego łba. Od razu przylgnął ciasno do podłoża i jeszcze raz wziął głęboko i powoli oddech, jak gdyby chciał mi powiedzieć, że doskonale mnie rozumie. I odtąd leżał już cicho, bez ruchu.

Minuta mijала za minutą. Noc była jasna, prawie chłodna. W górze błyszczaly gwiazdy południa. Wypalone knoty gwiazd rozblyskiwały, spadały w otchłań i gasły.

W dole wzrok zatapiał się w ciemniejszej dali. Odnosiłem wrażenie, że unoszę się w małej rozhuśtanej łodzi na nieskończonym oceanie. Ani jeden dźwięk nie przerywał ciszy. Z pewnością przeminęła tak godzina, aż nagle wydało mi się, że z kierunku, gdzie zostawiłem Halefa, dał się słyszeć jakiś dźwięk, jak gdyby lekki podmuch przemykał przez zmęczone zwisanie listowie.

Czy to był ten oczekiwany dźwięk? Czyjego przyczyną były zwierzęta Falehda?

Tak, nie myliłem się, kilka sekund później rozległo się jazgotliwe „ia,ia” właśnie z tej strony. To był znak, który uzgodniłem z Halefem.

Pozwoliłem swojej klaczy powstać, szybko usadowiłem się w siodle i pocałowałem w tym kierunku, gdzie spodziewałem się spotkać Halefa. On sam wyjechał mi naprzeciw.

— Czy już przejechał? — zapytałem go.

— Tak, tuż obok mnie.

— I nie zauważył cię?

— Ktoś inny spostrzegłby mnie. Ale jego oko jest chore, a gdy jedno oko choruje, choruje też to drugie.

— Co z jego towarzyszem?

— Nie jechał po tej stronie, po której się ukryłem.

— To dobrze. Dalej, za nim!

Nasze konie zaczęły galopować. Zwierzęta zmiatały wyżej usadowiony piach tak, że za nami wzbiła się chmura.

Nagle w tej przejrzystej nocy zauważyłem białe światełko, które nawet przyćmiło migotanie gwiazd. Wkrótce rozprzestrzeniło się na całą pustynię i na horj[^]zoncie wzniosła się szybko czerwono -miedziana tarcza księżyca. Zamieniła się wkrótce w prawdziwą złotość, zbladła na kolor srebra i w końcu rozlała swoją uduchowioną biel nad morzem piachu.

Przed nami pojawiły się ciemne postacie i wkrótce dogoniliśmy wyrzuconego z plemienia. Jechał na wielbłądzie, tym dobrze znanym, wydatnym truchtem, który nie męczy tych zwierząt,

gdyż jest im przyrodzony; tym truchtem można pokonać niewyobrażalne wręcz odległości.

— *Wakkif*, stać! — zakrzyknąłem.

Obydwaj usłyszeli to zawołanie i powstrzymali swoje zwierzęta.

— *Min di*, kto tam? — zapytał *Falehd*.

Wykonał ruch ręką w kierunku noża, jedynej broni, którą pozwolono mu zahrać ze sobą.

— *Min inte*, a kimże jesteś ty? — zapytałem, jak gdybym tego nie wiedział.

— Podejdź tu bliżej, to ci powiem.

— Allach! Ten głos wydaje mi się znajomy!

— Dla mnie twój też nie brzmi obco!

Byliśmy teraz tuż obok najbardziej wysuniętego do przodu *dżemmela*, którym kierował olbrzym.

— *Falehd* — zawołałem. — A ty skąd tutaj, przecież widzieliśmy, że podróżujesz w kierunku północy.

— Czyżbym nie mógł jechać dokąd tylko zechcę? — odpowiedział hardo i spojrzał na mnie pełnym nienawiści wzrokiem.

— To twoje prawo, ale nie możesz zapominać, że twoja wolność to wolność wyjętego spod prawa. Nie wolno ci włóczyć się w pobliżu obozu. Czyżbyś nie wiedział, że mam prawo cię zastrzelić?

— Więc zrób to, jeśli doda ci chwały zabicie bezbronnego i zranionego.

— Inaczej mówiłeś do dziś. Daruję ci życie ale radzę, abyś jak najszybciej stąd odjechał. Nikt inny nie byłby tak łaskawy jak my.

— Niech Allach doprowadzi do waszej zguby. Czego szukacie tu na pustyni?

— Ciebie — odrzekłem spokojnie. — Chciałem ci tylko pokazać, że potrafię cię odnaleźć wszędzie, gdy tylko będzie to moim zamiarem. Jedź więc teraz dalej i pozdrów od nas dzielnego *Beni Suef*

— Niech Allach przeklnie ciebie i was wszystkich — zawołał olbrzym i kijkiem, który każdy poganiacz wielbłądów ma ze sobą, uderzył między uszy swoje zwierzę, które od razu rzuciło się w pośpiesznym biegu w dalszą drogę. Towarzyszący *Falehdowi* człowiek, który nie wymówił ani słowa, podążył za nim prowadząc trzy juczne wielbłądy.

Mogłem doskonale w myślach wczuć się w rozterki, które kłębiły się w duszy olbrzyma. Czuł się przechytrzony, to musiało go niesamowicie rozgniewać, że *Beni Sallah* dowiedzieli się, do kogo zamierzał się zwrócić. A hańba, bo został pokonany i wygnany z plemienia paliła

zapewne jego wnętrze żywym ogniem. Stracił nie tylko swoją cześć, również swój dobytek. Był przeklętym, który swojemu najbardziej zagorzałemu wrogowi powinien dziękować, iż ten nie ustrzelił go jak dzikie zwierzę. Wszystkie najbardziej podłe uczucia, do których jest zdolne ludzkie serce, kłębiły się w jego wnętrzu. Reszty dopełniał ból spowodowany ranami. Być może ktoś inny zamknąłby się w sobie, przypisałby sobie winę za zaistniałe zdarzenia, ale znając charakter Falehda, byłoby błędem oczekiwać od niego tego rodzaju zachowania.

Przeciwnie, mogliśmy już dziś zacząć się przygotowywać na to, iż jego rozżarzona nienawiść, znalazła już sposób, aby zemścić się na mnie i całym plemieniu Beni Sallah — zakładając, że oszczędzi go gorączka, i że w ogóle żywy osiągnie *duar* Beni Suef

Przestaliśmy się troszczyć o niego i wróciliśmy do oazy.